

KWARTALNIK **ART**YSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

1(21)1999



POECI AMERYKAŃSCY

Dickinson Levertov Rexroth Snyder Brautigan

Gizella Grynberg Hartwig Herling-Grudziński Hoffman
Kurylak Matywiecki Miłosz Pankowski Sochoń Sonnenberg

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK,
STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI (redaktor naczelny)
GRZEGORZ MUSIAŁ (z-ca redaktora naczelnego)
GRZEGORZ KALINOWSKI (sekretarz redakcji)

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
Miejski Ośrodek Kultury w Bydgoszczy

Adres redakcji:

ul. Ikara 12, 85-314 Bydgoszcz
tel./fax (0-52) 373 27 18, tel. (0-52) 378 66 66
Internet: „Kwartalnik Artystyczny” www.wok.bydgoszcz.pl
e-mail: wok@cps.pl
wiechk@bok43.gnet.pl
Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814 USA
e-mail BLefcowitz@aol.com
Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
fax: 0-049-30-7740217

Projekt okładki: Ewa Bathelicer

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Ministerstwu Kultury i Sztuki, Wydziałowi Edukacji, Oświaty, Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu i Wydziałowi Kultury i Nauki Urzędu Miasta w Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/1999.

Spis rzeczy

Poezja

- JULIA HARTWIG Rozpoznawanie Soutine'a / 3 Trudno wybrać / 4
Jest takie miasto / 5 Na skwerze Du Commerce / 5
- EMILY ELISABETH DICKINSON 739 / 6 744 / 7 754 / 7 770 / 9 839 / 9
883 / 10 919 / 10 976 / 11 985 / 12 1005 / 12 1029 / 13
- DENISE LEVERTOV Zaczyna się dzień / 15 Haft / 16
Głuchoniemi / 18 Dla tych, których mniej kochają bogowie / 20 Okazja / 22
- KENNETH REXROTH Dla Ruth Stephan / 24 *** (Kiedy wschodzi półksiężyc) / 24
*** (Późna noc) / 25 Siódmego lipca / 25 *** (Był na nowiu) / 25
Naśladowanie Akiko – „Yoru no cho ni” / 26 Hototogisu – Horobite / 26
Tsukutsukuboshi / 26 Nowy Rok / 27 Bez słowa / 27 Erinnerung / 27
Upadek dynastii Czou / 28 Tylko pustka / 28
- GARY SNYDER Dla pięćdziesięcioletniej kobiety ze Sztokholmu / 29 Opadają kwiaty
śliw... / 29 Kwiecień / 30 Pomnik na Okinawie / 30 Pieśni na polu bitwy
pod Little Big Horn / 31 Jak mistrzowie zen przypominają dorosłe śledzie / 31
Ważka / 31 Presja / 32 Pożegnanie z klasztorem po wysłuchaniu wykładu
starego mistrza o powrocie do źródła / 32 Zamawiam chile verde w Gallup / 33
- RICHARD BRAUTIGAN Ze strachu przed samotnością / 34 Dąb / 34
Hold Charlesowi Atlasowi / 34 Spotykamy się. Próbujemy. Nic się nie dzieje, ale / 35
Seksualny przypadek / 35 Cień siedmiu pechowych lat / 35 Teleskop, planetarium,
firmament wron / 36 Dziewięć wron: dwie nie po kolei / 36
Ładujesz rtęć widłami / 36 4 3 stycznia / 37 Czas przyzwyczać się / 37
Pocztówka / 37 Cma z Tucson w Arizonie / 38 Śmierć jak igła / 38
Bohaterka wehikulu czasu / 39 Autobiografia (Do widzenia, Ultra Fiolkowa) / 39
- JERZY GIZELLA Wygrzane miejsce / 47 Raj mrówek faraona / 48
Mała emigracja / 49 Okręty bez kotwicy / 50 Powrót Odysa / 51
- EWA SONNENBERG Rue de Bucy / 67
- PIOTR PIASZCZYŃSKI Pojedynek / 71 Antyerotyk / 71 La Bohème / 72
Bez tytułu / 72 Wierszyk białoszewski / 73 15.10.98 / 73
- KAZIMIERZ HOFFMAN Przepowiedź / 80 W półśnie. Las / 81
*** („i coraz częściej...”) / 81 Głosa / 82 Strofa / 83 Krzyżyk na drzewie / 84
Stary człowiek przed poematem / 85
- JÓZEF KURYLAK Pianie koguta / 109 Futurologia / 110
*** (Niewłaściwą religię...) / 111 *** (Wiara w Boga...) / 111 *** (Nagle usłyszysz
łomotanie...) / 112 Chwiła przydrożna / 112
- KS. JAN SOCHOŃ Dopóki / 113 Nadzieja / 113 Nie, tak / 114 Usta / 114
- JACEK NAPIÓRKOWSKI *** (Kroki nierównomiernie śmieszne...) / 120
Fetysz / 121 *** (Dopuszciałś mnie...) / 121 Milcząca ryba / 122
- JANUSZ KOTAŃSKI *** (nieistotne przeloty...) / 123 *** (tylko...) / 123
*** (zasypiając...) / 124

Trzy wiersze

KAZIMIERZ HOFFMAN *** / 99

Po co piszę?

JÓZEF KURYLAK *** / 115

KS. JAN SOCHOŃ *** / 117

Proza, esej

HENRYK GRYNBERG Portret zwycięzcy / 41

MARIAN PANKOWSKI Kule / 53

PIOTR MATYWIECKI Fragmenty o poezji Kazimierza Hoffmana / 88

Rozmowy

„Nie wróżę literaturze wielkiej przyszłości” –

Z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM

rozmawia Krzysztof Myszkowski / 75

O odpowiedzialności poezji za słowo i innych sprawach –

Z KAZIMIERZEM HOFFMANEM rozmawia Grzegorz Kalinowski / 103

Plastyka

PREZENTACJE – EWA BATHELIER / 125

Varia

MICHAŁ GŁOWIŃSKI Nocleg w gabinecie osobliwości,
albo Signora Baba Jaga / 140

ALEKSANDER JUREWICZ Zapiski ze stróżówki (2) / 145

JULIAN KORNHAUSER Postscriptum (12) / 148

GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik bez dat (2) / 153

LESZEK SZARUGA Tym czasem (15) / 159

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrane, w czasie zatrzymane (1) / 166

Recenzje

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Na głos / 172

PIOTR MICHAŁOWSKI Alfabet świata i składanie czasu / 173

MIROŚŁAW DZIEŃ O Micie, który staje się Słowem / 176

JERZY GIZELLA Żywot literata pocziwego w PRL / 179

MARIA CYRANOWICZ Przemiana apetytu? / 181

Noty o książkach / 184



Julia Hartwig

Rozpoznawanie Soutine'a

Domy chylące się w jedną stronę
jakby dął w nie potężny wiatr
domy jak stado pędzonych podmuchaem gęsi
drzewa przygięte niewidzialną burzą
wszystko w ruchu dramatyczne
Indyk zawieszony na haku przypomina gwiazdną mgławicę
Obok portret cukiernika w białym kitlu
w wysokiej białej czapie
dalej ministrant w komeżce
Obaj jakby wiatrem wychłostani
niczem wysuszone i pogięte strąki fasoli

Kolekcjoner pan Walter musiał lubić malarstwo Soutine'a
skoro zgromadził tyle jego obrazów w swojej kolekcji
Tego biedaka Soutine'a
nieśmiałego młodzieńca żydowskiego
który zaawanturował się z Białorusi do Paryża
gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był zginąć w tłumie
lecz został wziętym i sławnym jeszcze za życia malarzem
zaczął nosić eleganckie futra i kapelusze
próbując wmieszać się w szykowny paryski świat
od którego tak gwałtownie uciekają jego natchnione wiatrem obrazy

Trudno wybrać

Sala muzeum oświetlona dwoma rzędami okien
w oknach widok świata nie namalowanego
równie pociągający jak same obrazy
Z jednej strony Park Tuileryjski
drzewa rozpięte miłośnicie na niebie
i sadzawka trzepocząca na wietrze skrzydełkami wody
z drugiej strony Sekwana
Wśród powolnej procesji platanów
płyną spacerowe statki wypełnione turystami
te same statki które wieczorem roziskrzają się jak gwiazdy
rzucając na brzeg wędrujący słup światła

Między tą amfiladą okien i amfiladą obrazów
sam nie wiesz której przyznać pierwszeństwo
Więc najpierw spróbuj tych smakowitych wiśni Renoira
i posłuchaj grającej na fortepianie dziewczynki
której przewraca nuty pochylona nad nią różowozłota siostrzyczka
Nie zapomnij też złożyć życzenia urodzinowe Paulowi
synkowi Picassa
którego z tej okazji przebrano w strój pierrota

Jest takie miasto

Jest takie miasto gdzie wszystko jest moje
ale nic mi nie przynależy nawet własna tożsamość
roztopiona w perłowej szarości architektury nieba i rzeki
uhonorowanej melancholijnymi spojrzeniami tych
którzy poszukując samotności odnajdują swoje człowieczeństwo
w lekcji płynącej wciąż dalej i dalej wody
Jest takie miasto do którego nie jeden wybrał ucieczkę
od przykazań dzieciństwa
by wyrzekać się po prostu na ławce z głową pełną wina
i śledzić przemijający czas przez oczy zmrużone od słońca
Jest takie miasto o które żadne inne nie może być zazdrosne
ponieważ znika bez śladu kiedy tylko stracę je z oczu
jak strofa która przyśni się w nocy
a rankiem pozostaje z niej tylko pewność że była

Na skwerze Du Commerce

Platany przycięte górą tak żeby tworzyły ścianę
trawa na trawniku udaje pluszowy dywan
wszystko przypomina zaciszne pokoje
wnętrze zamieszkałe przez człowieka oswojone swojskie
Na ławeczkach panie w kapeluszach
rozsiadły się jak na pluszowej kanapie
Pod chińskim pawilonem na estradzie
wspomnienie orkiestry przygrywającej znajome melodie
W głębi za skwerem obdrapana kamienica
z czerwoną markizą nad parterem i napis „Salon de thé, Brasserie”
Za kontuarem znudzony barman
na stolikach kilku klientów przy piwie
Nikt tu już od dawna nie pija herbaty
Lokal jest ogromny i pusty
Niedługo właściciel sprzeda go na sklep z butami

Julia Hartwig



Emily Elisabeth Dickinson

739

Wiele razy myślałam, że spokój
Nadszedł – a był z dala stąd –
Tak rozbitek na środku morza
Roi – że widzi ląd –

I słabnie w walce – nim wreszcie
Jak ja – z rozpaczą – spostrzeże –
Że przed wejściem do portu jest wiele
Urojonych wybrzeży –

c.1863

1891

Numeracja utworu określa jego kolejność chronologiczną; pierwsza data umieszczona pod wierszem mówi o prawdopodobnym roku jego napisania, druga podaje rok, w którym został odnaleziony. (red.)

Wyrzuty – to zbudzona pamięć –
 I jej kompani poruszeni –
 Obecność minionych czynów
 W oknie – w drzwiach – w sieni –

To przeszłość przed oczami duszy
 Oświetlona zapalką –
 Żeby pogłębić wiarę –
 Odczytanie ułatwić –

Wyrzutów nie uleczysz – nawet
 Bóg nie dostarczy leku –
 To z jego ustanowienia –
 Ten Odpowiednik Piekiel –

c.1863

1891

Moje życie – broń naładowana –
 Stała w kącie – aż kiedyś obok
 Szedł właściciel – rozpoznał własność
 I zabrał mnie ze sobą –

Emily Elisabeth Dickinson, urodziła się 10.12.1830 r. w Amherst (Massachusetts) i mieszkała tam – nie licząc kilku krótkich wyjazdów w młodości – mieszkała tam przez całe życie, odizolowana od świata, zajmując się rodzicami, domem i ogrodem. W 1862 roku wysłała kilka wierszy do „Atlantic Monthly”, ale redaktor Th. W. Higginson, zaskoczony ich niezwykłą w owych czasach, nowatorską formą odmówił druku, pozostając jednak z autorką w stałym kontakcie.

Dopiero po jej śmierci (15.5.1886) odnalezione wiersze Emily Dickinson zostały docenione i przyniosły jej zasłużoną sławę. Po stu latach uznano ją za najwybitniejszą i najbardziej oryginalną poetkę amerykańską. (L.M.)

Teraz wędruję z Nim po lasach
I polujemy na lanie –
Mówię do Niego – a góry dają
Odpowiedź na pytanie –

Gdy się uśmiecham – ponad doliną
Tak ciepłe światło się żarzy –
Jakby Wezuwiusz pozwolił
Radość ukazać swej twarzy –

A kiedy nocą – po dobrym dniu –
Strzegę Pana mojego głowy –
Lepsze to niż wspólna poduszka
Z puchów edredonowych –

Dla Jego wrogów – ja śmiertelnym wrogiem –
I nie postąpi już kroku
Kogo wskaże z naciskiem mój kciuk –
Lub żółty błysk w moim oku –

I chociaż mogłabym go przeżyć –
On musi ode mnie żyć dłużej –
Bo mam tylko moc zabijania –
A brak mi jej by umrzeć –

c.1863

1929



Sypialnia Emily Dickinson

Żywiłam się strachem –
 Dla Tych co wiedzą
 Bodźcem jest Zagrożenie –
 Inny impuls jest niemy –
 Nie wyrwie z odrętwienia –

Lęk – ostroga dla duszy –
 Przynagła, by tam poszła
 Gdzie bez pomocy widma pójść
 Ośmieliłaby się tylko rozpacz.

c.1863

1892

Wiecznie Mój!
 Już po wakacjach!
 Okres światła ten dzień rozpoczął!
 Niezawodny jak jasna rotacja
 Pór roku oraz słońca.

Stara łaska, lecz nowi poddani –
 Stary, istotnie, Wschód –
 Lecz w jego purpurowym programie
 Pierwszy jest każdy świt.

c.1864

1945

Poeci tylko zapalają lampy –
A sami – gasną –
Oni podkręcają knot –
A jeśli żywa jasność

Przetrwa jak to czynią słońca –
Każdy wiek jest soczewką
Ich zasięg
Rozszerzającą –

c.1864

1945

Jedno serce przed rozpaczą uchronić,
A nie będę żyła daremnie –
Jedno serce przed bólem osłonić,
Złagodzić jedno cierpienie –

Gdy słabnący rudzik do gniazda
Odnajdzie drogę przeze mnie –
Nie będę żyła daremnie.

c.1864

1890



Odtworzony w bibliotece Uniwersytetu Harvarda narożnik pokoju Emily Dickinson

976

Śmierć – to Dialog pomiędzy
Prochem a Duchem.
„Rozpadnij się” rzecze śmierć.
A duch: „Pani, ja żywię otuchę.”

Śmierć wątpi – argument czerpie z ziemi
Duch odwraca się od niej,
I odrzuca powłokę z gliny
By rację swą udowodnić.

c.1864

1890

Wszystkiego brak pozwolił mi
Pomniejsze braki znosić –
I mniejsza rzecz, niż to, że Świat
Wyleciał ze swej osi –
Lub zgasło Słońce – nie starczała –
Nie było dość mi,
By podnieść głowę znad mych zajęć
Ze zwykłej ciekawości.

*c.1865**1914*

Zwiąż mnie – wciąż mogę śpiewać
Wygnań – w mojej mandolinie
Dźwięk nie zaginie –

Zabij – a dusza moja wstając
Z piosenką pójdzie do raju
Należąc do ciebie wciąż.

*c.1865**1945*

Ani Góra mi nie przeszkadza
Ani morze nie jest barierą –
Kto jest Bałtykiem –
Kto pasmem Kordylierów?

c.1865

1945

Emily Elisabeth Dickinson
przełożyła Ludmiła Marjańska



Hol w domu rodzinnym Emily Dickinson

Denise Levertov

wiersze w przekładzie i z komentarzami Czesława Miłosza

Denise Levertov, wybitna poetka amerykańska, urodziła się w 1923 roku w Ilford w Anglii, umarła w 1997 w Seattle, w Stanach Zjednoczonych. Jej ojciec był synem żydowskiego religijnego myśliciela z Białorusi i w młodości rabinem. Następnie zmienił wyznanie i stał się duchownym anglikańskim. Jej matka natomiast była Walijką i pochodziła z rodziny samorodnego mistyka, „anielskiego Jonesa”.

Nazwisko Denise Levertov łączone jest zwykle z „rewolucją” lat sześćdziesiątych, z poezją przeciwko zbrojeniom atomowym i wojnie w Wietnamie. W istocie jednak najlepsze jej wiersze są bardzo osobiste i raczej kontemplacyjne, częściowo czerpiące tematy z życia w wielkim mieście, ale coraz bardziej zwracające się do rozmyślań o przyrodzie. Począwszy od 1976 roku Levertov, dotychczas agnostyczka, zaczęła pisać wiersze religijne, w których uprawia, według jej określenia, „teologię na domowy użytek”. Zebrała je w tomik pod tytułem „Strumień i szafir” wydany w roku 1997, na krótko przed jej śmiercią. W poezji współczesnej, jakiegokolwiek języka, taka katolicka poezja teologiczna jak jej jest rzadkością.



Fot. Elżbieta Lempp

Przyjaźniłem się z Levertov w jej starości, kiedy mieszkała w Seattle, stanu Washington. Trochę ją tłumaczyłem na polski. Kilka jej wierszy umieściłem w mojej antologii „Wypisy z ksiąg użytecznych”. Niektóre jej religijne wiersze drukowałem w „Tygodniku Powszechnym”. Ostatnio zebrałem moje przekłady w cały tomik, który pod tytułem „Żółty tulipan” ukaże się nakładem „Znaku”. Wybieram dla „Kwartalnika Artystycznego” kilka utworów.

*

Niekiedy zarzucałem tej poetce idealizowanie przyrody. W tym jednak wierszu, niemal zdjęciu fotograficznym, rzeczywistość równoległego okrucieństwa i piękna jest pokazana obiektywnie.

Zaczyna się dzień

Wiewiórka bez głowy, trochę krwi
sączy się z nierówno
urwanej szyi,

leży na zroszonej
deszczem trawie koło drzwi drewnianej.
Obok podjazdu

pierwsze irysy
otworzyły się o świcie,
eteryczne, ich fiołkowa różowość

prawie przezroczyście szara,
ich żyły, ciemne,
siniakowo niebieskie.

Blahy wiersz o hafcie jest dla tej poetki jakoś istotny. Opisywany haft przedstawia motywy baśniowe: dom niedźwiedzia i w nim dwie dziewczyny – róże – Róża Czerwona i Róża Biała. Autorka najwyraźniej utożsamia się z ciepłą, ziemską, wesołą Różą Czerwoną, nie z marzycielską, nieco eteryczną, Różą Białą.

Haft

Róży Czerwonej włosy brunatne jak futro
świecą w blasku ognia kiedy dla niedźwiedzia
przygotowuje na kolację
jabłka, miód, twarożek
i stawia przed kominkiem.

Szare oczy Róży Czerwonej
wpatrują się w las.

Rumieńce Róży Czerwonej
to znak jej żarliwego, radosnego
i współczującego serca.
Róża Biała jest blada,
odwraca się kiedy słyszy
łapę niedźwiedzia na klamce.

Kiedy on wchodzi
szron ma na futrze.
Zbliża się do ognia,
iskry z niego lecą.

Róża Czerwona wdycha
zapach lasu, grzybów, żywicy.

Razem Róża Czerwona i Róża Biała
śpiewają niedźwiedziowi
kołysankę, pieśń prząsniczki, pieśń weselną, pieśń o
pielgrzymce dawno temu.

Wsparty na łokciu
niedźwiedź, rozciągnięty przed kominkiem,
kiwa głową i nuci, potem wzdycha
i już chrapie.

Śpi a Róże pilnują ognia.
Zagłębiając się w chmury
swojej pierzyny
gotują się do snów.

Róży Czerwonej śni się,
że w jaskini pachnącej miodem
czesze futra swoich niedźwiadków
złotym grzebieniem.
Róża Biała leży z otwartymi oczami.

Róża Biała ma poślubić
niedźwiedziego brata.
Czy on też, kiedy nadejdzie pora
pozbędzie się niedźwiedziej skóry?
Czy ten inny, jej narzeczony,
jest w tym pokoju?



Fot. Elżbieta Lempp

Levertov mieszkała długo w Nowym Jorku. Ten wiersz mógłby równie dobrze nazywać się „kobieta i wielkie miasto” albo „mężczyźni i kobiety w wielkim mieście”. Opowiada o bardzo złożonych odruchach lęku, obrzydzenia, pociągu, współczucia.

Głuchoniemi

Te chrząknięcia mężczyzn
kiedy mijają kobietę
na ulicy albo przy wejściu do metra.

mające jej powiedzieć, że pleć jej żeńska,
i że ich ciało wie o tym,

czy są rodzajem melodii,
brzydką pieśnią śpiewaną
przez ptaka z rozciętym językiem,

choć miała być muzyką?

Albo stłumionym rykiem
głuchoniemych zamkniętych w budynku,
który wypełnia się dymem?

Pewnie i jedno i drugie.

Zdaje się, że tak chrząkać
to wszystko, co mogą zrobić,
ale kobieta, wbrew sobie

wie, że to wyraz hołdu,
gdyby nie to, że ma wdzięk
minęliby ją milcząc.

Bo jednak nie tylko jej mówią,
że jest ciepłą dziurką. To pomruk

żału, nie prymitywna
mowa jaskini. Język pokorny,
pobity, niezdarny,

w rozkładzie. Ona chciałaby
odrzuć ten hold, który ją brzydzi
i nie może.

Idzie, a to brzęczy jej w uchu,
zmienia rytm jej kroków. Podarte plakaty
w dudniących korytarzach

powtarzają to, i to zgrzyta, dygocę
kiedy nadjeżdża pociąg.
Nagle jej puls

przyśpiesza, ale wagony
zwalniają i już przystanek,
kiedy jej zrozumienie

tłumaczy ten dźwięk na słowa:
życie, jedno po drugim, mija

bez poczci,
bez urody,
bez miłości.



For. Elżbieta Lempp

Poniższy wiersz opowiada o sztuce, swojej i uprawianej przez innych. Siebie poetka zalicza do mniej kochanych przez bogów czyli obdarzonych mniejszym talentem niż najwybitniejsi twórcy. Oni to – Paul Cézanne i Henry James – dostarczają wzoru postępowania przez upór z jakim ścigali swoją wizję. Wbrew chwilom słabości należy ich naśladować, choćby dodawało się do sumy ludzkich odkryć nie więcej niż „jakiś odcień światła, jakieś skrzydło cienia”.

Dla tych, których mniej kochają bogowie

Kiedy zauważasz,

że twoje pisanie powtarza co odkryłaś
dziesiątki lat temu, pytasz w panice:
– Czy to znaczy, że żyję za długo?
Że powiedziałam wszystko, co było do powiedzenia?

Jest na to środek,
tylko jeden – na paraliż, chwytający
za gardło, obezwładniający rękę:
pamiętać o nich, wielkich,
pamiętać jak Cézanne
uparcie, sur le motif, zmagał się
ze swoją górą, upartym dziennym aniołem,
niby Jakub, żeby wydrzeć jej niechętnie
błogosławieństwo. Pamiętać jak James
powtarzał ciągle, raz po raz,
ten swój temat: utratę niewinności i zdobycie (nuta po
nucie, osobne,
aż razem zabrzmia chórem) gorzkiej samowiedzy. Każde
życie w sztuce
wyrusza przeciw smokom,
które, z krwawych łusek,
dźwigają się w cyklicznym rytmie:
wiedzieć–zapomnieć, wiedzieć–zapomnieć.
A to nie tylko namiętność trafienia w sedno
(choć to też), to oczekiwanie
na promienne epifanie, które przychodzą

i biorą w swoją władzę, tak nowe,
że nie umiemy rozpoznać ich inaczej
niż wspominając z żalem. Wtedy, patrz,
jakiś odcień światła, jakieś skrzydło cienia
są inne, nie zauważone. A ty
możesz, musisz
ciągnąć dalej.



Fot. Elżbieta Lempp

Jeden z wielu wierszy o rodzicach. Chyba ten jest późny, bo opowiada o wewnętrznej przemianie, która przypadła na drugą połowę jej życia. Podziwiam ogromny ładunek uczuciowy i zwięzłość środków użytych do jego przekazania.

Okazja

Mój ojciec po śmierci
ukazał mi się raz
w kształcie róży
ze strefy, której
nie sięgnie intelekt.

Tym razem przybrał ludzką postać
sześćoletniego chłopczyka.
Klękam, żeby go objąć,
czuję jego dziecinne gołe ramionka,
obok nas ocean
szemrze i szumi,
twardy piasek bierze blask
od powrotnej fali.

Korzystam z tego, żeby mu powiedzieć:
„Wiele zdarzyło się w ciągu lat,
wiele podróży
po świecie i wewnątrz mnie samej.
Po drodze uwierzyłam
w prawdę, w którą ty wierzysz.”

Dziecko łaskawie
daje się objąć, uśmiecha się,
słowa są niby fale
nad nim i dokoła niego,
słyszy ich ton,
wie, że jest kochany.
Wie tylko to.

Jedyna okazja,
żeby mówić, skorzystałam z niej
i jesteśmy zadowoleni oboje.

Denise Levertov
przełożył Czesław Miłosz

Współcześni poeci amerykańscy

w przekładzie Andrzeja Szuby

Kenneth Rexroth

Dla Ruth Stephan



Śnieg o zmierzchu.
Ostatni raz widziałem go
Z tobą.
Zginęłaś
Z własnej ręki
Po wielkim bólu.
Śnieg o zmierzchu.

Kiedy wschodzi półksiężyc
Polne świerszcze milkną.
Tylko świerszcz
Zza komina wciąż śpiewa, coraz
Głośniejszy, za gazowym piecykiem.

Kenneth Rexroth (1905–1982) – amerykański poeta, tłumacz i eseista. Debiutował zbiorem wierszy *In What Hour* (1940). Uważany za jednego z najważniejszych poetów natury i najlepszych w języku angielskim poetów miłości. Podsumowanie jego twórczości poetyckiej stanowią tomy *The Collected Shorter Poems* (1967) i *The Collected Longer Poems* (1968). Opublikował również tomy szkiców krytyczno-literackich: *Assays* (1961), *Classics Revisited* (1968), *American Poetry: In the Twentieth Century* (1971). Autor lub współautor przekładów poetyckich z języków orientalnych i kilku języków europejskich. (A.S.)

Późna noc, pod niskim
Blednącym księżycem jedenastego
Miesiąca oszronione dzikie owoce kaki
Na nagich gałęziach błyszczą jak
Perły. Jutro
Będą słodkie jak
Miód lata.

Siódmego lipca

Czy mogę przyjść do ciebie,
Kiedy kowboj przyjdzie do
Przędącej dziewczyny? Nie ma morza
Więszego od Rzeki Niebios

Był na nowiu, a jest
Półksiężycem. Tego nie sposób
Pojąć. Miesiąc temu
Byliśmy sobie obcy.

Naśladowanie Akiko – „Yoru no cho ni”

Dla Yasuyo

W przeddzień Nowego Roku odprowadzam cię do domu.
Masz na sobie oszronione kimono
Z wyszytymi na nim nagimi gałązkami.
Kiedy mijamy uliczną latarnię
W powietrzu unosi się kilka maleńkich
Jasných piórek. W twoich rozwianych
Włosach tworzą się gwiazdki, a ty krzyczysz:
„Pierwszy śnieg!”

Hototogisu – Horobite

Zew kukułki, choć
Sam w sobie słodki,
Jest nie do zniesienia.
„Umieram, umieram!” –
Na przekór Wiośnie.

Tsukutsukuboshi

W ten miesiąc wielkiego skwaru
Pierwsza cykada woła:
„Czas odejść”.

Nowy Rok

Pełny księżyc oświetla
Pierwsze kwiaty śliwy i otwiera
Rok Smoka.
Niech szczęśliwe Smoki
Obdarują cię radością.

Bez słowa

Gałęzie zmęczone upałem
Milczą...

Otwórz serce
Powiedz mi o czym myślisz
Kim byłaś
I kim jesteś...

Jak dzwony w które nikt
Nigdy nie uderzył.

Erinnerung

Za drzwiami mojej krytej słomą chaty
Zagubionej pośród lesistych gór
Wiatr w gałęziach starego drzewa ginko
Szeleści jak ciężki brokat.

Upadek dynastii Czou

Kuranty jadeitowych wisiorów przed poranną audiencją.
Kwiaty brzoskwini toną w wezbranym strumieniu.
Barbarzyńskie ogniska zalewają straże.
Dwa skowronki wspólnie wzlatają ku niebu.
Dwa serca śpiewają jadeitowym kurantem.

Tylko pustka

Czas jak szkło
Przestrzeń jak szkło
Siedzę cicho
Gdziekolwiek Cokolwiek
Się dzieje
Cisza hałas spokój niepokój
Wąż owija się
Wokół siebie
Wszystkie rzeczy są półprzezroczyste
Potem przezroczyste
Potem znikają
Tylko pustka
Bez granic
Tylko nieskończenie cicha
Pieśń
Zwijającego się umysłu
Tylko.

Kenneth Rexroth
przełożył Andrzej Szuba

Gary Snyder

Dla pięćdziesięcioletniej
kobiety ze Sztokholmu



Twój stanowczy podbródek
proste czoło
przechylona głowa

Kolana podciągnięte w swobodnym przysiadzie
twoje ciało opowiada

Historię dziewięciu porodów:

Wyrwa w tylnej

części miednicy

matko nas wszystkich,

od czterech tysięcy lat martwa.

październik 1982, „Kobieta z Bäckaskog”, Sztokholmskie Muzeum Historyczne

Opadają kwiaty śliw...

Opadają kwiaty śliw
pączki wiśni wciąż twarde
piję wino
w ogrodzie

O zmierzchu wychodzi

gospodyni

i trzepie dywan.

Gary Snyder, ur. 1930, poeta amerykański, wybitny przedstawiciel poezji natury, jeden z czołowych uczestników *beat generation*. Wydał m.in. zbiory: *Myths and Texts* (1960), *The Back Country* (1968), *Turtle Island* (1974), *Axe Handles* (1983), *Left Out in the Rain* (1986) i tom esejów *Earth House Hold* (1970). Laureat Nagrody Pulitzera za rok 1975. (A.S.)

Kwiecień

Leżałem na wznak
Obserwując słońce przez
Lśniącą siateczkę twoich złotych włosów
Nasze nagie osoby na
Stromym trawiastym zboczu
Twoje trzecie dziecko w twoim brzuchu
Twoja twarz przy mojej
Błogosławieństwo twojego męża
Dla naszej krótkiej, z góry skazanej miłości
My wszyscy paleni żarem
Kwietniowego wina i słońca
I płci i mnóstwa przyjaciół
Nasze ciała zapalają się
Przy dotyku,
Słońce przypala
Krętego węża
Twoich pleców.

Pomnik na Okinawie

„Sto dwadzieścia uczennic popelniło
W tym miejscu zbiorowe samobójstwo”.
Mija trzynaście lat od ich śmierci.
Te podlotki o twardych sercach
Z ich niemądrą niewinnością
Umierały z jakimś perwersyjnym wdziękiem;
Ich żyjące siostry
Można napotkać w barach –
Mile, energiczne orędowniczki pokoju.

Pieśni na polu bitwy pod Little Big Horn

Dzisiaj świergotki i świerszcze;

a wtedy –

Jak mistrzowie zen przypominają dorosłe śledzie

Tak niewielu osiąga pełne rozmiary
I jak niezbędni są wszyscy inni;
dary dla cyklu pokarmowego,
którymi żywi się inny wszechświat.

Ci wielcy są pokarmem rekinów.

Ważka

Martwa ważka
Na śniegu
Jak doleciałaś tak wysoko
Czy w górskiej kałuży
Zostawiłaś przed śmiercią
Swojego potomka

Evolution Basin, wrzesień 1969

Presja

Nisko latające samoloty -
rząd ma oczy
na niebie.

Szybkie samochody -
policja okręgowa
na polnych drogach.

Kiedy ludzie byli biedni
dawano im spokój.

Teraz, gdy są bogaci,
i policjanci, i złodzieje
chcą ich oskubać.

Pożegnanie z klasztorem po wysłuchaniu wykładu starego mistrza o powrocie do źródła

Na ostatnim zakręcie ścieżki
„do widzenia –”
– głęboki skłon
(mech i fragment
dzikiego
ptaka –)
ukłon.

Klasztor Daitoku-ji

Zamawiam chile verde w Gallup

Wilgotne wargi z profilu,
beztrosko żuje gumę,
rozczesana grzywka z przedziałkiem
kolczyki prawie do ramion,
spokojne wielkie oczy,
pełne miękkie
zamaszyste ciało z rozhuśtanymi
pod białą kelnerską sukienką
spiczastymi piersiami,
z niesmakiem potrząsa głową i
odkrzykuje do kuchni:

„Zielony! Z!”

Gary Snyder
przetłóżył Andrzej Szuba

Richard Brautigan

Ze strachu przed samotnością

Ze strachu przed samotnością
robisz tyle rzeczy,
które w ogóle nie są tobą.

Dąb

wrony / te
wrony / to
/to drzewo/

Hołd Charlesowi Atlasowi

Marzenie ćwiczy twój umysł
przez chwilę czy dwie jak niewidzialny
mięsień. Potem znika, rozplywa się
w niepamięci.

Richard Brautigan (1935–1984) – prozaik i poeta amerykański. Sławę przyniosły mu opublikowane w latach sześćdziesiątych powieści: *A Confederate General from Big Sur* (1964), *Trout Fishing in America* (1967), *In Watermelon Sugar* (1968). Później ukazały się m.in.: *The Abortion* (1971), *The Hawkline Monster* (1974), *Willard and His Bowling Trophies* (1974), *Sombrero Fallout* (1976), *So the Wind Won't Blow It All Away* (1982). Opublikował także dziewięć tomików wierszy, m.in.: *The Galilee Hitch-Hiker*, *The Pill versus the Springhill Mine Disaster*, *Rommel Drives Deep into Egypt*, *Loading Mercury with a Pitchfork*. (A.S.)

Spotykamy się. Próbujemy. Nic się nie dzieje, ale

Spotykamy się. Próbujemy. Nic się nie dzieje, ale
przy następnym spotkaniu zawsze odczuwamy
zażenowanie. Odwracamy wzrok.

Seksualny przypadek

Seksualny przypadek, który
okazał się być twoją żoną,
matką twoich dzieci
i końcem twojego życia, jest w domu
i gotuje obiad dla wszystkich twoich przyjaciół.

Cień siedmiu pechowych lat

Twarz wykoncypowana z resztek innych twarzy
potrzebuje lustro złożonego z kawałków
rozbitych luster.

Teleskop, planetarium, firmament wron

To bardzo ciemne bezgwiezdne
miejsce,
i nawet, kiedy docierasz tam
dwadzieścia minut przed czasem,
...jesteś spóźniony.

Dziewięć wron: dwie nie po kolei

1, 2, 3, 4, 5, 7, 6, 8, 9

1 września

Ładujesz rtęć widłami

Ładujesz rtęć widłami,
ciężarówka już prawie pełna. Sąsiedzi
poniekąd są z ciebie dumni. Stoją
wokół i obserwują.

3 stycznia

Zacząłem od pomyłki,
ale spróbuję się poprawić
i uporządkować ten dzień.

Czas przyzwyczać się

Czas przyzwyczać się
do spania solo,
ale to kurewsko trudne.

Pocztówka

Ciekawe, czy osiemdziesięcioletniemu pułkownikowi
Sandersowi kiedykolwiek znudzi się jeżdżenie po Ameryce
i opowiadanie o pieczonych kurczakach.

Ćma z Tucson w Arizonie

Dzwoni do mnie przyjaciel z Tucson
w Arizonie. Jest nieszczęśliwy.
Chce pogadać z kimś
z San Francisco.
Rozmawiamy przez chwilę. Napomyka,
że po jego pokoju lata ćma.
„Jest taka uroczysta” – mówi.

Śmierć jak igła

Śmierć jak igła
zrobiona z oddechu pijanego blazna
zszywa cię jakiegoś / Nie potrafię
odczytać dwóch następnych słów. Pierwszą
wersję tego utworu mam w brudnopisie. /
z twoim cieniem.

Bohaterka wehikułu czasu

Gdybyś jej powiedział, kiedy miała piętnaście lat, że
kiedy będzie miała dwadzieścia, będzie chodziła do
łóżka z łysymi facetami, i że będzie się jej to podobało,
pomyślałaby, że nie wiesz, co mówisz.

Autobiografia (Do widzenia, Ultra Fiołkowa)

W San Francisco dzwoni telefon:

„Mówi Ultra Fiołkowa”.

Nie znam jej, wiem tylko, że jest
aktorką filmową.

Chce ze mną porozmawiać.

Ma miły głos.

Rozmawiamy przez chwilę.

Potem musi gdzieś pójść.

„Do widzenia”.

Richard Brautigan
przełożył *Andrzej Szuba*

Od tłumacza

To, że bez Whitmana nie byłoby Ginsberga (i kilku tuzinów innych poetów) – przy najmniej w takim kształcie, w jakim znamy go dzisiaj – to pewne. Jaki byłby Snyder bez Rexrotha? Tego nikt jeszcze rzetelnie nie badał. Wiadomo, że obaj poeci spotkali się po raz pierwszy w San Francisco w roku 1952. Gwoli prawdy, poetą sensu stricto był tylko Rexroth. Snyder dopiero kielkował, do debiutu książkowego (*Riprap*) zostało mu jeszcze siedem lat. Tymczasem pracował w dokach, studiował w Berkeley, a w wolnych chwilach pisał wiersze. Do Kalifornii zjechał z Północnego Zachodu i był w owym czasie zaledwie jednym z chmary przyszłych luminary życia literackiego ściągających do tego miejsca ze wszystkich stron Ameryki. Tak było z Ginsbergiem, Kerouakiem, Philipem Whalenem i tyłoma innymi. Sam Rexroth, szukając swojej szansy, przybył tu z Chicago, tyle, że ćwierć wieku wcześniej. Szansę znalazł, był już uznanym poetą i tłumaczem, pretendował do tytułu duchowego przywódcy kalifornijskiej bohemy lat pięćdziesiątych. Są przesłanki po temu, by sądzić, że był akuszerem zjawiska artystycznego znanego jako San Francisco Renaissance i dobrym duchem jednego z jego nurtów – *beat generation*. Był konferansjerem i życzliwym obserwatorem historycznego (ze względu na pierwszą publiczną prezentację *Skowytu*) wystąpienia sześciu poetów w *The Six Gallery*. To tam, 13 października, po raz pierwszy przed tak liczny audytorium, zaprezentował się Snyder. Wystąpił jako ostatni z szóstki autorów i przeczytał poemat *A Berry Feast*, utwór, w którym było już wszystko to, co dekadę później skłoniło krytyków do nazwania go „poetą przyrody”. Nota bene, wcześniej „poetą przyrody” mianowano Rexrotha... Ale „przyrodników” było wielu, i niekoniecznie wszyscy musieli terminować u starszego kolegi. Również Snyder mógł być takim „ekologicznym” samorodkiem. Bardziej prawdopodobny jest inny rodzaj wpływu. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Rexroth cały swój wolny czas poświęcał tłumaczeniu poezji japońskiej i chińskiej. Owocem tej namietności były wydane – odpowiednio w latach 1955 i 1956 – zbiory *100 Poems from the Japanese* i *100 Poems from the Chinese*. A był to dopiero początek orientalnej fascynacji Rexrotha. Można więc domniemywać, że to za namową swojego pierwszego mentora autor *A Berry Feast* postanowił studiować chiński i japoński. A był to dopiero początek orientalnej fascynacji Snydera...

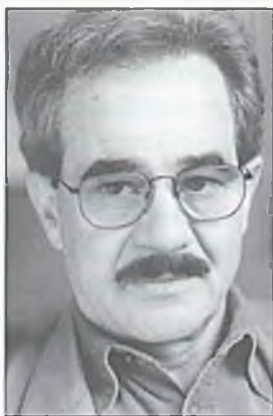
Brautigan to osobna historia. Bo też autor wyjątkowo osobny. Przyjechał do San Francisco z Oregonu w roku 1958, w najlepszym okresie poezji *beat*. Oczywiście, poznał kilku protagonistów nowego ruchu, uczestniczył w niektórych wspólnych spotkaniach autorskich, ale poza tym specjalnie się nie udzielał. Widziano, jak na rogach ulic sprzedawał swoje wydane prywatnym sumptem tomiki wierszy. Sławy i jakiego takiego statusu majątkowego dochrapał się w latach sześćdziesiątych i później, i to za sprawą prozy, dzięki której stał się kultowym pisarzem epoki dzieci-kwiatów. Wiersze pozostawały zawsze w tle i na marginesie, nie ma ich w żadnych znaczących antologiach, i nigdy nie były poddawane poważnej egzegezie. Owszem, próbowano je wcisnąć do szufladki z napisem „haiku”, ale przecież Brautigan zawsze trzymał się z dala od pączkujących już tu i ówdzie towarzystw skupiających amerykańskich „haikoidów”. Może poczucie pisarskiego honoru podpowiadało mu, że nie każdy kilkuwersowy utwór z wroną czy ścią w tle, to aż haiku.

Brautigan nie był stworzeniem towarzyskim. Stronił od literackich gield i koterii. Ale istnieją poszlaki, że cenil sobie pisarstwo Rexrotha i Snydera. Stąd moja arbitralna, przyznaję, decyzja pożenienia go w tym poetyckim, małym bloku z tymi autorami. Wreszcie znalazł się w dobrym towarzystwie, na którym zawsze mu zależało.

Andrzej Szuba

Henryk Grynberg

Portret zwycięzcy*



Fot. Elżbieta Lempp

W Kowlu Niemcy zamknęli Żydów w wielkiej bożnicy zanim ich zamordowali. Pewien żołnierz znalazł w tej bożnicy list napisany do niego na ścianie: „Ruben Atlas, jak wrócisz z wojny to się dowiedz, że tu spędzili swoje ostatnie chwile twoja żona Genia i twój syn Inusz, nasze najdroższe dziecko strasznie płakało nie chciało umrzeć, pamiętaj twoim obowiązkiem jest zemsta za krew twojego syna i żony, zemścij się my giniemy niewinni”.

Warszawa jeszcze płonęła, kiedy wezwał mnie do Głównego Zarządu Politycznego Jaroszewicz – już w randze generała – i skierował mnie do brygady pancernej. Za karę, że mi AK-owcy ze szkoły oficerskiej puciekali. Nie wiedział, że to nie była kara, bo ja chciałem z powrotem na front. Na odchodnym dodał z ujmującym uśmiechem, że skierował do brygady również Dankę, że dostała wreszcie stopień chorążego i będzie szefem kancelarii mojego wydziału politycznego. To była kara.

Brygada miała trzy bataliony czołgów, po trzydzięci w każdym, batalion fizylierów, kompanię saperów, kompanię zwiadu i kompanię sanitarną – wszystko oczywiście zmotoryzowane. Dowódca, jego zastępca liniowy, szef sztabu i prawie cały sztab, dowódcy batalionów, większości kompanii, a nawet poszczególnych maszyn, to byli Rosjanie, którzy nie umieli po polsku, nawet jeśli mieli jakieś polskie pochodzenie i ciągle dochodziło do nieporozumień i konfliktów, zwłaszcza po pijanemu. A pili nie tylko na postojach, ale i w marszu, nawet w warunkach bojowych. W każdym czołgu jechał kanister z wódką, przy każdym czołgu się kręciła dziewczyna, przygodna albo stała, którą ciągnął za sobą dowódca, i wszędzie rosyjskie przekleństwa i mordobicie.

Zrzuciłem od razu całą papierową robotę na kierownika wydziału politycznego, Olszowskiego, żeby samemu być zawsze przy dowódcy, na punkcie dowodzenia, a z dała od Danki, która miała w brygadzie wielkie powodzenie i w przekonaniu oficerów, którzy się z nią zabawiali, przyprowadzała mi rogi, choć już dawno nie utrzymywałem z nią kontaktów seksualnych. Nie miałem prawa przeciwstawić się grubiaństwu Milutina, ale nie ustępowałem przed równymi i niższymi stopniami. Nie poszedłem spać dopóki nie wysłuchałem wszystkich skarg. Nie darowałem znęcania się, niedożywiania i okradania żołnierzy. Nie cofałem się przed szantażem: – Pamiętasz, co po pijanemu mówiłeś o „manewrze wciągającym”? O kwalifikacjach marszałka Woroszyłowa? O tym, kto zagłodził Leningrad na śmierć?

* Fragment powieści na podstawie wspomnień Adama Bromberga, która ukaże się w Wydawnictwie „W.A.B.”

Przeszliśmy przez Pilicę, na pontonach, i manewrem oskrzydającym, nie napotyając większego oporu przetoczyliśmy się przez Pruszków i Włochy do tego, co zostało z Warszawy. Wzgórza gruzu, strzepy pojedynczych ścian jak skalaktyty sopłami w niebo, brudne szmaty popiołu i śniegu pod brudnymi szmatami chmur jak nierealne dekoracje katastroficznego teatru, ale realny śwąd, który osiadał na ustach i miał mdły smak, i dym, który tu i ówdzie unosił się z jaskiń. Ani psów, ani kotów, nawet wron, tylko tu i ówdzie jaskiniowcy w zgłiszczach dziobali jak wrony. Głęboki wąwóz między wzgórzami gruzu prowadził na Żoliborz, który jak na ironię wciąż stał, popalony i podziurawiony, ale jednak. Nawet większość jego „szklanych domów”, gdzie – bardzo dawno temu – mieszkalem z Renią i małym Alkiem. Renia, która chciała naprawić każdą niesprawiedliwość, którą osobiście bolała każda zniewaga, nigdy sobie nie wyobrażała takiej zniewagi i niesprawiedliwości, jaka ją spotkała. Alek, który w swoim krótkim życiu zdążył zobaczyć wszystko – włącznie z tym, co jego ojciec w „chorej” wyobraźni – też się przekonał na własne oczy, że nie wszyscy ludzie są braćmi. A ja, który dwa razy ich opuściłem myśląc, że idę ich bronić, nie obroniłem nikogo i stałem tam przed pustym szklanym domem, do którego nie miałem odwagi wejść.

Nad ranem poszliśmy na Bydgoszcz, z maksymalną szybkością, bo Rosjanie powiedzieli, że Niemców już w mieście nie ma i trzeba było je czym prędzej wziąć. Pojechałem przodem, z fizylierami, bo moje sto dziewięćdziesiąt centymetrów z trudem mieściło się w czołgu. Kilkanaście kilometrów przed Bydgoszczą stali Rosjanie i mówią nam, że to pierwsza linia, że dalej już ziemia niczyja. Przeczekaliśmy noc i poszliśmy o świcie tyralierą za szpicą czołgową. Na skraju miasta zobaczyliśmy mur w koronce z kolczastego drutu, a kiedy podeszliśmy bliżej, usłyszeliśmy krzyk. Czołg wiodący rąbnął w żelazną bramę, błysnęło i trzasnęło jak piorun i zza bramy ruszył ku nam tłum przerażonych ludzi. Parli przed siebie, krzycząc różnymi językami, i z nieprzytomnym wzrokiem rozbiegali się w pole. Nie chcieli się zatrzymać, a kiedyśmy ich chwyтали, bili, kopali, wyli, błagali, żeby ich puścić. W końcu wydusiliśmy z nich, że to jest wielka prochownia, którą oni obsługiwali i że Niemcy ją postanowili wysadzić, a prochu tam tyle, że pół miasta wyleci w powietrze.

Obóz opustoszał w ciągu kilku minut, więc postawiliśmy fizylierów, żeby nikogo nie wpuszczali i wchodzimy do miasta. A tu witają nas karabiny maszynowe i panzerfausty, bo Rosjanie tak sprytnie obeszlą Bydgoszcz, że zostawili nam ją razem z niemiecką załogą. Czołgi, które jak konie lubią otwarte przestrzenie, w mieście stawały się łatwym celem, a Niemcy bronili się do ostatniego, bo czołgiści nie biorą jeńców. Bo co mają z nimi zrobić? Wsadzić na czołg? Fizylierzy zaś nie mogli, bo musieli osłaniać czołgi. Nie biorąc jeńców, nie mogliśmy zasięgnąć informacji, prawdziwszych niż te, jakich dostarczyli nam starsi bracia, przez co wystawialiśmy się na nowe straty i koło śmierci się zamykało.

Natomiast informacje więźniów się okazały prawdziwe. Prochownia była gotowa do odlotu, nasze czołgi zaskoczyły Niemców w ostatniej chwili. Znaleźliśmy niedopakowane walizki, niedopitą herbatę, pełno żywności i odzieży

w magazynach i doskonale skórzane umundurowanie czolgowce dla całej brygady. Kiedy czołg płonie taka dodatkowa skóra ratuje czołgistów życie. Rozmieszciliśmy ostrzeżenia, że teren zaminowany, ale musieliśmy podłączyć z powrotem do drutów prąd, bo śmiałkowie przekradali się do magazynów nie licząc się z niebezpieczeństwem. Eksperci z sowieckiego dowództwa, którzy przybyli przejąć prochownię, kazali najpierw wejść najmłodszemu lejtenantowi i sprawdzić zabezpieczenia, a później, patrząc na nas jak na wariatów, wzięli listę z nazwiskami i fizylierzy dostali medale za odwagę, a ja Virtuti za strach, którego nie okazałem. Przyjeliśmy je z dumą, bo to było duże zwycięstwo – uratowaliśmy dwa tysiące ludzi.

W większości miast, które zajmowaliśmy, AK miała przygotowane swoje władze. Sowietci, którzy o tym wiedzieli, aresztowali każdego, kto się zgłaszał i zostawiali miasto na pastwie wojska. Dlatego pospieszyłem w Bydgoszczy na ratusz i czym prędzej zatwierdziłem burmistrza i zaraz się pojawiła dobrze uzbrojona milicja z biało-czerwonymi opaskami. Żydzi tu mieszkali w jedenastym i dwunastym wieku, w castrum Bydgoscense, a później w mieście, które założył Kazimierz Wielki, i handlowali z Gdańskiem. Wgnani w 1555, kiedy miasto postarało się o przywilej *de non tolerandis*, przenieśli się do Fordonu i nadal handlowali z Gdańskiem. Powrócili dopiero po 1772, gdy Fryderyk Wielki anulował tamten przywilej. Zbudowali wielką synagogę, szkołę, instytucje dobroczynne. W 1918 większość lojalnie przeniosła się za pobliską niemiecką granicę, ale trzy tysiące zostało. Teraz nie było ani jednego.

Większość miast i osad braliśmy bez walki. Niemcy zostawiali nam mieszkania z pełnym wyposażeniem i kluczami w drzwiach. Fryzjer brygady woził ciężarówkami zaopatrzeniowymi całe kufry odzieży, lekkie meble i ciężkie zegary i depozytował w Bydgoszczy za pokwitowaniem. Przed Walem Pomorskim doganialiśmy ich właścicieli. Ciągnęli długim pochodem – pieszo, konno i na rowerach, z tobołkami, wózkami, taczkami, tak jak my na początku tej wojny, tylko ich nikt nie ostrzeliwał z powietrza i nie obrzucał bombami, jedynie Rosjanie co i raz ich dopadali jak wilki i wyszarpywali co atrakcyjniejsze kobiety i przedmioty.

Losy wojny były już przesądzone i liczył się każdy dzień. Żeby uniknąć strat, starałem się jak najściślej koordynować współdziałanie piechoty z czołgami, ale stawało się to coraz trudniejsze, bo stan oddziałów już był niski i każdy chronił resztki swojego posiadania. Do największego impasu doszło pod Wierzchowem, które wraz z Borujskiem i Żabinem tworzyło bardzo silny węzeł w zespole niemieckich fortyfikacji i gniazd oporu. Miał iść z nami jeden z sowieckich pułków Bewziuka i do późnej nocy targowałem się z jego zastępcą politycznym, Urbanowiczem, który dobrze mówił po polsku. O świcie czołgi wyszły do natarcia, ale po kwadransie meldują, że stoją w polu same. Łączę się ze sztabem Bewziuka i krzyczę, gdzie piechota? A oni krzyczą, że zaległa, bo czołgi się zatrzymały. Chcę się połączyć z czołgami – radio nie działa. Złapałem willysa i gnam do Bewziuka. W dalszym ciągu się upiera, że to wina czołgów. Zabrałem jego adiutanta, biegniemy, padając i podnosząc się i widzimy, że czołgi stoją pod obstrzałem, a piechota leży i wypatruje. Biegałem od czołgu do czołgu i stukając w nie re-

wolwerem zawracałem jeden po drugim, lecz nie wszystkim się udało wrócić. I tak było za każdym razem: czołgi wychodziły, a piechota pod gęstym ogniem zalegała i ponosiłszy straty. Wtedy zgłosił się dowódca kawalerii, Radziwanowicz. Następnego rana czołgi poszły środkiem, ściągając na siebie ogień artylerii i cekaemów. Piechoty znowu nie widać, więc Niemcy byli pewni, że znowu zaległa i niczego się nie spodziewali. A kawaleria Radziwanowicza była przygotowana na skrzydłach i – dużo szybsza w polu od maszyn – spadła na nich nagle z obu stron. Była to imponująca szarża, ostatnia w historii koni, które jeszcze raz pokazały, że potrafią więcej niż my.

Wal Pomorski wykrwawił brygadę i straciliśmy więcej niż połowę czołgów, ale nas nie wycofano, ani nie uzupełniono, tylko jeszcze podzielono, żebyśmy byli bardziej widoczni. Jeden batalion, został skierowany na Berlin, żeby zatykać sztandary, resztki drugiego na Kołobrzeg, na zaślubiny z morzem, a ja z Milutinem na Gdańsk. Północny front składał się ze zdziczałych jednostek, które leżały w okopach od kampanii fińskiej, bez urlopu, kontaktu z rodziną i cywilizacją. Oni rzucali się na wszystko, co dało się pojąć. Gwałcili kobiety publicznie, na ulicach, zbiorowo, na ziemiach niemieckich wszystko im było wolno. Wyciągali z domów dziewczęta dla swoich dowódców. Pijackie orgie kończyły się pożarami, umyślnymi i nieumyślnymi, których ofiarą padały bezcenne budynki i całe kwartały miast.

Nasze czołgi nie mogły działać samodzielnie, a trzeźwego oficera się nie spotykało i nie było z kim się porozumieć. Po pijanemu rzucali rozkazy, a teren był bagnisty i trudny, zwłaszcza w czas wiosennych roztopów. Jeden nierozważny krok i czołg grząskim gruncie siadał. Główne szosy były zapchane sprzętem lub zawałone złomem i posuwaliśmy się pobocznymi drogami. W nocy, bo w dzień musieliśmy kryć się przed samolotami. Po kilka kilometrów na dobę, bo w ciemności maszyny ześlizgiwały się z wąskiej drogi i jeden czołg wyciągał drugi, dwa czołgi trzeci, który po kilkudziesięciu metrach znowu siadał w błocie. Silniki wylały przez całą noc i dusiliśmy się w kłębach spalin. Niemcy zaś mieli ułatwioną robotę, wystarczyło, że przecięli drogę między bagnami i niespodziewanie wchodziliśmy z marszu w bój z dobrze zasadzonym gniazdem oporu. Tak było pod Wejherowem, gdzie jeden taki bunkier trzymał nas przez cały tydzień, choć Rosjanie rzucali mu codziennie na pożarcie swoje pijane oddziały. Tu przyszło do nas w końcu uzupełnienie – trzydzieści nowiutkich maszyn z Uralu. Przeprowadzili je rosyjscy mechanicy, którym dano polecenie dostawić je wprost do brygady i dokładną marszrutę, gdzie nas znaleźć. Czołgi przyszły i w samą porę – bo Wejherowo leżało przed nami jak na dłoni i właśnie mieliśmy tam wejść – tylko że bez załóg, które czekały w szkole czołgowej w Toruniu. Mogliśmy do każdego wsadzić paru fizylierów, ale ktoś je musiał prowadzić.

– Ty jesteś dowódcą politycznym, to twoja robota – powiedział Milutin.

Wyjaśniłem mechanikom sytuację i zapewniłem ich, że ojczyzna im tego nie zapomni, choć byłem na Uralu, gdzie poznałem tamtejszych robotników i wiedziałem, że różne rzeczy im można zarzucić, tylko nie frajerstwo.

- My jesteśmy cywilnymi robotnikami.
- Nam kazano dostawić maszyny i wrócić.
- Nie ma o czym gadać, chłopcy, wracamy!

Sięgnąłem po mocniejsze argumenty.

- Tu rządzi prawo wojenne, my was nie prosimy, to rozkaz!
- My nie podlegamy twojej armii, ani twoim rozkazom.

Wyciągnąłem rewolwer, jako ostatni argument, i do tego, który to powiedział:

- Pojedziesz pierwszym czołgiem, ze mną! Właż i zapuszczaj motor!
- My się poskarżymy w Magnitogorsku!
- Napiszemy do Moskwy!
- Najpierw poprowadzicie czołgi...

Zaszarżowaliśmy z pełną szybkością i nie napotykając oporu wpadliśmy z ogłuszającym hukiem do Wejherowa. Niemców nie było, opuścili miasto, nasz huk ich wypłoszył. Nikt nie splonął, ani nie odniósł rany – to było nasze drugie prawdziwe zwycięstwo. Nieprzyjaciela nie potrzeba zabić, wystarczy zmusić go do odwrotu i jest to najpewniejszy sposób, nie tylko żeby zwyciężyć, ale i zobaczyć zwycięstwo na własne oczy. Oczywiście nie ma wojny bez ryzyka. Gdyby któryś z mechaników zginął, stanąłbym przed sądem wojskowym – dlatego Milutin mnie to zadanie powierzył.

Wyskoczyłem z czołgu przed kościołem i kazałem księdzu bić w dzwony i czym prędzej wskazać mi jakichś ludzi do zorganizowania władzy, zanim zainicjuje się rozboje i pożary. W ten sposób Wejherowo ocalało. Choć nie bez szwanku, bo dla Rosjan każdy przechodzień był Niemcem a każda dziewczyna Niemką. Gdańsk też by nie splonął, gdyby na czas zorganizowano władze.

Gdańsk zajmowaliśmy ulica za ulicą i dom po domu. Fizylierzy szli pod ścianami, a czołgi upewniały ich ogniem z dział. Przed Dworem Artusa, wciąż jeszcze całym, zrobiono zdjęcie, które weszło do podręczników szkolnych: sowiecki czołg, na czołgu ja, nade mną polski sztandar, a w tle wspaniały niemiecki barok, który w parę dni później został umyślnie i nieumyślnie spalony przez pijanych weteranów frontu fińskiego. Nie było straży pożarnej, nie było czym gasić i całe śródmieście splonęło, najstarsza, najpiękniejsza część miasta, a myśmy bezradnie patrzyli jak ogień zjadał dom po domu. Historia zaliczyła to do zniszczeń wojennych, bo gdzie?

Ostatnim skrawkiem ziemi w rękach niemieckich był Hel, trzydzieści kilometrów piachu, którego bronila woda, i dwadzieścia tysięcy żołnierzy, dla których nie starczyło miejsca na okrętach ewakuacyjnych, a teraz z trudem się mieścili na lądzie. Wojna już była skończona, a oni nie składają broni, nie chcą do sowieckiej niewoli. Nikt im się nie dziwił, ale co z nimi zrobić? Nikomu się nie chciało szturmować i krwawić. Obiegać też nie, bo każdy chciał już do domu. Dobrze, pojedą do Reichu – zgodziło się NKWD, jak zwykle niezawodne w takich sytuacjach. Brałem udział w pertraktacjach w imieniu polskiego wojska. Nie przypuszczałem, że aż tak mi się przyda niemiecki, kiedy go w Wiedniu intensywnie wkuwałem. Stałem potem między sowieckimi dowódcami, kiedy rzucali karabi-

ny. Wyższy od innych o głowę, zsunąłem sobie czapkę po rosyjsku do tyłu, żeby dobrze widzieli mój żydowski nos po zamordowanym ojcu i braciach i żydowskie oczy mojej zamordowanej matki i siostry, żeby nie mieli wątpliwości przed kim składają broń.

Szli przez całą Gdynię i Gdańsk. Gdańszczanie stali wzdłuż trasy żegnając swoich żołnierzy, w milczeniu, tylko buty dudniły. Szli z podniesionymi głowami, wcale nie jak pobici. Ich oczy mówiły – czekajcie, my tu wrócimy. Będziemy na was czekać – odpowiadały oczy z chodników. Samych jeńców było dziesięć razy więcej niż nas razem z sowieckim garnizonem i czuliśmy się nieswojo.

Towarowe wagony, w które ich załadowano, pojechały w przeciwną stronę niż im obiecano i nie wszyscy mieli stamtąd wrócić, ale nie spotkało ich nic gorszego niż trzy miliony jeńców sowieckich zagłodzonych w niemieckich obozach, a z moich nie wrócił nikt, choć nie poszli na żadną wojnę. Wkrótce potem wygnano tych, co chcieli na nich czekać i też nie miałem powodu ich żałować. Niech sobie czekają gdzie indziej. Oni moim nie pozwolili czekać nigdzie i nie miałem do kogo wracać.

Krzyżacy nie pozwalali Żydom osiedlać się w Gdańsku, ale przyjeżdżali tu żydowscy kupcy z Polski i Litwy i istniała Judengasse nad Motławą. Restrykcje, utrzymane za polskich czasów, zniesiono dopiero po rozbiorach. Połowa Żydów uciekła z Gdańska po pogromie w 1937 roku, a po Kryształowej Nocy zostało tylko tysiąc dwustu starych ludzi. Deportowano ich do warszawskiego getta i paru miejsc jeszcze szybszego konania, pozostawiając 22 osoby z małżeństw mieszanych.

Henryk Grynberg

Jerzy Gizella

Wygrzane miejsce



Fot. Julian Kornhauser

Co one z Krakowa zapamiętały?
Przeciąganie pod Bramą Floriańską
Słonia przez ucho igielne?

Spacerzy pod Kopiec Kościuszki
Aleją Jerzego Waszyngtona
Z portretu na dolarze?

Cmentarz żydowski na Miodowej
Rebekę graną nocami przez Paletę
Pod drzwiami sąsiadów?

Wojtka Bellona z siatkami karpi
Staszka Stabrę fruującego
Jak kot nad stołem?

Park Rakowicki
Pełen kasztanów
I rudych wiewiórek?

Pożar sklepu na pętli?
Chleb zakopiański od Kury?
Krzyk napadniętej nad Białuchą?

Czy tylko światło żarówek
Sączące się ze szpar
Sowieckiego bloku z betonu
Który nazywaliśmy domem?

Jerzy Gizella, ur. 1949 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1972-1978 nauczyciel języka polskiego w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych i wychowawca w Bursie Szkół Artystycznych w Krakowie. W latach 1978-1986 doktorant i pracownik naukowy Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1986 r. wyjechał do Francji, gdzie pracował w redakcji miesięcznika „Kontakt”. Od 1987 r. mieszka w Birmingham, Alabama.

Opublikował tomy wierszy: *Obustronne milczenie* (WL, 1977), *Gorzko* (LSW, 1979), *Szkola winowajców* (WL, 1980), *Rozstrój* (WL, 1984), *Ballady, sielanki, elegie* (Miniatura, 1994), *Wybór wierszy* (Baran i Suszczyński, 1997), *Sąsiad marnotrawny* (Baran i Suszczyński, 1998).

Raj mrówek faraona

Ich codzienne mutacje
Szlaki wędrówek po ścianach
Wzdłuż rurek centralnego
Ogrzewania
A może oziębienia
Coraz to nowe żerowiska
I gniazda wielomilionoworodzinne
W torbie cukru

A jeszcze geopolityka mrówek
Paczki Czerwonego Krzyża
I Czerwonego Półksiężycy

Namiętna gra w brydża
Mrówki pijane
Mrówki pracowite jak mrówki

Mrówki chodzące do Kościoła
Na butach człowieka
Zagubione wraz z kluczami
Do mieszkania

Zabijesz jedną mrówkę
Za chwilę lezie druga
I dmą w piszczałki
I walą w bęben

Nie to nie jest
Jeszcze koniec świata
To tylko uwertura
Do przeprowadzki

Mała emigracja

Przeglądanie się
W lustrach Wersalu
W sadzawkach
Robienie min
Wino bagietka

Z tego klótnia
Życzliwa
Czy poci mają dusze
Mają ale
Urodzeni przed wojną
Oni tylko wpadali
Do Paryża na chwilę
Zaczerpnąć powietrza
Posłuchać nowinek

Wracali naładowani
Blyszczały im oczy
Panie uśmiechały się
Przynoszono kwiaty
Wpisywano dedykacje

Trzeba być idiotą
Żeby wyjeżdżać
Z Krakowa na stałe

Weszliśmy do ogrodu
W garniturach
Białych koszulach

Wychodziliśmy
W walonkach
Fufajkach
Kaniolkach na głowie
Skuci kajdankami
Wolności słowa

Okręty bez kotwicy

Pan Różewicz zszedł na dół
Żeby nas uspokoić na Kanoniczej
Chciał spać a myśmy śpiewali
Na cześć Miłosza po Noblu
Miłosz ci wszystko wybaczy
Mając na myśli szkolne lektury
To pewnie się zdenerwował
A może przez Solidarność?

Na dole czekali już Cyganie
Opłaceni z góry na trzy dni
I ćwiczili czardasza z wódką
Na zmianę dopóki nie padli

Zostaliśmy sami przed Balatonem
Musiałem osłaniać Andermana
Swoją czerwoną kapotą bo młódź
Pilnie słuchała naszych piosenek

Stachowski latał jak torpeda
Z kloszem od lampy po piwo
Potem znaleźliśmy wiadro
Łatwiej było nosić napoje
Spod Płachty na Błoniach

Zajęcia na Ujocie
Dawno się zaczęły a my
Spóźniliśmy się o cały wiek
Za Hercegowinu Za cisorze Pana
Tak jsem to piweczko popijał

Julian Kornhauser Marszczył Brwi
Znacząco – to nas otrzeźwiło
Niektórzy zostali ojcami
Życie dało nam pieluchą w łeb

Aż raz z marchwianką w siatkach
Obudziliśmy niechęcy Cyganów
Zaczęli grać jak na początku
Jakby tylko trzy dni minęły

A my padając na kolana
Całowaliśmy po raz ostatni
Próg Tygodnika Powszechnego
Rozstając się na wieki

Powrót Odysa

Nad ranem
Uspokajało się morze
Niedopalków
I opadała fala
Fusów po kawie

Przybijałem do portu
Na Blichu
Z osadem soli na
Kołnierzu
I mankietami
Ciężkimi od pisku

W lornetce butelki
Oglądałem wykrzywioną
Gębę Charona
Z jednym srebrnym zębem
Świecącym jak latarnia

Wspyywałem mu na dłoń
Ostatnie obole a on
Holował mnie przez sień
I cumował do drzwi

A kiedy wreszcie
Uchylały się
Rozmazana twarz Penelopy
Wznosiła oczy ku sufitowi
Z dywanem grzybów –
Padalem miękko
Na stos swetrów
I szalików
Tkanych po nocach

Szklanki z herbatą
Wypadały gościom z rąk
A goście przez okno

Wtedy Penelopa
Rozwieszała na piecu
Mój pomięty dyplom
Magistra Nauk Wszetecznych
I Nieprzydatnych Do Życia
Z plamami szminki
Lakieru do paznokci
Wilgotnymi od łez
Numerami telefonów

Jerzy Gizella

Marian Pankowski

Kule

Szczerym podziwem, bez krzty zazdrości, darzę wybranych malarzy i filmowców, bo to nie pisarze! Taki Peter Greenway, na przykład. Jego *Zabójstwo w angielskim ogrodzie!* No a *Burza* według Szekspira, filmowana kamerą z Tysiąca i jednej Nocy! Ta sekwencja pełna pulchnych, dojnych rusalek, nurkujących lubieżnie w ogromnym akwarium; za kryjplęć mając kokardę ze sznura pereł...

Olśniewa mnie Greenway przewagą sztuki, sztuczności nad rzeczą zdarzoną. Nawet wielki Will stal się pretekstem do opisu inscenizacyjnego. Okazałość, wspałałość i przepych oszalamiający! No i zmysłowość, kurrrrczęta pieczone!

Kiedy w 1992 Luwr powierzył mi napisanie katalogu wystawy wokół dowolnie wybranego tematu, Greenway zaproponował l o t. Dał przy tym istną lekcję opartą na pokazie niemal stu dzieł plastycznych. Czego tam nie ma: rysunki, ryciny, wszystko co Biblia i mitologia umieściły między ziemią i niebem, w dynamicie wlotu bądź upadku. Od Jowisza, kiedy porywa młodziutkiego Ganimedesa, po piekło, w którym kłębią się upadłe ciała grzeszników. Nie brak wisielca odebranego już od ziemi w stronę zgonu na tle chmur...

Po wernisażu pewnie wyszedł nad Sekwanę. Wzniósł ręce, opuścił. Znowu wzniósł i na płask o powietrze raz i drugi... Wzlotu próbuje... Nici. Głowę zwiesi. Ciężkie ciało na ziemi zostało.

Tak mi się tu myśli, kiedy wychodzę z katalogiem. Trzymam go przy piersi, w obawie, żeby do wody nie p o l e c i a l. Naraz czuję uśmiech, gdzieś w osierdzu się zawiązujący. A teraz już go na wargach, na policzkach czuję. Pozwolę więc wspomnieniu w słowo i w składnię się oblec.

Marian Pankowski, ur. w 1919 w Sanoku. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podchorąży piechoty w kampanii wrześniowej. Od 1942 był więźniem obozów koncentracyjnych, Auschwitz, Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen.

Po wyzwoleniu osiada w Belgii. Studia slawistyczne pod kierunkiem prof. Klaudiusza Backvissa. Po doktoracie, *Leśmian, la révolte d'un poète contre les limites*, otrzymuje katedrę literatury polskiej na Uniwersytecie Brukselskim. Współpracuje z paryską „Kulturą”, londyńską „Oficiną Poetów” i brukselskim „Le Journal des Poètes”, gdzie ogłasza prace poświęcone polskiemu autorom współczesnym, jak również przekłady poetów (*Anthologie de la poésie polonaise du XV^e au XX^e s.* (1960).

Debiutował jako poeta w lwowskich „Sygnałach” (1938). Na obczyźnie wydał kilka zbiorów poezji, nowele, powieści (m.in. *Matuga idzie, Rudolf, Pątnicy z macierzyzny...*) i dramaty (m.in. *Król Ludwik, Brandon, Furbon i Ska, Teatrowanie nad świętym barszczem, Ręce na szyję zwrzucić i Ksiądz Helena*), grane w Genewie, Paryżu, Brukseli i Charleroi (Belgia).



Fot. Rose Leszczynski

Bo ja też latałem. W wieku szkolnym, rzecz jasna. Pomimo butów dziurawych. A... może dzięki tym butom? Potem mi skrzydła wyłysiały; za to podbrzusze się rozklączyło szumnie. Ziemski się stałem. I od tamtego czasu na głowie stoję, żeby się znowu uskrzydlić, żeby być kimś.

Nielatwe zadanie porą błyskawicznej wymiany nowin planetarnych. Ledwie pośród współczesnych zdążę przyjąć postawę pomnikową, przymrużyć zagadkowo oka, wachlując się rękopisem – zostaję sam na rynku. Znajomi dołączają do tłumy ciągnącego na lynch kolejnego nauczyciela, oskarżonego przez jedenastoletnią Wiolettę o takie rzeczy, że dziewczuszka wstydzi się o tym mówić, nawet mamie, nawet księdzu katechecie. A takie oczęta, jak jej, nie kłamią.

Słyszę brzęk szyb wybijanych, mijają mnie wozy telewizji, uskrzydłone żądzą prawdy. Dziennik o 20-ej przynosi podmuch emocji, która napelnia serca obywateli, tępicielei zła. Wysysając kość szpikową „ossa-buco”, przytakują filipice emerytowanego policjanta, prężącego na koszulce podobiznę zgwałconej dziewczuszki.

A ja? Do ziemi przypisany, wprawdzie czuję swędzenie u szczytu ramion, skąd skrzydła mogły być wykwitnąć, ale nadal ziemski pozostaję, z zielnikiem w ręku; krwiste mięsiste nasturcje, co mnie do szalu doprowadzały swym gardziółkiem, po latach zeschnięte na podkładkę miesięczną. Żebym nie wiem jak kartkował... nie wyczaruję już z nich lata prowansalskiego i wakacyjnego czasu. Tyle że przepisuję tamte doznania, smakując ich skruszałość, skruszałość sarniny co kiedyś biegała, brykała...

Znajomi spojrzą na moją książkę, uśmiechną się pośpiesznie, żeby się nie spóźnić na film humanitarny w telewizji. Tam na piaskach bezbrzeżnych mrowieje dzieci. I matki dające im cyczną skórę do ssania, dwukilowym Marsjaninom.

Wrócę do zielnika, w którym dziś jeszcze lśnią mrozem sprzed wojny stronicę z inspiracji pana Ryszarda. Bo pan Ryszard latał. W styczniu 1932 odbyły się w naszym Sanoku pierwsze mistrzostwa narciarskie. Był bieg na siedem kilometrów hen, hen przez Białą Górę, ale przede wszystkim był konkurs skoków na północnej stronie góry parkowej. Pan Ryszard startował. Widziałem, jak się podrywa, jak się wzbija, odrzucając w tył ramiona, jak leci nad nami... Jego sweter orzechowy iskrzył się szronem, kiedy sokolem szybował w stronę ziemi. A kiedy lądował, klaskałem, klaskałem aż bolały dłonie. Zdobył pierwszą nagrodę. Nie dziwota.

Miał gość szczęście, pragnął stać się k i m ś w latach trzydziestych. Chciał być ktosiem i mieszkańcom kilkunastotysięcznego miasteczka pokazać swoją klasę. Przychodziło mu to tym łatwiej, że był wówczas jedynym podróżnikiem, który z miejscowej stacji pojechał przez Kraków i Norymbergę do Antwerpii. Na studia handlowe.

Kiedy przyjechał na ferie bożonarodzeniowe, on i nie on! Miał wprawdzie ten sam byczy kark, te same oczy donżuańskie, ale inaczej się nosił! Zamiast kurtki podbitej takim czy innym zwierzem – trencz ostro przepasany, a pod nim swetrzycho z góralskiej surowej wełny. I szal obfity wokół szyi, kremowy! Niedbałe odrzucony przez ramię. A do tego pan Ryszard w grudniu, na tle ośnieżonych Karpat, chodził z gołą głową!

W Antwerpii, mówił, tylko starozakonni diamenciarze noszą kapelusz. Rybacy flamandzcy leninówki, natomiast mieszczanie z gołą głową, deszcz nie deszcz, skwar nie skwar; bo mrozu ci tam tyle, co kot napłaczce.

Mój brat Antoś był z panem Ryszardem w tej samej klasie. W maju, byli wtenczas w siódmej, rok do matury: ksiądz katecheta powierzył im zbórkę pieniędzy na kwiaty, żeby ołtarz Najświętszej Panny Marii przystroić konwaliami, różami i bzem bieluchnym. Znali córkę miejskiego ogrodnika. Załatwiła u ojca, że dostali bukiety po niższej cenie. Tak, że za grosze, co im zostały poszli na zakropony obiad do restauracji Gołkowskiego. To tak nawiasem.

Pamiętam, że pewnej styczniowej niedzieli Antoś umówił się z Ryskiem, jak nazywał pana Ryszarda. Wyszedł bez kapelusza, żeby z antwerpskim studentem, oba cwaj, dwóch hojraków wali korsem, rozstępujcie się dziewczyny, bo paniska, paniagi z chujem na sztorc, aż iskry lecą! Owszem nawet biały szalik ładnie do smagłej twarzy mu pasował, ale cóż... łysina! Wrócił się do domu po kapelusz.

Do Polski zawitałem po raz pierwszy dopiero w latach sześćdziesiątych, po niemieckich obozach, po latach emigracyjnych niedostatków. Brat Antoś był już kompletnie łysy. Był cudny maj. Na pana Ryszarda wleźliśmy na korsie. Jakby przytył. W każdym razie, kiedy podawał mi rękę, zaistniał między nami jego brzuch! Spojrzałem ukradkiem wyżej oczu. Jego panRyszardowe czoło wyogromniało! Jak kiedy powódź zanuluje płoty, że świat jednym Panbożym gospodarstwem, tak i głowa pana Ryszarda wraz z czołem były jedną kulistością na wysoki mahoniowy połysk. Całość cudnie opalona, rzekłbym kara, gdyby przymiotnik ten nie był zarezerwowany dla wspaniałych koni niosących naszych szwoleżerów w stronę sławnej Somosierry.

Wracaliśmy z bratem na niedzielny obiad. Lekko przekręć głowę i półgłosem.

– Wiesz Antoś, przypomniało mi się to wasze zbieranie datków na kwiaty dla Matki Boskiej...

Brat uśmiechnie się tylko, niemal z czułością gangstera, któremu udowodniono, że nazajutrz po włamaniu przysłał dwa tuziny róż purpurowych pani dyrektorowej, której dom ogołocił z Chagalli i Magritte'ów. Wzruszy jeszcze ramionami melancholijnie i nie patrzając na mnie.

– Co było, a nie jest...

Szliśmy już Jagiellońską. Patrzając pod nogi, bo chodnik był amatorskiej roboty, dorzucę.

– No... ale się spotykacie...

– Przypadkiem, tak jak dziś. On ma swoje życie, ja swoje... Wiesz, wojna ludzi odmienia...

Między Bogiem a prawdą pan Ryszard i mój Antoś zawsze byli różni. Średniowieczny autor ująłby to dwukolumnowo.

Antek był pstrągarzem,
Ryszek zaś karciarzem;
obaj brawurowi!
Pierwszy rybę jędrną

z wartkiej wody wabił,
drugi kartą wredną
graczy z forsy grabił...

Innymi słowy różnili się. No i talenty ich były niezamienne. Wiedza o cudach natury nie ta sama. Pan Ryszard zielonego pojęcia nie miał, jak złoty błysk daleko między dwie fale rzucić, żeby stamtąd, z jurnego prądu pstrąga wierzgającego do nóg sobie przyholować. Za to przy karcianym stole... cha-cha! Żelaznym wzrokiem potrafił oczy partnerów aż do mózgu przebijać! Wodą natomiast się nie interesował. Nawet w pewnym sensie nią gardził. Tyle że miała brzeg, na którym opalały się kapitanowe samotne po wyjeździe mężów na letnie manewry. Podchodził, okiem pełnym podziwu okrążał ten i ów trykot kąpielowy, zapytywał troskliwie, czy tu i tam... „nie uwiera”? Sam jednak nie zdejmował spodni tenisowych i zagranicznej kremowej koszulki. Cenił sobie to podkarpackie powtórzenie „Śniadania na trawie” Maneta. Ciąg dalszy był oczywisty.

Karty. Antek ostentacyjnie, prowokująco ignorował karty. Gdyby go przy stole posadzić, kwadransa by nie usiedział! Dziewiątka pik olchowe szyszki małutkie by mu naraz przypomniała, zerwałby się – i hajda! nad rzekę.

Bo w naszej rodzinie, jak u psów, lada dźwięk, lada woń, my już niuch do góry – i naprzód! Lada chmura słońce przesłoni, my już tyradę o deszczu, o burzy, no i o tęczy murowanej! O niej bez końca. My potrafimy zabawnie, „kolorowo”... zanudzać publikę, jak mało kto!

Dopiero następny pobyt w rodzinnym mieście pozwolił mi poznać nie wiem czy prawdziwego, w każdym razie innego Ryszka. Był czerwiec. Akacje stały kwiatem jakieś takie waniliowo-narzeczeńskie. Wlazłem na niego na targu. Oglądałem łyżkę lipową. Obracam ją w palcach i wzdycham. Zanurzam w niewidzialnym rosale. Nie. Odkładam. Rzeźbiarz siedzi na krzeselku, ludowy, jak należy, bo i wąs obfity i ręce ciemne od pracy na przyzbie. Natomiast łyżki są spod znaku folkloru dla turystów. Wzorki, wzoreczki, wzorunie, że gładkiego miejsca za grosz! Kto by śmiał taką łyżkę po maturze w prostej kartoflance zanurzyć! Jeszcze przez ramię spojrzę na to neorokoko, a tu dotyk poczuje. Pan Ryszard!

Wita mnie serdecznie, a kiedy mówię:

– Aaa... to pan, panie Ryszardzie! – rzuci wesolo.

– Ryszek... mnie Ryszek, a tobie Marek. Nooo? Tu nic nie znajdziesz. Co zbierasz? Drzewo? Metal?

Nigdy nie podchodziłem do staroci pod tym kątem. Rozkładałem ręce bezradnie i mówię:

– Szukam... szukam przedmiotu z przeszłością... rzeczy, która mnie zaskoczy... olśni. Może to być oszczep kongijczyka... czy paść na wilka.

Ryszek dotknie mego ramienia i przystanie.

– To ciekawe, co mówisz.

– A pan... a ty? Też kolekcjonujesz?

Westchnie i uśmiechnie się. Pomilczy przez moment, po czym:

– Otwórz dłoń, to ci coś pokażę.

Wyciągam rękę, jakbym w dniu pierwszym kropel deszczu oczekiwał. On palce w kieszonce marynarki zanurzy i coś błyszczącego na ręce mi położy.

– Aaa?! Owad metalowy? – I patrzę na miniaturowy dziwotwór. Kły nie kły stalowego wilka, na krzyż. POZNAJĘ! To dwie kule żelazne wystrzelone z wro-gich karabinów! Spotkały się w pół drogi, oszczędziwszy życie dwóm żołnierzom. Ryszek widzi moje osłupienie.

– Rzadka rzecz, jeżeli nie jedyna na rynku kolekcjonerskim. Mam to sprzed wojny. Robili mi, jak się to mówi, interesujące propozycje... Mowy nie ma. To mój fetysz. Wszystko inne można dziś podrobić, ale nie to, ten traf... to niepraw-dopodobieństwo, które się zdarzyło!

Jeszcze nie dokończył zdania, a ja już widzę go w locie. Patrzę pod słońce, jak szybuje na nartach w swym swetrze oszronionym zorzą, już nie nad skocznią, ale nad łańcuchem gór. Widzę, jak się zniża, jak spada sokołem i natychmiast wraca pod obłoki białe, unosząc w dłoniach garście kul jeszcze ciepłych od wojny.

– Zaraz – mówię – przecież tyś studiował w Antwerpii... Tu wpadałeś na kil-ka dni... kiedy więc?

– Kiedy zbierałem? Ha... miałem swoich dostawców. Niemal odnowilem tra-dycję zbieractwa... zbiorowego. Znasz to z ilustracji... Siewcy idą frontem do po-la i hojnym lukiem sypią ziarno. Tak kazałem iść chłopskim dzieciom. – Śmieje się złotym zębem – Taka dziecięca „kruczata”! Co? Idą szkraby ławą i jak tylko coś błysnie na roli, jakiś metal plugiem czy broną zraniony, oni chap! I do ko-szyka... Za zgodą starych, oczywiście. Starzy wiedzieli, że to „do muzeum”, że cel szlachetny... no i na piwo zawsze coś tam im do łapy wsunąłem.

– Na metal... na ołów?

Znowu się śmieje pan Ryszek, ale tym razem jakoś inaczej. Przystanie. Poło-ży mi rękę na ramieniu.

– To stara historia. Dziś mogę ci chyba powiedzieć... Może nie tu. Siądziemy w parku? W domu żona mi choruje, tak że...

Idziemy, mijamy dawne gimnazjum i już park z pomnikiem krasnoarmiejców, dziś obrabowanych z gwiazd i imienia. Pierwsza aleja i ławka.

– W antwerpskim porcie jest jedna knajpa... Przed wojną, rzecz jasna. Zacho-dziłem tam na ich „schiedam”, taką jałowcówkę... Pewnego letniego wieczoru przysiada się do mnie gość... trzyma fajkę w ręce. Pumpy, koszula sportowa roz-pięta... „Czy może?” Coś mi za elegancki, jak na knajpę... Dziennikarz? Domy-ślił się we mnie cudzoziemca. Sądził, że ja rosyjski – nie śmiej się – arystokrata. No, ale zgodził się na Polaka... z Podkarpacia. Koniecznie piwo mi stawia i dzi-wi go, że ja wołam ich „schiedam”. Pytaniami mnie zasypuje, no istna ankieta. Raz po raz do geografii nawiązuje. O pierwszej wojnie światowej. O przełamaniu fron-tu w Gorlicach. Patrzę na jego palce, a on k u l k ą s i ę b a w i... wiesz taką zaokrągloną, ruską.

– Szpieg? Myśliwy?

Ryszard zaprzeczy głową i spojrzeniem.

– Kolekcjoner, mój drogi... i to międzynarodowy! A raczej agent. Pośrednik. Załatwiał zamówienia zachodnich zbieraczy broni wojennej... u ż y w a n e j, a przede wszystkim pocisków.

Patrzę na niego niemądrze. Na koniec.

– Pocisków... chyba n i e u ż y w a n y c h?!

– Mylisz się. Właśnie wystrzelonych! Każda z proponowanych przez niego kul... musiała mieć przeszłość, jakby to powiedzieć... – śmieje się – no... ludzką. Strzelec bierze wroga na cel... Palec na spuście... Kolba do ramienia coraz czulej... lewa ręka pod ostatnim bączkiem... i p a l!

Ta kula coraz dalej od lufy macierzystej, coraz bliżej piersi wroga. Trafiła! Już mundur przeszywa, do ciała się wdziera! Po czym to poznać? Po tym, że ów żołnierz lewą ręką za serce się łapie... usta pragnie szeroko otworzyć, żeby przeciw śmierci zaprotestować! Za późno... Pada... i to jak bądź... nieestetycznie. Kula natomiast... ta sprawczyni zgonu bitewnego... pojawi się po latach i stanie się lapidarnym wyrazem tamtego momentu... któremu kolekcjoner godność przywraca.

Patrzę poprzez Ryszarda. Wyobraźnia zasypuje mnie obrazami portowych knajp, zadymionych, że siekiere byś tam powiesił. Ryszka tam widzę. Kurzy ogromną faję. No komin! Spojrzę na niego, tego przede mną, i widzę jego uśmiech. Wybacza mi zamilknięcie, jakby dziecku darowywał, kiedy o świecie zapomina, patrząc na kota, jak się garbi i garbi coraz wyżej... Poklepie przyjaźnie moją rękę leżącą bezbronną na stole i powie.

– Bawiłeś się ołowianymi żołnierzami? No widzisz... tamci goście to coś kuli tego. Nie brak pośród nich takich, co odgrywiają miniaturowe wojenki ołowiane...

Skoro mi ufa i opowiada, zapytam.

– A ten gość... w antwerpskiej knajpie... nie chcę być niedyskretny...

– Bądź, bądź! Zaprosił mnie do siebie. Mieszkał, jak baron. Przede wszystkim jego gabinet... mahonie i gabloty.

– Pełne kul?

– Nie, nie... W gablotach mapy, a na nich miejsca bitew czerwonym sznurem jedwabnym obwiedzione... W środku srebrem migająca kula, z tamtego właśnie pobjowiska. Miał notariusz kule z Indii, gdzie Anglicy salwami uśmierzali bunt autochtonów... miał kulę w tarczy murzyńskiej... Ugrzęzła w sęku! Po innych otwory, przez które przeleciały kule belgijskiego kolonizatora...

Na koniec pokazał mi mapę Europy. Czym dalej na wschód, tym mniej było znaków i podkreśleń miejscowości... Widząc, że patrzę na Polskę, doda.

– Cieszyłbym się, gdyby pan zechciał mi pomóc... w uzupełnieniu... i palcem stuknie w nasze ziemie.

– Zgodziłeś się.

– Nie od razu. Powiedziałem, że się namyślę... I się namyśliłem. Z każdej wakacji przywoziłem mu kule, każdą w osobnej kopercie, z datą bitwy, gdzie znaleziona i w ogóle... – śmieje się – Tyle, że brakowało nazwiska... dzielnego żołnierza, który tę kulę młodą krwią zahartował!

Patrzy na mój podziw zmieszany ze wstrętem. Wie, że nie ośmielę się dalej pytać, bo trupy, bo groby i ojczyzna. Westchnie.

– Z początku było mi głupio... Nawet byś nie zgadł, kto mi pomógł przełamać te różne opory... Polak! arystokrata. Od zaprzyjaźnionego marszanda w Paryżu dostał mój adres. Zaprosił mnie na weekend. Nie do siebie, zarezerwował dla mnie pokój w małym hotelu. On sam mieszkał na wyspie św. Ludwika. Salon, mówię ci cudo! Okno na Sekwanę. Za to kuchenka masiopka, że z gestami ostrożnie, bo inaczej okno łokciem wytego. No nic.

– Kultywował tradycję rodową? Szukał relikwii do swej liturgii?

– Widzę, że chwytasz sprawę w podskokach!... Był z rodziny powstańca z 1863.

– Marzył o kuli, która zabiła mu przodka?

– No nie... Tym razem poplątałeś... Wprost przeciwnie, on pragnął zdobyć kule powstańców, odlewane z ołowiu w leśniczówkach, w samym sercu puszczy... Kule, co robiły dziurę jak pięść w moskiewskim pacanie!

Widzę po minie Ryszka, że i to mu się udało, ale udam, że nie wierzę w możliwość zdobycia takiego znaku wojennej przeszłości. Potrząsam więc głową i głęboko wzdycham. Na koniec.

– Innymi słowy... gwiazdki z nieba mu się zachciało...

Udał mi się fortel. Ryszek niby śmiech opanowuje, na znak że nie chce triumfować nad moim niedowiarstwem. Westchnie, ale wesoło, i jasnym głosem.

– Znowu młodzi mi pomogli. W ubiegłym roku. Wiesz, nie ma dzielniejszych eksploratorów, jak czternastolatki! Wystarczyło, żebym powiedział... "No nie, to niemożliwe, na to się nikt nie zdobędzie"... żeby jeden z nich w pierś dłonią się rąbnął, że jest taki!

Widzi Ryszek moje niedowierzanie, widzi że powściągam uśmiech w kącikach warg. Spojrzy mi w oczy wyrozumiale.

– Masz prawo wątpić o prawdziwości tego co ci teraz opowiem... Rok temu, tu na tej samej ławce siedziało dwóch sztubaków. Szedłem na skróty, do siostry na Szopena. Kiedy ich mijalem, uklonili się. Było w tym coś tak nadzwyczajnego, że przystanąłem. Zachorował ich profesor. Mieli dwie godziny do obiadu w domu. Od słowa do słowa, zafundowałem im piwo. Jeden z nich skoczył do pobliskiej budki po trzy butelki.

– I to oni...

Ryszard pomógł mi.

– Dobrze się domyśliłeś. Znowu przypadek. Znali kogoś... leśniczego. Przy kopaniu fundamentów pod nową leśniczówkę murarze natrafili na mogiłę beziemienną... ale nie całkiem. Zachowały się guziki. Spoczywało tam dwóch jegrów, moskali zastrzelonych w lesie przez naszych powstańców.

– Właśnie takimi grubymi kulami... domowej roboty?

Ryszek potakuje mi i uśmiecha się; oczami znać mi daje, że cieszy się, widzi bowiem, że przezwyciężyłem swe niedowiarstwo.

– Takimi, takimi, mój złociuśki! Wynagrodziłem wszystkich, jak należy... Chyba zgodzisz się ze mną, że to... towar wyjątkowy!

– I... uszczęśliwiłeś paryskiego rodaka?!

Smutkiem oblecze twarz swą Ryszek. Nawet nie potrząśnie głową, jak w takim wypadku rozmówca powinien uczynić. Nic tylko patrzy mi w oczy, jakby mówił: „Coś ty, z wielkanocnego chuja się zerwał, czy co?!” A widząc, że już odczytałem jego sprostowanie, tak powie.

– Pojechałbym, bo mój hrabia w noworocznych życzeniach pisał: „Za stary już jestem, żeby wybrać się w podróż do miejsc rodzinnych, wie pan, człowiek strzela, a Bóg kule nosi... Ufam, że pan wkrótce się wybierze do Paryża. Tu żył nasz Mickiewicz i nieśmiertelne swe dzieło komponował, w czym pomocni mu byli rodacy, znosząc kule z pól bitewnych... żeby je na czcionki przetopił!”

– Pięknie wyrażone, aluzyjnie i z humorem – rzucam – Oczywiście pojechałeś.

– Nie.

Patrzę na niego. Czuję, że milczenie które nastąpiło, zaczyna tężeć. Jak San w zimie, kiedy woda zwalnia toku bo mróz. Wtedy starzy, znający jeszcze mowę, mówią strzyż płynie, pewnie w nocy rzeka stanie. I nagle przypomniało mi się, co mama pisała, kilka lat temu. Powiem. Nie. Powiem.

– Skorzystam z chwilowego milczenia, żeby ci opowiedzieć historię o której pisała mi mama. W szkole, już nie pamiętam której... chłopcy donieśli katechecie, że dwóch kolegów bawi się... klejnotami. Że pokazywali złote kolczyki, naszyjnik z perel i branzoletkę. No nic. Godzina religii. Kiedy już usiedli, ksiądz wywołuje ich do tablicy, tych dwóch. Skąd to mają? A oni z dumą, że do „boga-czy pošli”. Że „tamtych to i tak niepotrzebne, a życie dziś drogie!”

Ksiądz cały roztrzęsiony tylko zdoła wydobyć z siebie.

– Wy się piekła nie boicie... też to straszny grzech!

Na to jeden z nich roześmiał się do katechety.

– Tyyyy??? Wasze czasy już się skończyły – i do kolegi – chodź Pawełku – i poszli sobie... Być może tu do parku?

Pan Ryszek zbladł. Sięgnął po fajkę do kieszeni. Nabija ją. Na koniec.

– Słyszałem i ja o tym, ale to nie u nas... Sprawa ta, dosyć głośna, miała miejsce w którymś z sąsiednich miasteczek... ludzie pomieszali, jak to ludzie.

Ostatnie słowo wymówił jakby ze smutkiem, jakoś tak, jakby pragnął wyrazić żal, że mu nie dowierzam.

I naraz poczułem w sobie, jakby chęć naprawienia sprawionej mu przykrości, mają opowieścią o zdziczałych dzieciach wojny. Prędko zmienić temat. Plus uśmiech.

– Zaraz... a ten gość z Antwerpii w pumpach i popielatej, aż za eleganckiej koszuli... przecież on mógłby ci pomóc w nawiązaniu kontaktu z paryskim staruszkim?

– Nie żyje. Jeszcze za komunistów była tu wycieczka z Holandii. Między entuzjastami naszego ustroju przemyciła się starsza pani, emerytowana nauczycielka. Przywiozła mi „pозdrowienia od kolegi ze studiów”... Domyślasz się, że „pозdrowienia” były... „zielone”? Lata pięćdziesiąte... Dalem jej w rewanżu, „dla kolegi ze studiów”... nie domyślisz się c o! 1944. Trzydniowa kanonada artyler-

rii radzieckiej. Kiedy krasnoarmiejcy szturmem wpadli do okopów Wehrmachtu, tam cmentarz i... cyrk! Żołnierze w kawalkach, usta rozdziawione do wiecznego śmiechu... Garstkę tych co przeżyli, ruscy wzięli do niewoli... trupami musieli zająć się miejscowi chłopci. – Uśmiecha się, jakby mu się twarz matki w szpitalu przypomniała, dziękującej synkowi za białe róże. – A w tych trupkach, mój Marku z jarmarku... odłamków, odprysków, odbryzgów... bez liku, jak się to mówi. Pamiętasz nasze „andrzejki”, kiedy to dziewczuchy roztopiony ołów do wody w miednicy – chlust! Żeby z kształtu cienia na ścianie męża rychłego sobie wywróżyć... Wybór miałem taki, mówię ci... stalowe pamiątki, skarby mój mały!

Westchnie. Niby się uśmiechnie.

– Niestety, skończyło się babci sranie. Umarł mój... ambasador w Antwerpii. Wraz z nim urwały się więzi kolekcjonerskie... A szkoda, bo dziś Europa zaczyna być w modzie... Europa, a z nią nasza Galicja... A ja mam tu kolekcję wcale niebanalnych staroci – Spójrzy na zegarek – Zgłodniałem. Zapraszam cię na obiad. Wcinanie całkiem, całkiem... A tu ławka zrobiła się twarda. No?

– Z przyjemnością. Dziękuję ci. Muszę tylko zadzwonić do bratowej, żeby nie czekali.

I rozglądam się, jakbym szukał kabiny telefonicznej. Z ledwo zaznaczonym uśmiechem, pan Ryszek podaje mi kieszonkowy telefon. Dzwonię, idąc aleją pod kasztanami postarzałymi, z których wtedy, kiedy? wtenczas, wówczas, jak jechali Szwedy, otrząsałem sztubackie chrabąszcze.

Bratowa zawiedziona. „Zrobiłam zupę jarzynową, jaką lubisz... No cóż, ludzie cię rozechwytują... Europa jest w modzie...”

W restauracji „Pod siwym koniem” przystawka nadal ta sama, jak za PRL-u: śledzik w śmietanie i wódeczka. Przyjemność sprawia mi widok czubato napełnionego kieliszka, ta wypukłość płynu pod światłem kulistym, alkohol co czeka na mój ostry gest i przymknięcie powiek.

Pan Ryszek trzepnie zawartość kieliszka, trzepnę i ja! Uśmiecha się ciepło i ja się uśmiecham. A on.

– W ubiegłym miesiącu byli tu goście z Wiednia, od... geologii czy ekologii, mniejsza z tym. Co oni się nie nawzruszali, oglądając tutejsze secesyjności we wschodnim wydaniu... te nasze kamieniczki, do których architekt poprzyklepiał wygibaszy kielbasy modrozielone powiązane w stiukowe kokardy... Poznałem jednego z facetów. Zakochany w naszej Galicji. Klient nad klienty. Zamówił u mnie mundur oficcerski z czasu pierwszej wojny.

– Dziś?! – zbyt głośno reaguję – Gdzież ty to znajdziesz?!

Pan Ryszek odkłada widelec umorusany buraczkami i rezygnuje z dźgnięcia pieczeni wieprzowej. Patrzy na mnie, jak na biblijnego niedowiarka, wybacząco.

– Mam już dwie bluzy – Śmieje się śmiechem kolekcjonera szczęściarza – na jednej z nich widoczne trzy ciemniejsze plamy.

– Krew zaschnięta – Sugeruję z powagą.

– Nie, mój Marku na jarmarku... to po prostu miejsca nie spełnione... pod medalami.

Powróci do zwykłego, towarzyskiego uśmiechu. A widząc moje zmieszanie, sięgnie do kieszeni bliskiej serca, po czym stuknie żartobliwie czymś o blat stołu! Patrzą, a to KULA OŁOWIANA! Ta rodem ze strzelby szlacheckiej, kula domowego odlewu, andrzejek wlany do foremki, kiedy wiatr przyginał modrzewie, że słycać było jak słoje trzeszczały!

Biorę ołów do ręki. Są pałki. Pięć patek. Ledwie doliczyłem znaki do końca, pan Ryszek kulą bliźniaczą o stół stuknie! I obie w moją stronę posunie. Tak że one przy moich sztucach. Ledwie się drugiej przyjrzał i pomyślał, że kubek w kubek, jak tamta, pan Ryszek wódki nalewa i półgłosem tak do mnie się zwróci.

– Wstań, mój mały – kieliszek podniesie. To i ja wstanę i swój podniosę – Zdrowie kolekcjonerów europejskich! Pijemy na trzy łyki, ostatni do dna! Raaaz!... i dwa... i trzy!

Odstawił próżny kieliszek, podejdzie do mnie, żeśmy twarzą w twarz... i rękę do mnie wyciągnie p o d s w y m u d e m! żeby ją uściśnął. Widzę jego prawicę smagłą od karpackiego słonka, owłosioną siwo, widzę jego grube palce.

I on tą ręką spomiędzy ud w moją stronę... Ściskam ją, jakbym... no nie powiem... i głupio mi. A on moją uściśnie i dziwnie mi w oczy spojrzy. Teraz swoją spod dupy na świat boży wyniesie. Bierze mnie w ramiona, trzykrotnie całuje i półgłosem, no bośmy w restauracji, tyle że w kącie...

– Marku, Józefie, Feliksie... mianuję cię moim plenipotentem, członkiem światowego klubu zbieraczy kul śmiertelnych... I upoważniam cię do działania w moim imieniu na terenie Królestwa Belgii... Możesz usiąść.

Wracam do mego krzesła. Ryszek siadając, drugą kulę, niby nic, do pierwszej dosunie.

– To twoja... w pewnym sensie archeologiczna... również patriotyczna misja, związana z naszymi dziejami... Masz odnaleźć wdowę po twym zmarłym poprzedniku.

A ja, jakbym się nagle z ciężkiej drzemki zbudził, po obżartym posiłku, zalany piwem posledniego gatunku. Głowę roznoszą harcujące myśli. Istna polka wariatka! „Wrobił cię gość. Nie, to zaszczyt móc tak handlować po świecie. No i forsa. Jaka tam forsa? Stresy nie forsa”.

Ryszek już wyjaśnia szczegóły.

– Ta wdowa, Madame Verstopfen... tu masz adres... – wizytówkę miniaturową położy mi przed talerzem – powierzy ci dla mnie „pозdrowienia”. Nie będziesz musiał się targować. Ona zna taryfę. Za te kule połuczysz sześćset dolarów. Przywieziesz je na Boże Narodzenie, ten... grosz wdowi.

Patrzy na mnie, jakby wzruszony. Potrzęsa delikatnie głową, wstając.

– No, nooo... kto by się tego spodziewał, że brat Antka zostanie kolekcjonerem na europejską skalę... a nie lokalnym pstrągarzem. Trzymaj się ciepła, mój mały... no i cześć, ambasadorze!

A ja jego rękę przetrzymuję bo czuję że muszę z siebie wynurzyć zachwyt sprzed lat i tak się do niego zwracam.

– Panie Ryszku, drogi mój Ryszku... żeby nie wiem co, jakie czasy i losy, for-

sa nie forsa, góry i lasy, stresy i biesy... ja ciągle pana widzę, jak pan leci nade mną w błysku-połysku nart... w tym swetrze roziskrzonym szronem naszych gór...

I koncept mi się urwał. Potrząsnie głową energicznie pan Ryszek i po policzku mnie poklepie, aż mi się wokół serca ciepło zrobiło.

U bratowej czekała na mnie pyszna kawa i piaskowe babeczki. Chrupanie rodzinne braci. Naraz Antek wargę wargą przydusi.

– Pogadaliście sobie o dupie Marynie-jak-jej-było-na-imię? Co? O antwerpskich cipach? Cooo?

– Oooo – mówię, udając obojętność – Ryszek o czym innym mówił; podobno rośnie za granicą zainteresowanie... galicyjskością, wiesz, tych naszych kamieniczek secesyjnych...

Brat polyka przynętę.

– Wiem, wiem... owszem, dba się o odnowę zabytków... przede wszystkim zamku! Mówił ci Ryszek o restaurowaniu zamku?

– Nnnie.

– A, o alei pod zamkiem?

– Nie.

Antoś zaciął wargi. Oziębł oczy i głową potakuje, jak sędzia w stronę kata, że zbrodnia dowiedziona, że może topór wznieść. Wybucha.

– Wiedziałem! Dla niego zamek nie istnieje. On ma zamek w dupie. A wiesz dlaczego? Dlatego, że tam brak stolika dla karcianej ferajny! A... ikony są za duże, żeby nimi w pokera lupać! Nie, nieee, nie przerywaj mi! On miasta nie kocha. To kosmopolita... On nawet nie wie, że w tym roku kasztany pod zamkiem zakwitły... dubeltowo! Ludzie stawali, gęby rozdziawiali. Pamiętasz tę kremową białość stromych kiści? No a tuż, tuż gaj gęstych łożin. Tam żołnierz z niedzielną kuchtą... tam ci macanka-jebanka, że czuć na szosie! Ale ten Ryszek, on ci o naszym grodzie królewskim – ani słowa! Renegat.

Moment milczenia. Więc ja polubownie.

– Jemu śnią się wciąż tamte blond Flamańki, które kiedy pijesz piwo, fryty ci do ust wkładają... Nie dziwota, że we mnie widzi... coś jakby to określić... jakby plenipotentą tamtych lat jego młodości?

– Ładnie to powiedział. – Mówi brat, nieco już udobruchany – Napij się?

Nie trącamy się. Pijemy po prostu. On pewnie patrzy na karciarza co kładzie obrazki na stół, a ja śledzę kupca kul srebrzystych, jak przelatuje niebem mych lat gimnazjalnych w puszystym swetrze.

Sądziłem, że na tym się skończy, a tu po pierwszym lyku kawy, brat niespodziewanie.

– Smakowało ci to jedzenie w restauracji? Bo... no nic – i patrzy, jakbym zdradzał dolegliwości gastryczne.

– Owszem – mówię – ale ja tu nie przyjechałem dla gastronomii. Do Was przyjechałem... No a Ryszard, jak by nie było, jest częścią tutejszego pejzażu sprzed tamtych czarnych lat... No i twój bliski kolega. Sympatyzujecie, o ile się nie mylę...

Brat oblizuje wargi. Oho! Myślę sobie. Wiem co to zapowiada.

– „Sympatyzujemy”... Ja ci coś powiem. Dla niego ty jesteś takim ekstra gościem z tej jego zasranej Antwerpii. On będzie swoim karcianym zasańcom o swoim Marczechku opowiadał, jak go tu ugościł i jak on sobie z tym profesorkiem o flamandzkich blond dupciach pobalakał!... No ale i tak miałaś szczęście, że on od ciebie dolarów na wieczne oddanie nie pożyczył! Że cię do pokera nie wciągnął... bo wtedy musiałbym ci gacie na drogę pożyczyć! Do suchej nitki by cię orzynał! Dla ciebie... on ciągle tamtym elegantem z szalikiem na wiatr... Napijmy się.

– Czy ty Antoś nie przesadzasz? – rzucam półgłosem.

Brat wywiesił na twarzy uśmiech zjadliwy. Patrzy na mnie z rosnącą nieufnością. Bo ja bronię Ryszka, któremu on sześćdziesiąt lat temu zazdrościł... Czego? Losu zagranicznego, szalika pszenicznego pośród szarej galicyjskiej zimy. Zazdrościł mu motocykla w chromach i niklach, na którym tamten uwoził, uwodził młódki miejscowe, aż im warkoczki podskakiwały na wietrze! No i zazdrościł mu pewnie pokerowych pieniędzy.

Widzi w moich oczach, że sonduję przeszłość, że ich zestawiam plecami, karciarza i pstrągarza. Śmiechem wybuchnie dialektycznym, coś jakby „Nie wierzysz? Czekał, ja ci sypnę argumencik nie do odparcia!”

– Ty tego nie pamiętasz... mikrus byłeś. Przyjechał z Antwerpii na święta. Raz czy dwa, owszem, wyszliśmy na korso, żeby, jak się to dziś mówi, poderwać gimnazjalistkę, której już nie bawi... hop-hop! jedzie chłop! na kolanach tatusia... taką poderwać, co już wolałaby dać się ukrzyżować na ławce w parku... górą i dołem!... Ale ja o czym innym... Otóż w naszym mieście żył sobie radca, wdowiec... długi, suchy. Miał syna ciut-ciut debila, miał też córkę, mówię ci, rajcowną! Pucpica jak pączek!

– I... on ją poderwał ci spod nosa? – wtrącam.

Brat wyraźnie poirytowany, że mu skracam opowieść, bo twarz mu się zarumieniła, jakby w polana dębowe na kominku dmuchał.

– Taaak... ale obiecujesz, że tego nikomu nie zdradzisz?!

– Jasne, Antoś. Możesz być spokojny.

– Otóż Ryszek, korzystając ze swej zasranej zagraniczności, zaczął smalić cholewki do Hanki. Motocykl, szalona jazda, byle jej zaimponować! Na koniec – w p o k e r a z j e j o j c e m! Masz pojęcie??? Nie znam szczegółów, bo syn debil zmarł podczas wojny, a radca tuż po wyzwoleniu...

– A Hanka?

– Nie wiadomo. Jak kamień w wodę. Ktoś tam pieprzył, że wyszła za Ruska. Mówił mi już nie pamiętam kto, że do Stanów wyjechała... No nic. Grał więc Ryszek z ojcem Hanki... która na pewno jeszcze wtedy dupy mu nie dała. Znałem ją. To była równa dziunia! Grał z ojcem w pokera i, jak się już domyśliłeś... o g r a ł g o ! – zniży brat głos – Ograł starego bo szachrował, szwindłował! Szuler i mistrz kantu, że pojęcia nie masz!

Już chcę zapytać o dowody, którymi należałoby podbudować tak poważny zarzut; za późno. Brat już wykrzywił twarz w uśmiechu, którego charakter odda najlepiej słowo „sardoniczny”. Przydawka to wprawdzie antyczna, ale w tym wypadku pasująca do zjawiska. Tak ułożywszy swą twarz, brat do mnie.

– Posłuchaj, braciszku... Przedziwny przypadek pokrzyżował plany uwodzicielskie twego Ryszarda z Antwerpii. Są nawet podejrzenia... Gangę znależ, tego głuchoniemego pięknego bruneta... On mi, oczywiście na migi, opowiedział, jaki był koniec zalotów Ryszka bezczelnego. Lato. Okna otwarte. Różne Ganga na podwórzu u tego radcy drzewo sągowe... Naraz posłyszysz straszny krzyk...

– Ryszek chciał ją zgwałcić, tę Hankę?!

– Nie pleć... Hanki tam nie było. Ten krzyk wydobył się z gardła nieszczęsnego radcy... A musisz wiedzieć, że on wieczorami lubił grać na wiolonczeli. Taki wdowiec, wiesz, przeczulony.

– Mówiłeś, że Ganga rznął drzewo... więc w dzień?

Brat spojrz na mnie srogo. I wraca do opowieści.

– W dzień! Jasne że w dzień Ganga usłyszał ten krzyk niesamowity. Skoczy w stronę tego głosu nieludzkiego! Co się okazało... radca, wchodząc do salonu, poczuł dziwny, obcy mu smród. Przymknął instynktownie oczy i dalej węszyć skąd ten straszny fetor. „Kot” – pomyśli, ale natychmiast sobie przypomni, że nie mają kota... Może więc pies? Jak poprzednio, przekreśli pochopną hipotezę. Idzie, idzie, wiedziony rosnącą intensywnością woni. – wiem, że mi nie uwierzysz! – aż doszedł do swej ukochanej wiolonczeli... Tak, tak, nie rób takich oczu... Ktoś mu n a s r a l d o i n s t r u m e n t u! I do tego nutami z pulpitu, jakimś koncertem Szuberta się podtarł. Zmiał go... tak że radca podniósł z podłogi kompozytora w stanie ostatecznego poniżenia.

Patrząc na brata, oniemiały. A on cieszy się moim zażenowaniem. I wódki nam nalewa.

– Antoś – mówię i słyszę że głos mi się trzęsie – Ryszard? To absurd. Pierwszy raz o czymś takim słyszę.

Brat, jakby niespokojny.

– Sprawę zatuszowano. Głuchoniemy tylko mnie wyjawił szczegóły tej ohydnej zemsty na radcy...

– Za co? – pytam – Coś mi tu nie pasuje...

– Widzę, że bratu nie ufasz... No i po co Ryszka w to mieszasz?! Ja ci po prostu przytoczyłem niezwykle fakt z życia tutejszej ludności... Ty piszesz książki... Tak, że pomyślałem sobie, że ci się to może przydać. Jak nie, to nie. Zapomnij o tym... Zresztą do dziś nikt nie wie, kto tę wiolonczelę tak zgnoił.

Nie dać za wygraną. Rozkładałam ręce i mówię.

– Jak to „Ryszka nie mieszać”? Przecież przytoczyłeś to wydarzenie dlatego, że „pokrzyżowało plany uwodzicielskie”...

Antek potrząsa głową. Nie spontanicznie, teatralnie. Na koniec ułoży twarz w uśmiech bezbrzeżnej wyrozumiałości.

– Nowy zawód mi sprawiasz... Z każdym rokiem coraz trudniej z tobą rozmawiać. Ty też zrobiłeś się taki... wielkomicjski, jak on. Ty byś rybę restauracyjnym gadaniem wystraszył! Ty byś... handlowym okiem na górski potok patrzył, a nasza woda poczułaby natychmiast twoją obcość... Tak, tak, nie rób pańskiej zagranicznej miny... boś się z tutejszej bidusi na pana wydrapał! I dziedzica stru-

gasz... Oj, matula... ta twoja ukochana matula przyznałaby mi na pewno rację...

Nawet nie próbuję wysilić się na uśmiech. Z kuchni dolatuje brzęk zmywanych talerzy, a ja patrzę w okno, za którym nasze góry szaro – fioletowe. Jakbym pragnął uciec od tej wiolonczeli, nad którą pan Ryszard coraz niżej i niżej.

Wieczorem koleżanki bratowej. Sałatka pomidorowa z wędliną, aż pachnie domem rodzinnym. No i wódeczka. Nawet nie wiem, o czym mowa, takim zajęty lotem pana Ryszarda. Słyszę siebie, że zgadzam się, że jestem taki swój, taki po prostu. A kiedy odprowadzamy z bratem jedną z pań, patrzę spode łba na jej usta, które całowałem niegdyś pod osłoną zaprzyjaźnionych zbóż.

Nazajutrz, o rannej rosie, Antek odprowadza mnie na dworzec autobusowy. Stoimy nad moją walizką, pękatą od brudnej bielizny i suszonych grzybów, ciężką od słoików z różaną konfiturą.

– Idź już, Antoś – proszę – Nie lubię tych „ostatnich chwil”. Mam to chyba po naszej matuli...

Godzi się. Całujemy się. Poszedł. Coraz nerwowiej patrzę na wyjeżdżające autobusy. Jest? Zajechał na stanowisko. Nie. Przywiózł na czole imię innego dalekiego miasta. Mój „Kraków” powinien się zjawić lada chwila.

Za łokieć ktoś mnie ujmie. Ryszek!

– Co za przypadek – mówi z uśmiechem lorda – mam autobus kwadrans po twoim! Nooo... co za traf zabawny! A propos... Taka myśl mi w tej chwili przemknęła... nie wiem, co o tym powiesz... Pani Verstopfen da ci 600 zielonych. Czy nie mógłbyś mi z tych moich pieniędzy dać awansem teraz...choćby 300-u? Kiedy od niej dostaniesz 600... przywieziesz mi na święta tylko 150... reszta, to znaczy 450 dla ciebie! Nie bój się, krzywdy przy mnie mieć nie będziesz...

I po policzku mnie poklepie.

Trzęsą mi się ręce, kiedy mu sześć pięćdziesięciodolarowych banknotów odliczam. Bo równocześnie raz po raz okiem lypię na stanowisko, gdzie zajędzie „Kraków”. JEST! Wjeżdża i trąbi. Ryszek ręce mi ściska, w ramiona bierze.

– No, trzymaj się ciepła, mój Marku z jarmarku... a spisz mi się chwacko!

Z walizką w podskokach. Wsiadam. Przez szybę wachlarzowatym ruchem ręki żegnam pana Ryszarda. A on dziarsko mi całą dłonią zasalutuje.

Autobus mój już na szosie. Ni brata, ni Ryszka, ni pstrąga, ni kart! Roześmiałem się, jak głupi. Starsza pani siedząca przede mną z dziewczynką, odwróciła się i uśmiechnęła się oczami, tyle że tyle.

Samolot miałem dopiero późnym wieczorem. Kiedy już wzbiliśmy się w krajinę wiecznego mrozu, ujrzałem coś niezdecydowanego na obrzeżach świata. Martwe zorze zachodnie leżały pokotem, a przysłowiowe pierwsze gwiazdy świadomie opóźniały swe wejście na niebiosa...

Grunt, że leciałem, a wraz ze mną leciały dwie kule, od dziś nieśmiertelne.

Marian Pankowski

Ewa Sonnenberg

Rue de Buci



Ta ulica trochę zwariowana trochę niegrzeczna
wysprzedaje się z najlepszego
a chodnik ma tylko jedno rozwiązanie
kamienica między Eden Park a café Jade
optique Mazet na dole i zielona brama
stąd się już nie wraca

jakbym miał przeżyć jeszcze jedną młodość
jakbym szedł prosto w ciebie a ty nie miał nic przeciw
wściekły na niebo tak wiele naobiecowało
i *merdre* wystrychnęło nas na głupków
cholerna jesień zresztą co mi do tego
tyle tylko że zimno brakuje ciepła prosto z płuc takich jak twoje
(mam nadzieję że podleczyłeś to stare zapalenie oskrzeli)

Rimb czekam całą naszą niedzielą zapomniana dzień święty święcić
puszcza się z kawiarnią po przeciwnej stronie
nie podają już absyntu piję gorącą czekoladę
podnoszę głowę jak wtedy: wrzesień 1871
ten sam rodzaj wysiłku i nadziei

z twojej lukarny kropla słońca napływa do źrenic wyostrza
nie ma cię w domu jak zwykle zapomniałeś?
znów wyszedłeś grzeszyć? *ty dziecinny dręczyciel?*
zrób jakąś dobrą minę jeszcze nie zaczęliśmy gry
zostaw cherlawe pióra przyłącz się do mnie
w lukarnie czyste białe firanki aż wstyd zmieniłeś?
niemożliwe po co? za co? pożyczyłeś od Gavroche'a?
nie przecież wolalbyś to wydać na wino

nawet nie mogłem wejść na górę
zostawić kartki w drzwiach: twój Verlain!
przepaść schodów która nas zgubiła zamknięta na elektryczny mechanizm
nie było tego świństwa przedtem
co z tobą? *mają tu do ciebie żal i to dziki Judyty Szarlotty*

Ewa Sonnenberg, ur. w 1967 roku w Żąbkowicach Śląskich. Opublikowała tomiki wierszy:
Hazard (Nagroda im. Trakla), *Kraina tysięcy notesów*, *Planeta*. Mieszka we Wrocławiu.

opłakują ten genialny próg jedyny w swoim rodzaju
burzyciel dobrych manier i akcji serca
madame Très Belle wystawiła pelargonie całkiem zgłupiała
comment allez-vous ça ça? mizernym sopranikiem
zadaje pytania jak zawsze w świetnym humorze

porusz firanką będę wiedział że jestem że żyjesz
ta święta lukarna z której wyrzucałeś moje brudne gacie
ci tutaj wstydzą się brudnej bielizny nie mają pojęcia o dobrej poezji
wyrzucałeś te szmaty żeby mnie więzić i zatrzymywać
to były czasy!

deszcz wyzwick przekleństw błagań a ile pańskich gestów
nikt teraz tak nie robi tu trwa wielkie pranie
mechaniczne pranie brudnej bielizny i mózgów
ta zbeszczeszczona lukarna z której po raz pierwszy zawołałeś Paul!
usłyszałem słyszę teraz szukam cię w tłumie chłopców
przychodzą odchodzą jak to zwykle bywa
ty cały złoty! żaden z nich tak jak ty
patrzę znudzony na zwiędłe brzydkie kobiety
poumierają piękne prostytutki z fantazją
zostały same chorowite albo takie młode męskie
idiotki podrabiają ciebie

ponuro zimno mokro mężczyźni prowadzą swoje kobiety
na pasku od spodni jak na smyczy tacy zabawni poważni
wokół mnie zasiadają do niedzielnego obiadu
wyobrażasz sobie?!

ścielą białe obrusy rozmawiają ze sobą uderzając sztuciami o talerze
odczuwam ulgę ja żalosny poeta na paryskim stypendium
chciałem cię w końcu odwiedzić kiedyś raz na sto lat
musisz się o czymś koniecznie dowiedzieć
poezja się skończyła!

w moim kraju poeci piszą wiersze o fryzjerach
w moim kraju chłopcy siedzą cicho każdy przy swoim piwie
tak samo nudni po pijanemu jak na trzeźwo
tam u mnie trzeba się prosić o najprostsze słowa
tam u mnie nie znają się na tym no wiesz
dopisują własne początki i bezpieczne mdłe zakończenia
najbardziej żal wolności spadła z wieżowców
na łeb na szyję zgrzyta zębami obgryza paznokcie

próbuję przeczekać pomieszkując w muzeach i poczekalniach
na zewnątrz perfumowane oddechy dostają mdłości

co mi ciebie zwróci?
południe złotowłosej pokusy
jadowite dzwonnice kłują powietrze
czy widział ktoś Rimbauda?
bezański oszłomiony pies szuka pana między stolikami
zawstydzone atlantyckie chmury pędzą po obcym niebie
mają smak morza prosto z Calais ach! znów chcę do Anglii!
zostały mi tylko dwa papierosy
jednego wypalę jednego zostawię dla ciebie
ty i ja to tylko nasza sprawa
i pewnie posprzeczałibyśmy się pokłócili pobili zasnęli
przyjechałaby policja karetka pogotowia
opinia publiczna ćwiczyłyby języki

słońce zazdrosne o nas kaprysi i matowieje
jakbyś zaraz miał się zjawić wyjść zza rogu
podać mi rękę a wtedy ta ulica znów tylko nasza
rozpędzilibyśmy bezeceństwa i w nogi do schronienia-wiersza
potraktujemy go jak najgorszą ulicę
piękny i kulawy uśmiecha się do mnie
jakby wszystko o nas wiedział
współczuł głupiemu starcowi co czeka na swoją młodość
il pleure dans mon coeur jak byłem tak zostałem głupcem
wspinam się po skalistych brzegach palców
ale nie zdobyłem żadnego przyjaznego gestu
kolejna godzina krzyczy Arturze! pokaż się wreszcie
twój Paul znów płacze!

nie będę cię już lukrował swoim chłoptysiostwem
niedługo święta trzeba coś kupić jakoś przeczekać
wkrótce nowy rok nie można tak o suchym pysku
gdzieś tam wysoko daj spokój ryby wino papier
jak najwięcej tego Rimb nieznośny paskudny
jak zwykle masz to gdzieś zapomniałeś o spotkaniu
cały ty
zjechali się wszyscy starzy znajomi pytają o ciebie
to dopiero zrobią miny gdy zobaczą nas razem
te parnasistowskie gnoje Merat Chanal Perin Guerin Cajrat
miałbyś co robić! już ty wiedziałeś jak z takimi postępować
przyznaję nigdy nie miałem na tyle odwagi
Rimb święta chciałem je pić pić pić bez końca z tobą
tak tylko ja i ty i nikt inny
dość pobożnych życzeń dla licealistek

żadnych granic brud smród ubóstwo
atrament rozcieńczany alkoholem

jakiś amerykański cwaniak fotografuje naszą kamienicę
błuznierczą norę w której nabawiłem się reumatyzmu
nic się nie zmieniło ten sam zwichnięty numer
ta sama jedynka to samo zero
jedyńka na dobry początek zero by mieć pokorę

na naszej ulicy parkują samochody i harleje
takiego ruchu tu za nas nie było
i ten olśniewający sklep z winem
kilka metrów od twojej bramy
jakby otwarty na naszą cześć
szkoda że dopiero teraz mielibyśmy blisko
bez ciebie nie ma co robić żadnego pomysłu na życie
od kiedy zgubiłem klucze i numer telefonu
zamieszkałem na ulicach meblując ich chłód
bywałem wszystkim: objawieniem wieszczem grafomanem
prowincjonalnym układaczem rymów wielkomiejskim
undergroundowym beatnikiem mistrzem haiku

zapachniało konwaliami nie nie jestem pijany
zabawne to ty? gdzieś blisko może obok z kimś innym?
nie nie jestem zazdrosny wiesz że nigdy nie byłem
jakaś dziewczyna handluje zegarkami podchodzi
proponuje pozłacane mechanizmy jedyne sto franków za tamten czas
nic z tego nie stać mnie
ot artysta z końca XX wieku
statek pijany zatonął zderzył się z nowoczesną szklaną wieżą na Montparnassic
samogłoski wypływały albo stały się lupem daltonistów
interpretują je po swojemu
wybacz nic nie mogłem zrobić

zejdź wreszcie szykuje się niezły początek
mam tyle samo lat co wtedy nie daj się prosić jestem jak ideal
nie piję nie palę mam ochotę na kobiety i słodzę herbatę
przy tobie to mi się nie zdarzało

Paryż, rue de Buci, 6.12.98

Ewa Sonnenberg

Piotr Piaszczyński

Pojedynek

Przesiedzieć w kącie kawiarni
kilka sobotnich godzin
w pojedynkę. W pojedynku
z dziką chęcią, by zerwać się
i wyjść, ponieważ dookoła
para obok pary; młodej
miłości tłum napierający:
czule spojrzenia, w dłoniach
dłonie, szepty i śmiech,
i pocałunków miękki seks. – –
Podpierając brodę, pałac
papierosa za papierosem,
nie gardząc procentowym trunkiem,
przesiedzieć tak, prześledzić
reakcję psychosomatyczną na
szczęście w cudzym wykonaniu.



Antyerotyk

Miała dziś wolne, nie poszła
do pracy. Nieznośny ciężar jej
obecności zdruzgotał mi dzień
doszczętnie. Wszystko poszło
w drzazgi, jak w ostrym filmie
z gatunku *action*. Absolutna
demolka (wnętrza).

Piotr Piaszczyński, ur. 1955 r. w Olsztynie. Opublikował tomik wierszy pt. *Nicobecność* (1997);
w przygotowaniu zbiór szkiców *Dusza i linia*. Mieszka w Kolonii.

La Bohème

Pobojowisko:
zmiętych serwetek
kulki w popielniczce

– cały
 palny
 stos

Do ilu razy
(do ilu razów)
SZTUKA?

Bez tytułu

Czy ono coś znaczy, przejęzyczenie
w późnowieczornej modlitwie po
blichtrzem profanum wypełnionym dniem:
„Ojczy nasz, który jesteś w m i e ś c i e...”

Nie wiem, nie wiem. Nie rozwikłałam
łamigłówki lingwistyki transcendentnej.
Co rozum i serce dyktują, to
rym odruchowy: n a r e s z c i e.

Wierszyk białoszewski

Ach, odpocząć.
Od tego przekłętego,
politycznie poprawnego
„dzielnie sobie poczyna”
począć.

Czy mnie ucho nie myli – począć?

Dziecko dawno poczęte
(dom zburzony, drzewo ścięte).

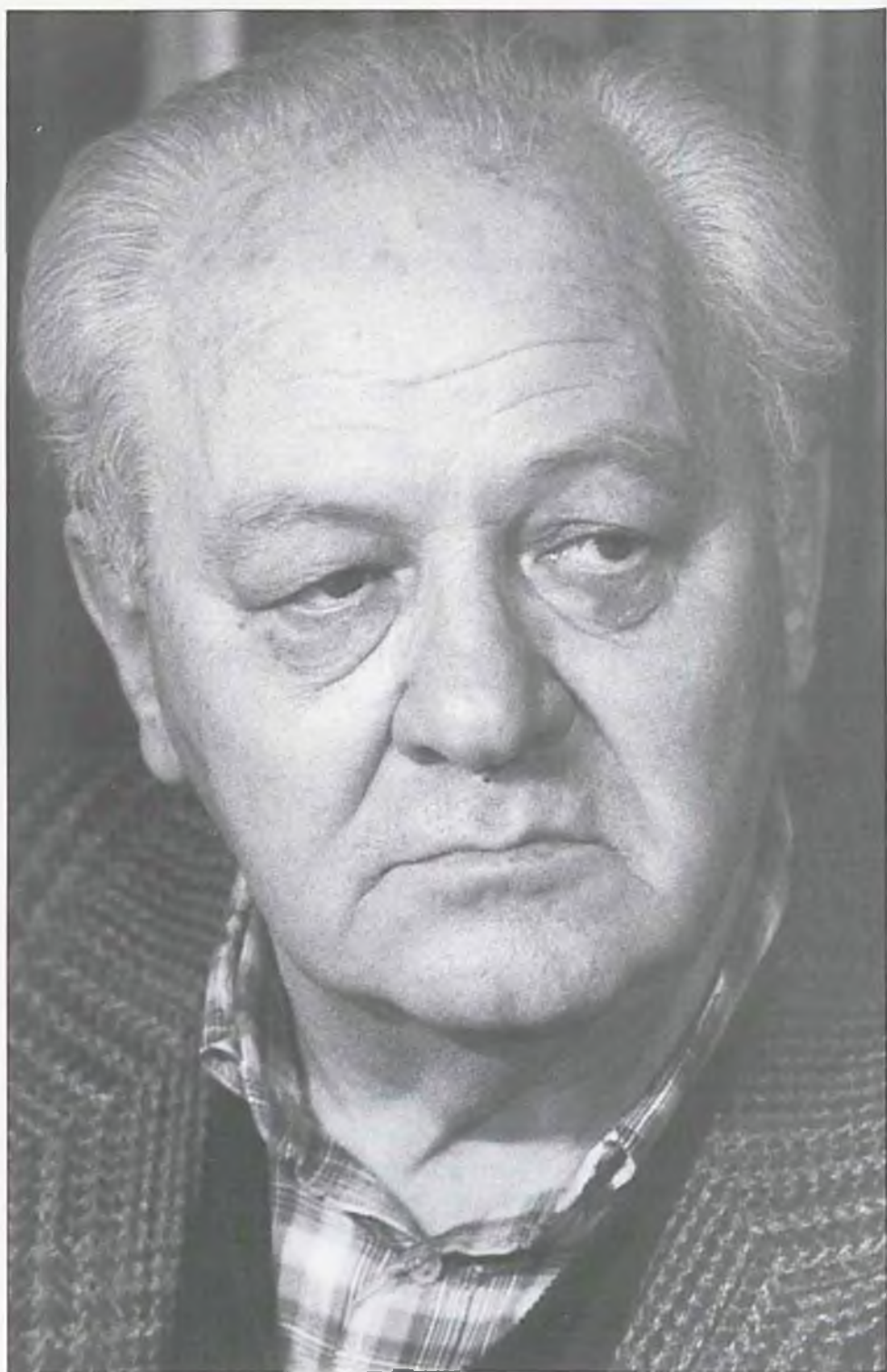
Rozmyślać począć

co począć.

15.10.98

Jeden z tych bezcennych
październikowych dni:
powietrze, powierzchnie
roślin, przedmiotów, włosy
kobiet przyprószone złotem. Lśnią. –
Ale jak zawsze: nadciągają już
watahy chmur i wiatr
(zdmuchnie zbyt piękno)

Piotr Piaszczyński



Fot. Anna Beata Rohdziewicz

„Nie wróżę literaturze wielkiej przyszłości”

Z *Gustawem Herling-Grudzińskim*

rozmawia *Krzysztof Myszkowski*

Krzysztof Myszkowski: Co i dlaczego przetrwa z literatury XX wieku?

Gustaw Herling-Grudziński: Według mnie w prozie przetrwają tak wielkie dzieła jak cykl Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*, *Doktor Faustus* Thomasa Manna, cykl Rogera Martina du Gard, *Ulisses* Jamesa Joyce'a... Wymieniam ot tak, na chybił trafił, te książki, które są ciągle czytane, które ciągle zapładniają pisarzy. To jest według mnie dowód żywotności literatury, jeżeli książka żyje dłużej niż 10-15 lat, to znaczy, że wchodzi ona w krwioobieg literatury europejskiej. Powiniennem jeszcze wymienić pisarzy amerykańskich, bardzo wybitnych, ale ograniczę się tylko do Europy. Bardzo to się przedstawia imponująco. Jeszcze niezupełnie docenia się, jak wartościową literaturę stworzyła Polska w ciągu tych zaledwie dwudziestu lat niepodległości między dwiema wojnami. Zapomina się o tym, jakie wtedy powstały dzieła, na przykład w prozie *Sól ziemi* Józefa Wittlina, powieści Zofii Nalkowskiej, powieści Marii Dąbrowskiej, powieści Wacława Berenta, a z młodszej prozy pierwsze książki Witolda Gombrowicza, Bruno Schulz. Wielkim cieniem na polskiej poezji XX wieku, błogosławionym cieniem położył się Bolesław Leśmian. To był bardzo wielki poeta, najwybitniejszy. Dominowała grupa „Skamandra” i bardzo lubilem ich wiersze, chociaż bliższa mi była poezja Józefa Czechowicza i jego naśladowców oraz Czesława Miłosza. Bylem niesłychanie przejęty tomem *Trzy zimy*. Jako student miałem w ramach Koła Polonistów na Uniwersytecie Warszawskim wykład o *Trzech zimach*, który odbył się w obecności autora, który przyjechał wtedy do Warszawy z Wilna i siedział w pierwszym rzędzie. Przypominam to ze wzruszeniem. Dumny jestem z tego, że jako młody krytyk, a swoją działalność pisarską zaczynałem od krytyki, szeroko i pozytywnie pisałem o dwóch pisarzach: o Gombrowiczu i o Miłoszu. Czulem, że będą to wybitni pisarze, jeżeli przetrwają. Przetrwali. Gombrowicz pokazał, co umie jako prozaik, Miłosz jako prozaik i poeta. Z młodszych poetów bardzo lubilem wiersze Stanisława Piętaka i wiersze Anny Świrszczyńskiej. Lubilem też Jerzego Zagórskiego. Jak Pan widzi, to jest róg obfitości. Herbert jest wielkim poetą, uważam, że zasłużył na nagrodę Nobla i twierdzę to z wielką stanowczością. Pominiecie Herberta przez szwedzkich akademików uważam za wielką krzywdę zrobioną jego poezji. Iwaszkiewicz był dobrym, wyrafinowanym i subtelnym poetą i nie tylko poetą, miał parę doskonałych nowel. Ale stosunek mój do Iwaszkiewicza, do tej jego ogromnej powieści i do rozmaitych jego wyczynów politycznych jest bardzo krytyczny.

Jest bardzo trudno na takie pytania odpowiadać, bo, że tak powiem, cisną się pod pióro coraz nowe nazwiska. Poezja polska była niesłychanie bujna i rozwinęła się świetnie.

K.M.: Czy literatura może być pomocna do zbawienia?

G.H.-G.: Literatura jest bardzo ważna dla ludzi, którzy traktują literaturę na serio. Nie wiem, czy tak jest traktowana dzisiaj literatura. Mam na myśli literaturę, którą poznawałem jako student Uniwersytetu Warszawskiego. Może nie użyłbym takiego głośnego, gromkiego słowa „zbawienie”, ale literatura odgrywała kolosalną rolę, zwłaszcza w Polsce. W końcu pamiętajmy o tym, że cała ideologia inteligencji polskiej czerpała przynajmniej część swoich soków z literatury polskiej XIX wieku. Już nie mówię nawet o Wielkiej Emigracji, o Mickiewiczu, o Słowackim, o Krasińskim, ale mówię też o prozie polskiej zeszłego stulecia, o szalenie wysoko przeze mnie cenionym Bolesławie Prusie, o Elizie Orzeszkowej, o *Ziemi obiecanej* Władysława Stanisława Reymonta, o Stefanie Żeromskim, do którego byłem szczególnie sentymentalnie przywiązany, bo skończyłem to samo gimnazjum w Kielcach.

K.M.: A Sienkiewicz?

G.H.-G.: Mniej nim jestem zachwycony, aczkolwiek bardzo lubię go czytać. Na przykładzie Żeromskiego mógłbym opowiedzieć, jaką rolę odgrywała w naszym życiu literatura. Te niekończące się dyskusje, próby naśladowania, zachwyty czy krytyki... Żeromski był w pewnym sensie władcą sumień polskich w tym okresie, w którym rozwijał się twórco.

K.M.: Jaką rolę będzie miała do spełnienia literatura w XXI wieku?

G.H.-G.: Niestety, według mnie dosyć skromną, dlatego że zastąpią ją inne środki. Widzę to we Włoszech, ale to samo dzieje się i w innych krajach, że książek wybitnych, poważnych jest mniej niż dawniej, że królują na rynku te ilustrowane pisma, czasem tak ogromne, że takie pismo dla przeciętnego czytelnika wystarczy na parę dni do lektury, więc inne środki wypierają literaturę. Między innymi wypiera literaturę telewizja. Zmienia się recepcja literatury, co obserwuję w dużym stopniu także w Polsce. Jest teraz pogoń za jakąś książką sensacyjną. Tak że ja jestem, jeżeli chodzi o XXI wiek, nie pesymistą, bo to nie ma nic wspólnego z pesymizmem: kryzys, czy śmierć powieści przepowiedano już wielokrotnie, a potem ukazywały się takie powieści jak *Doktor Żywago* Pasternaka, czy *Lampart* księcia Lampedusy, czy *Sto lat samotności* Marqueza, i tak dalej, i tak dalej. Więc nie można orzekać kryzysu, czy śmierci powieści, ale można powiedzieć śmiało i ja to mówię, że znaczenie literatury bardzo się zmniejszyło z rozmaitych względów socjologicznych.

K.M.: Jaką linię w rozwoju prozy polskiej uważa Pan za główną i jak widzi Pan jej kontynuację w świetle tego, co teraz dzieje się w prozie polskiej?

G.H.-G.: Jestem troszeczkę rozczarowany tą współczesną prozą polską. Wydawało mi się, że po odzyskaniu niepodległości – nie mówię, że otworzą się te słynne szuflady, bo ja nigdy w to nie wierzyłem, pisarz pisze, żeby to co napisał, szybko wydać – powstaną parę solidnych powieści realistycznych na temat tego

całego okresu, przecież prawie półwiecza. Tymczasem nie. Moim zdaniem jedyną taką poważniejszą próbą była powieść Wiesława Myśliwskiego pt. *Kamień na kamieniu; Widnokregu* jeszcze nie czytałem. Poza tym są jakieś próby, eksperymentowanie, które moim zdaniem nie jest zbyt fortunne. Wśród młodych pisarzy bardzo cenię powieść Anny Boleckiej pt. *Biały kamień*, cenię Andrzeja Stasiuka jako autora opowiadań. Mam nadzieję, że – ponieważ się podobają tacy pisarze jak Gombrowicz i Schulz – może powstanie jakaś kontynuacja na tej linii. To jest linia bardzo ważna. Już prawie tracę nadzieję, że znajdą się zdolniejsi pisarze polscy, którzy spróbowaliby wrócić do jakiegoś przyzwoitego i ciekawego realizmu, takiego jaki zastosował w swoim pisarstwie Wiesław Myśliwski. Chciałbym się z literatury dowiedzieć tego, czego dowiaduję się przeważnie z artykułów, ankiet, i tak dalej. Ale nie bardzo już w to wierzę, bo młodzi pisarze eksperymentują, starają się być nowocześni i nie zawsze im to wychodzi. Tak, że nie wróżę literaturze wielkiej przyszłości.

K.M.: *Głośne są kontrowersje wokół werdyktów komitetu Noblowskiego; w Polsce wielkie emocje wywołuje nagroda „Nike”. Jaki jest Pana stosunek do tych literackich nominacji i nagród?*

G.H.-G.: Zawsze nagroda Nobla była czymś w rodzaju loterii: czasem się trafia dobrze, czasem się trafia źle. Podejrzewam, że ci akademicy szwedzcy, którzy powinni bardzo uważnie czytać wszystkie ważniejsze książki, podsuwane im po selekcji robionej przez lektorów, nie mogą tego wszystkiego pochłonąć i dlatego niekiedy werdykty są bardzo dziwne. Na przykład w zeszłym roku nagroda dla Dario Fo była po prostu według mnie śmieszna. Saramago jest przeze mnie ceniony i napisałem to w „Rzeczpospolitej”. Ale, zaznaczam, czytałem tylko jedną jego powieść, która bardzo mi się spodobała, a która w przekładzie włoskim, bo nie znam języka portugalskiego, nazywa się *Ślepota*. To jest znakomita i bardzo odkrywczą powieść. Już wtedy, czyli rok temu, przed przyznaniem nagrody Nobla temu Dario Fo, napisałem, że nagrodę powinien dostać Saramago. Zaskoczyła mnie niechęć Miłosza do Saramago, oparta na poglądach politycznych, bo to ja powinienem z tego powodu niechętnie odnosić się do Saramago, który twierdzi, że był i jest nadal komunistą. Ja, jak Pan wie, jestem w tych sprawach bardzo wrażliwy, ale nie do tego stopnia: jeżeli ktoś kto jest komunistą, napisał moim zdaniem doskonałą powieść, to mi to nie przeszkadza, że on jest komunistą. Okazuje się bardzo dziwne, że Miłosz, który wydawał się tak wyrozumiały, nagle odrzuca i to nawet w ostrych słowach kogoś ze względów właśnie nie artystycznych, ale politycznych. W każdym razie radzę Miłoszowi, żeby przeczytał tę powieść pt. *Ślepota*, która istnieje w przekładach na język angielski i język francuski – przekonana się, że jest to powieść na miarę *Dżumy* Camusa.

Co do nagrody „Nike” to ogłosiłem oświadczenie, że nie zamierzam w przyszłości kandydować do tej nagrody i mam nadzieję, że to będzie respektowane. Uważam, że nagroda „Nike”, która wydawała mi się bardzo pożyteczna, przede wszystkim bardzo wysoka jak na stosunki polskie, popelniła jedną rzecz, która mnie oburzyła i spowodowała to moje oświadczenie w „Gazecie Wyborczej”. Uwa-

żam, że Miłosz za swoją książkę pt. *Piesek przydrożny*, która wcale nie jest tak wybitna, jak piszą rozmaici pochlebcy, powinien z podziękowaniem przyjąć tą kandydaturę i oświadczyć, w ramach tej herbertowskiej kwestii smaku, że jako laureat nagrody Nobla dziękuje za wybór, ale że nie chce kandydować. Uważam, że fakt, że tego nie tylko nie zrobił, ale że został nagrodzony, co jest winą Jana Błońskiego, jest dla mnie skandalem. Nie ukrywam mojego poglądu. Oświadczenie moje jest dość wymowne.

K.M.: Rozmawiamy w dniu 20. rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II. Jak Pan ocenia ten pontyfikat?

G.H.-G.: Uważam, zresztą tak samo jak włoscy watykaniści, że jest to największy pontyfikat naszego stulecia. Jest to pontyfikat zupełnie niezwykle. To co papież zrobił na odcinku światowym, a także na odcinku polskim, bo nie mam wątpliwości, że cały ten przełom w Polsce, który pozwolił się narodzić „Solidarności”, cały ten ruch był skutkiem pierwszej pielgrzymki polskiej Wojtyły, kierunek jego działań i jego przemyśleń tak na odcinku teologicznym, jak na odcinku politycznym był zupełnie niezwykle. To jest bardzo ważne, że on położył tak ogromny nacisk na ekumenizm, że postawił tę sprawę w sposób niesłychanie zdecydowany na tym zebraniu w Asyżu. Uważam za bardzo ważne jego odwiedźiny w synagodze rzymskiej i wszystko to co robi, żeby rozładować te absurdalne niechęci polsko – żydowskie i nie tylko polsko – bo to dotyczy też i innych narodów. To jest niesłychanie ważne, to jest próba rozładowania wojen religijnych nie w sensie używania broni, ale w sensie tego co się robi. Nie muszę przypominać, co się wyprawia na tym odcinku, choćby to ostatnie widowisko na zwirowisku w Oświęcimiu... Tak, to jest bardzo wielki pontyfikat, papież ma ogromne zasługi i bardzo się z tego cieszę. Nie znaczy to, że widzę tylko blaski. Dałem wywiad do warszawskiej gazety „Życie” na temat 20. rocznicy tego pontyfikatu i wysunąłem cały szereg rozmaitych uwag krytycznych, dotyczących nadwrażliwości papieża w sprawach obyczajowych. Po najdłuższym pontyfikacie Wojtyły przyjdzie czas, w którym jego następcy staną w obliczu takich zagadnień jak środki antykoncepcyjne, kapłaństwo kobiet i celibat księży. To są rzeczy, których on nie tylko nie ruszył, ale ilekroć ktoś inny rusza, to papież wpada w coś w rodzaju gniewu. A tymczasem moim zdaniem jest to rzecz nieunikniona. Dziś już jest prawie wiadome, że w czasie krótkiego pontyfikatu Jan Paweł I rozmyślał o możliwości wprowadzenia przynajmniej dla kobiet środków antykoncepcyjnych. Wiem o tym nie z plotek, tylko z fragmentów wspomnień księdza sekretarza Jana Pawła I drukowanych w piśmie katolickim rzymskim „Sabato”. Bardzo się interesowałem ostatnio książeczką – zapisem rozmowy, dialogiem pomiędzy kardynałem Martinim arcybiskupem Mediolanu a sławnym pisarzem włoskim Umberto Eco, bardzo inteligentnym człowiekiem. I widziałem z rozmaitych odpowiedzi kardynała Martiniego, że pewne sprawy nabrzmiewają i będą musiały znaleźć się, że tak powiem, na wokandzie. Nie dopuszcza tego Wojtyła, jest na tym punkcie bardzo twardy i niezmienny, ciągle wraca do takich schematów jak zabijanie dzieci itp., ale nie unikniemy tego. Nie rozumiem tego stanowiska. Nie rozumiem na

przykład, dlaczego kobiety nie mogą być kapłankami. W końcu odegrały w historii kościoła ogromną rolę. I tu wcale nie chodzi o to, żeby zgodnie z modą dostosować się do ruchu feministycznego. Jeżdżę do wiosek włoskich, bywam tam po parę dni i widzę, co się wyprawia pomiędzy miejscowym księdzem a ludnością tych wiosek – to jest szkoła kłamstwa i obłudy. Uważam, że lepiej byłoby pozwolić księdzu, żeby się związał z osobą innej płci tak jak to jest w wypadku księży prawosławnych, czy pastorów. Tak samo uważam, że te bardzo surowe przepisy antykoncepcyjne są w tej chwili nonsensem; zastąpienie ich tak zwanym kalendarzykiem dowodzi, że stara zasada małżeństwa, które służy do prokreacji, jest naruszona. Więc jeżeli jest naruszona, to przynajmniej niech będzie naruszona w sposób efektywny, a nie w sposób zupełnie nieefektywny. Ale przyrost ludności, to jest problem demograficzny, jest tak ogromny, że ja często spotykam bardzo wierzących, związanych z kościołem demografów, którzy mówią, niestety tylko na ucho rozmówcy, że to jest problem, którego nie ominiemy, który stanie w całej jaskrawości w bliskiej już przyszłości. Ale raz jeszcze podkreślam: jestem zdania, że pontyfikat Jana Pawła II jest bardzo wielkim pontyfikatem i oby był jak najdłużej. I nie mówię tutaj tylko jako pisarz polski, który wcale się tymi sprawami nie zajmuje tak dokładnie, ale przytaczam osąd włoskich watykanistów i specjalistów, którzy śledzą Watykan i wszystkie zjawiska związane ze stolicą apostolską, więc jeżeli taki pogląd sobie wyrobili, to coś w tym jest. Chcę jeszcze dorzucić, że Jan Paweł II jest bardzo lubiany przez Włochów, zwłaszcza na wsi, na prowincji uważają go za swojego człowieka i to też jest rzecz, która mi sprawia wielką przyjemność.



Kazimierz Hoffman

Przypowieść



puch, kłaczek z topoli

drobina waty odłączona od palców kobiety,
która ucieszona w sobie
że ustało krwawienie, podeszła do okna szeroko otwartego na
ogród
– powiada Moebe –

zbliża się do zwartej ściany innego drzewa, by
wessany przez kanalik powietrza, powstały z odgięcia się
linii,
ze szpary
pomiędzy dwoma liśćmi – przejść

po drugiej już stronie i wyżej
niecąc iskrę
łączącą się w tle ze wspanialszym jeszcze lśnieniem nieba!

Wykrojem, barwą, przez skojarzenia
zwraca na siebie uwagę rzecz, by p r z e t r w a ć
o mgnienie dłużej

w oczach Obserwującego.

W półśnie. Las

Niepodzielny ruch mrówek. Szuranie milionów
od A
do A

– Nie słyhać.
– Bo trwa...

Człowiek się budzi, gdy ustaje
zegar.

„i coraz częściej spoglądał na gałąź
za oknem:
Czy drgnie, nie ruszona?
gaśniemy w magii. Przyciąga znak, coś, co jest obok a
poza serią”

– głos przycichł lekko;

nadchodził wieczór i mowa była o jakimś starcu
spod Engen; a potem długo mówiono o śniegu;
statek już wpływał w zakole fiordu i uniósł mi twarz
widok skały po lewej stronie: palonej ochry
z punktem bieli u szczytu jak
gniazdo;

b i e l: więc
śnieg?... i
stamtąd, nie, sponad jakby
zeszło wspomnienie: to styczeń już chyba; leżę, półsenny,
w pokoju na górze
i matka mówi że wyzdrowieję.

1984

Glosa

*Co to za miasto zatoka ulica rzeka
skała która rośnie na morzu nie prosi o nazwę
a ziemia jest jak niebo*

czyżby więc nadmiar był w mowie poetów
przed ich odejściem Posłuchaj

*drogowskazy wiatrów światła wysokie i niskie
tabliczki w proch się rozpadły
piasek deszcz i trawa wyrównały wspomnienia*

jak tu daleko
od pisma sprzed lat

wypróbowany wzór
przekształcił się,

wydluża; a może
wiedzą j u ż więcej i miary słów w takim przypadku

są obojętne; bo śnią To widać Wraca dzieciństwo i to
chcą wyrazić w jakimś szczególe bez względu na język,
który go skrywa:

zapamiętany ogród staw fragment z La Toura:
spłoniona światłem od dołu twarz matki
nad dzieckiem, łagodna
purpura tej sceny niezmiennie t r w a. Oni to czują,

oni to wiedzą. Powracający do czasu sprzed czasu bodaj,
sprzed godziny p i e r w s z e j,

bo to jest im dane; na chwilę przed zejściem.

Strofa

cichy ogień w górę sosen w Witosławiu
u schyłku dnia;
i myśl o dobrej śmierci,
jak zwykle o tej porze. A potem przypomnienie: krzyk
Stirnera bodaj na widok skały
ponad Como: *trwać*
zdlawiony. I w kompletnej ciszy.

Krzyżyk na drzewie

Włożywszy zatem w plastikowy worek
zepchnąłem do dołu i zasypałem

łeb tułów i cztery łapy
w zmierzwionych kudłach Co

jeszcze Już
nie wiem

ach oko, wpółotwarte
zaszłe mgłą, no przecież!

i żeby nie błędzić, wyciąłem
na korze mały krzyżyk

Po jakimś czasie
wystąpił znak

lepki
naciek

strużka miodu
z ziarenkiem wapnia Łza

lasu. Abym miał
gdzie wrócić; tu

tak.

Stary człowiek przed poematem

*Denn nah am Tod sieht man
den Tod nicht mehr*

Rilke

1

dzień nie był dobry.

Fatalne wyniki z przychodni „O”, na domiar
wstyd: starcze, złociste nasienie znaczone krwią
splamiło pościel (ujrzał, gdy ją składał) cóż,

będzie się trzymał; jest

wieczór. Swoim zwyczajem sięga po Księgę
Poległych Lotników: na stronie dwudziestej
znowu widzi

ojca Cudnie młody Na chwilę przed lotem, w kabinie
płatowca ansaldo-balilla Czarnej skrzyni ze srebrzys-
tym przodem; silnik nakryty dwuspadowym daszkiem, niby
domek szpaka!

odłożył księgę, zapada w sen
śnił mu się włosy

2

sprawy na dziś. Nie do załatwienia; w porannej gazecie
długa depesza z Bośni z jednym tylko
zdjęciem.

Serb i muzułmanka, para kochanków
trafionych przez snajpera na polu niczym: Bosko

Bokic i Admira Janic, czyta; z powodu ostrzału nie
sposób było wynieść i pogrzebać

na nogach dziewczyny białe adidasy, pełnia lata

i to nim wstrząsa. Szuka w pamięci
nazwy dla tej sceny, jakby to nazwać

idzie zmierzch

niepogrzebani. Leżący odtąd na
oczach świata

3

czy ma
sposób, klucz

ma. Ma swoją działkę jak
to mówią teraz

spogląda w okno, za którym czarne drzewo
tłumaczy jasność całego dnia

a dzień jest ważny. Wycina szczegół Przedmiot
po przedmiocie Niepowtarzalny, wart
siebie tylko (Hopkins), lecz

można i tak:
*każda rzecz unosi ku nam twarz,
łaknąć zbliżenia*

i to jest mu bliższe

4

pisze, pisze od dawna
tłumiąc
zachwył

on, stary człowiek przed Poematem; bo
że go d o z n a,

wie. Tymczasem: wprawki. Udany wiersz (praca) Co dąsza
odszuka, umysł utrwała, wpierv porządkując A potem
złudzenie: „to przyszło s a m o!” Dar, dar zachwy-
tu błogosławiony

i weźmy strofę

*to wczesne rano nocą był chłód lecz
słońce oświeca już wzgórze nad wodą, po niebie widać
dzień będzie ciepły i wszystko zmierza ku ugroń i złotu*

zarys widzenia. Tego, co przyśnił
w dzieciństwie chyba Lecz teraz bliżej Blisko, tuż

albowiem ufa: będąc daleko, bezsprzecznie s p e ł n i
(i wyśpiewa) owo pragnienie Simone Weil widoczne w zdaniu
z jej późnych pism:
widzieć, Wi-
dzieć krajobraz taki, jaki jest, kiedy mnie tu nie ma...

w to wierzy.

1998

Kazimierz Hoffman

Fragmenty o poezji Kazimierza Hoffmana

*

Fragmenty o poezji to inaczej „części o całości”. Poezja jest całością – ale swoim fragmentem nie odbiera praw do pełni znaczenia. Lektura jest cząstkowa i pokorna – jednak nie wyzbywa się ambicji uogólniających. Ale chociaż w tworzeniu poezji i w jej czytaniu taka harmonia części i całości dominuje, to bywa, że całość walczy ze swoim fragmentem, fragment z całością...

Lektura w lekturze: dlatego tak czytamy poezję Hoffmana, bo on sam w swojej poezji wiele czyta – i narzuca sposób lektury! W zapisach lektur poetów i myślicieli (którzy czytają świat!) Hoffman szuka punktów krytycznych. I znajduje, jak w wierszu *Rousseau*, „bliznę w Rozprawie”. Szuka więc i znajduje swoiste punkty krytyczne myślicielstwa o świecie i człowieku – zarazem punkty krytyczne świata i człowieka. Jeśli są blizny, to są i rany.

Poezja *docta*? – Tak, ale bezpośrednio dotycząca świata. Niczego nie znieczulająca lekturami.

*

Pełnia jest dążeniem, tęsknotą poezji Kazimierza Hoffmana. Czuje się dążenie do pełni w napięciach i ostrych krawędziach niezliczonych fragmentów, którymi wiersze obracają się ku czytelnikowi, w tym samym momencie szukając jedności w swojej głębi.

Trzy razy autor układał CAŁOŚĆ: w roku 1978 ukazały się *Wiersze wybrane*, w roku 1986 *Dwanaście zapisów*, w roku 1996 otrzymaliśmy *Przenikanie*.

Te książki nie są „wyborami”, nie powstały jako odsianie utworów „lepszyc” od „gorszych” przez sito wartości. I nie są *summami* liryki – autor nie miał ambicji postawienia „pomnika” poezji, pomnika z monolitycznej i szlachetnej ale drętwej masy lirycznej. Więcej jest tu dynamiki niż kanonu.

Dynamika udziela się czytelniczej uwadze wędrującej między trzema zbiorami. Emanują z nich sensory harmonijnie podobne – i wstrząsająco różniące się. Od zbioru do zbioru ta sama materia liryczna skokowo przybiera różną substancjalność, różne „stany”.

*

Kompozycje wierszy tych samych (oczywiście z latami przybywają nowe!) – a ich s t a n coraz inny:

Wiersze wybrane (1978 r.) – Objawienie konsekwencji i wnikliwości słowa. To stanowi o intelektualizmie poezji Hoffmana. Twarda, trudna i filozoficznie kompetentna systemowość (częściowo *in statu nascendi*, a częściowo założona pod słowami wierszy) wyostrza znaczenia, nadaje ruchliwość słowom, pozwala im wnikać w najcieńsze szczeliny logicznych i psychologicznych dystynkcji. Ten zbiór uczynił z poety Mistrza.

Dwanaście zapisów (1986 r.) – W zbiór poprzedni wpuszczono ogrom przeszczeni. Szkielet filozoficznej konstrukcji, zawsze w tej poezji nienatrętny, domyślny, teraz stał się jeszcze bardziej znikliwy. Jest jak rusztowanie, którego pręty i pokłady są od siebie odległe, raczej przenikają powietrze niż obejmują budowlę. Dyskrekcja filozoficznej konstrukcji staje się problemem poetyckiego maksymalizmu: delikatny ale mocno zbudowany latawiec jest tak ogromny, że jego lot ogarnia całe niebo; przestrzeń staje się latawcem swojej bezgraniczności, nieskończoności!

Przenikanie (1996 r.) – Wszystko powyższe prześwietlają czyste i mocne promienie etyki.

(Zmetaforyzowane, niesprawdzalne charakterystyki ulegają kaprysom lektury. Ale poeta d o p u s z c z a ich dowolność – ona jest energią lotu tej poezji.)

*

Ta osobna poezja zewnętrznie i wewnętrznie tworzy samoistną p e ł n i ę, wyraziście odróżnia się od innych i odznacza się sobie tylko właściwym skupieniem.

Zarazem z zamiłowaniem stosuje poetykę f r a g m e n t u, każdym wierszem i strofą i wersem wchodzi w niezliczone dialogi ze światem zewnętrznym i jego częściami.

Całość i część, pełnia i fragmentaryczność – czy w dziedzinie formy może być coś kompozycyjnie prostszego, bardziej fundamentalnego? – Koncentracja pełni na samej sobie, odrębność, nie łączą się w tej poezji z ideologią oryginalności. Zdania, frazy, strofy skupiają się na sensach, które są jak środki ciężkości materialnych brył. Fragmentaryczność nie jest poetyckim kubizmem ani impresyjnością – przypomina raczej rozczłonkowanie skał pod wpływem napięć albo erozji. Chodzi tu o takie całości i części językowe, które swoimi granicami pokrywają się z tektoniką świata fizycznego. Prosta (brutalna i jednocześnie subtelna) składnia tej poezji jest składnią przyrody. To czyni bardziej – a nie mniej! – wnikliwymi wszelkie analizy i syntezy psychologiczne, humanistyczne. Psychika, etyka i metafizyka stają się wiarygodne, bo ich dramaturgia odpowiada elementarnym kompozycjom i liniom sił w przyrodzie.

*

Tę lirykę można nazwać „sytuacyjną”. W statyce tematów i obrazów linie napięć naprężają się do ostateczności, do granic zerwania.

Oto wiersz o przypadkowym spotkaniu z aktorem Smoktunowskim (*Przedwieczorna chwila na dworcu w Kijowie*). Delikatna psychologicznie sytuacja daje się opisać stylem spokojnym, nowelistycznym, rzeczowym. W sytuacyjną grę wchodzi wspomnienie tytułowej roli w filmie *Hamlet* na równych prawach z różnicą: aktor właśnie przechodzi przez peron dworca. I wszystko, co można sobie wyobrazić i pomyśleć w związku z tą sytuacją powierzchniową (tu i teraz obserwacji okiem poety, tu i teraz lektury wiersza) i jej pogłębieniem kulturowym (problematyka Szekspira, aktorstwa, itp.) jest nieprzetłumaczalne na sens poza-sytuacyjny. Trzeba widzieć, czuć, ryzykować oświadczeniem napięcie tej sytuacji – nie można jej od zewnątrz „zrozumieć”.

Te sytuacje bywają „graniczne” w znaczeniu jakie nadał Jaspers: śmierć, narodziny, miłość. Ponieważ są tak istotne, zrównują człowieka z przyrodą – nie odbierając przyrodzie godności i nie poniżając człowieka degradacją do zwierzęcia, rośliny, kamienia. Przez „sytuacje graniczne” człowiek może współistnieć z naturą.

*

Wiele jest cytatów w poezji Hoffmana. Nigdy nie są statycznymi sentencjami, opokami albo okruciami niewzruszonej mądrości. Uwaga czytelnika nastawiona jest na dynamiczną czynność cytowania w tym samym stopniu, co na treść cytatów.

Cytaty są momentami najszybszych możliwych przebiegów sensu. Zjawiają się jako „anty-przysłowia”: nie komentują powtarzalnych sytuacji życiowych, lirycznych, myślicielskich – same są sytuacjami albo lokują się w sercu sytuacji zadanej przez świat i wiersz.

Hoffman nie szuka zdań, sentencji, powiedzeń. Ani ich nie szuka – ani nie znajduje. On w nie trafia!

Trafność cytatów jest równoczesna: cytaty trafiają w sens wiersza, wiersz trafia w cytaty. To jest nagle i przejmujące.

Podobnie Hoffman trafia swoją poezją w „cytaty natury”, w te jej fragmenty, które są węzłowymi sytuacjami świata nie-ludzko przyrodniczego i ludzko duchowego: „znalazłem purpurową skałę – i Księżyc się zaludnił” – mówi kosmonauta chodząc po powierzchni satelity.

Sens w ruchu. Błyskawicznie poruszający się sens – i jego masywność. Ruch w bezruchu. Hoffman jest kapłanem tego paradoksu eleatów i poetów. Mówił Eliot w *Burnt Norton*:

(...) Tylko forma, wzór
Może sprawić, że słowo, muzyka osiągną
Spokoju, jak osiągnąć może chiński dzban,
Który w ruchu bez przerwy stoi nieruchomo.
(przekład Czesława Miłosza)

Hoffman „opracowuje” ten paradoks w trzech jego formach, wzorach, odmianach. Oznacza je z matematyczną precyzją – jak metafizyk i jak logik.

Oto wariant tautologiczny z wiersza *W półśnie las*:

Niepodzielny ruch mrówek. Szuranie milionów
od A
do A

– Idzie za tym bezwładność socjologii tłumów, alienacja, człowieczeństwo czysto zewnętrzne, skamieniałe.

A oto wariant dynamicznego sensu z wiersza *Do Ronnie Petersona* (...), kierowcy, który zginął podczas wyścigów samochodowych:

zostaje ruch, to
ślepe przejście
od A do B.

– Chciałoby się powiedzieć, że ruch jest sensem bezsensownym, błyskawicznym zaślepieniem, gwałtownym życiem śmierci...

Wreszcie wariant retardacyjnego ruchu pamięci, („wahadła pamięci” – jak je nazywał Adam Ważyk). Z wiersza *Benn*:

(...) Trwały nawyk niemyślenia o dacie,
w której owa chwila nas znajdzie (...)
Przesuwanie się oka od
punktu A do
F i – momentalnie – do C

W tym wyabstrahowanym wzorze ruch pamięci odbywa się między „jest” i „nie-jest”, między treścią pamięci a niepamięcią, istnieniem a nieistnieniem.

W poezji Kazimierza Hoffmana te „wzory” paradoksu „nieruchomego ruchu”

oblekają się w najrozmaitsze sytuacje życiowe, egzystencjalne – mgławicowym, psychologicznym nieokreślonościami nadają twardość, istotność.

*

Poezja Kazimierza Hoffmana, wtajemniczona w kulturę, inkrustowana cytami z artystów, myślicieli, jest w najgłębszym sensie poezją natury.

Natura wypowiada się tutaj w najwyższym stopniu swojej autentyczności. Jest sztuką samowyróżnienia się, trudno dostępną człowiekowi, bo milczącą. A ujawnia się w poezji, sztuce najwięcej mówiącej! To paradoks znany poezji, wystarczy przypomnieć *Rozmowę z kamieniem*, arcydzieło Wisławy Szymborskiej, w którym dusza mowy – metafora – jest „wykpią” przez bezduszną, bezznaczeniową „mowę” przyrody. Odmiennością i zasługą Hoffmana jest ukazanie tego paradoksu „czyściej” a przez to okrutniej – nago, bez alegoryzowania.

Prostota wiersza *Nad Saffoną*: „W ciszy z lisich kroków / pęka z hukiem dęb”. Mądrość natury jest powściągliwa, zwięzła, strukturalna, tektoniczna – i gwałtownie samowyróżniająca się.

Natura, przyroda ma swoją myśl, *logos*. Tę nie-człowieczą, milczącą mądrość poeta może oddać jedynie najbardziej wyrafinowanymi sposobami, kategoriami mowy, *logosu* ludzkiego. Mądrość milczenia natury musi przetłumaczyć na mądrość ludzkiej mowy. Do natury nie można się „zniżyć”, trzeba jej dorównać ludzkim wyrażaniem. Dlatego w poezji Hoffmana jest to natura uchwytywana przez artystów pracujących w materii realnej: rzeźbiarzy, malarzy.

*

Wiersz *Kamień Moore'a*:

dźwignij. I przebij. A potem zostaw go
obok pierwszego. I nic nie zmieniaj.
Co za zaszczyt. Postawić rzeźbę obok kamienia.

„Dźwignij” – swój wysiłek fizyczny zrównaj z ciężarem kamienia, ze swoich zmysłów naturalnych uczyn partnerów natury kamiennego ciężaru.

„Przebij” – wpuść przestrzeń do kamienia, dodaj mu przestrzeni. Także przestrzeni umysłowej, z a m y s ł u przebicia.

„Zostaw go” – respektuj jego obecność, jego miejsce w przyrodzie.

„Nic nie zmieniaj” – z tego nakazu uczyn refleksję, ludzki myślowy odpowiednik nieruchomości kamienia. Myśl o tym, że nieporuszony, niezmienny kamień jest l u d z k i m kamiennym nieporuszeniem.

W zbiorze *Przenikanie z Kamieniem Moore'a* sąsiaduje wiersz *Przy drodze do Emaus*, w którym ktoś śmiertelnie chory mówi (o Chrystusie?) „wiesz, w r ó c i ł a b y m n i e p o d n i e ś ć”. Czy to podniesienie ludzkiego poni-

żonego chorobą kadłuba jest przemienieniem materii, zapowiedzią zmartwychwstania? Fizyka kamienia i czynności rzeźbiarza znajdują analogię w metafizyce ciała i „czynnościach” Boga?

*

Na 144 utwory zbioru „Przenikania” aż 29 ma za temat malarstwo, rzeźbę, pracę malarzy, rzeźbiarzy!

Kazimierz Hoffman rozmawia z malarzami, rzeźbiarzami – zapisuje rozmowy toczone w rzeczywistości i w myślach. P o d p a t r u j e artystów. Podpatruje, wchodzi spojrzeniem mowy p o d sensualną treść wzrokową. Patrzy „od podstaw”, od fundamentów tego, co zmysłowo-mentalne.

Malarze patrzą i przenikają naturę spojrzeniem, czynią naturę przezroczystą dla malarskiej myśli. Malując „zaślepiają” farbami czystość świata przenikaną przezroczystością spojrzenia. Patrząc „transcendują” świat, a malując „brudzą” jego transcendencję.

Poeta na nowo daje obrazom wzrok.

Hoffman nie „maluje słowami”, nie ponawia toposu *ut pictura poesis*. Nie mówi jak Przyboś, że „poeci wpuścili w słowo kolor i słowa nabrały własności substancji barwnej”, odmawia sobie magii Miłoszowych „miseczek z kolorami”, którymi karmi się mowa.

Hoffman d a j e l o g o s malowidłom, rzeźbom, życiu artystów.

*

Ten poeta nie tworzy obrazów świata, nie składa „światoobrazu” z obrazów i idei. Nie tworzy też alternatywnego świata sztuki. Jego poezja j e s t w świecie na sposób świata, wedle reguł istnienia świata – reguły poetyki przyjmuje jako prawa istnienia, bytu.

(Trzeba wystrzegać się pomyłki: wiersze Hoffmana nie są zewnętrznymi suwerennymi „rzeczami” pośród rzeczy świata, jak chcieli to widzieć awangardziści. Tu chodzi o sięganie do tego samego ź r ó d ł a rzeczowości, z którego czerpie świat.)

*

W wierszach Hoffmana jest wiele momentów zrównania mowy natury z mową kultury. Również interpretacja musi zrównać samoobjaśniającą się konieczność bytów naturalnych ze ścisłością znaczenia, które jest bytem kultury *par excellence*.

Oto koniec utworu *Widok morza ze szczątkami „Caravelle”*. Po katastrofie samolotu, który wpadł do morza:

(...) moment,
kiedy pierwszy z ekipy
pletwonurków
odgrzebując na Morzu Martwym ze smarów i zgęstnia-
łej oliwy starte do pra-wzoru, do czarnej pestki
twarze Przedmiotów
krzyczy na migi raz w niebo, raz w głębię

tu są. Znalazłem ich.

Katastrofa sprowadza rzeczy i sprzęty chaotycznej, dys-funkcjonalnej dzisiejszej cywilizacji ludzkiej do wyglądu i do istoty przedmiotów archaicznych, z epoki braterstwa „rzeczy – części natury” z „rzeczami – instrumentami ludzkiej praktyczności”. Do tego braterstwa należała też twarz (osobowość) kogoś, kto osobą jest dlatego, że potrafi dokonywać wszelkich, a więc i takich, p o r ó w n a ń. Potrafi być w o b e c. Katastrofa to porównanie radykalne: surrealne spotkanie dowolnych przedmiotów. Naturę z kulturą łączymy katastrofą. Cóż za paradoks, przeciwieństwo, oksymoron: katastrofa, destrukcja – i połączenie, scalenie sensów!

W obliczu tej porównującej wszystko ze wszystkim katastrofy, tego zbawionego i nagłego k r y z y s u mowy, która musi stać się milczeniem przedmiotów, nurek „krzyczy na migi”. Z największą ekspresją milczy i wyraża. Milczy i wyraża połączenie i dystans żywiołów (niebo – woda), połączenie i dystans życia nadprzyrodzonego i głuchej śmiertelności (niebo – głębia). Milczeniem i wyrażaniem w s k a z u j e: „tu są” ludzie razem ze swoją śmiercią i zachowują człowieczeństwo w tej śmierci, „tu są” żywioły, przedmioty, najprostsza metafizyka. – Oto elementarność, asceza i prostota – natury, milczenia, człowieczeństwa, mowy, poezji! Ludzkie oznajmianie zrównane jest z samooznajmianiem się natury – równie bogate, dramatyczne.

„Krzyk na migi” to definicja paradoksalnej lakoniczności tej poezji, lakoniczności ekspresyjnej.

*

Inna odmiana lakonizmu, z wiersza *** (*Obiecał: przetrwał...*). Na wielkiej równinie:

bezkształtne światło ogarnia mnie zewsząd
i oszczędza

Chodzi tu o lakonizm istnienia. Słowo „oszczędza” ma dwa znaczenia: oszczędza, czyli skąpi czegoś – oraz „oszczędza”, czyli „ocala”, „darowuje komuś zagrożone uprzednio istnienie”. Może to nawiązanie do słynnego, przedśmiertnego zapisku Tuwima: „Jeśli kiedyś zaświeci mi światło wiekuiste, to zgaście je przez

oszczędność”? – Straceniczy aforyzm Tuwima znalazłby zbawienie w miłosierdziu Bytu, w ograniczeniu człowieczeństwa do ocalającej czystości, do minimum istnienia...

*

Ludzkie i nie-ludzkie bywa oznajmiane ubogo, sucho, z oszczędną dramaturgią. Oto „świecki obrzęd” pogrzebu w wierszu *Motyw z B.*:

(...) pierwsza gruda ziemi spadła na drewno

w dole. I to już
trzeba było przyjąć: tyleśmy pojęli.

Kiedy masywy albo ułamki świata uderzają o siebie (ziemia na trumnę) wówczas „świecki obrzęd” ludzkiej mowy wymusza Sens niewymawialnie religijny: „tyleśmy pojęli”.

Obrzęd metafizyki jako praca nagłego pojmowania. Mowa ludzka (i jej esencja – literatura, i esencja tej esencji – poezja) jest metafizycznym pracownikiem, jest narzędziem pracy – i jest jej efektem!

Oto te same trzy stadia w innym ujęciu: w trzeciej części utworu *Według Schellinga* malarz widzi światło, maluje światłem, medytuje światłem – zarazem jest ono światłem mowy, bo zapisuje je poeta:

(...) scalające rzecz, w miarę patrzenia
stygnie, t ć ż e j e.

nie kończ.
Po prostu u c h r o ń, trzymaj. To zamyślenie.

*

Czysto przyrodnicza, materialna tektonika ma w poezji Hoffmana swoją etykę! W wierszu *W Giarre* czytamy:

- Odchyliwszy gałąź ujrzałeś pęknięcie
w czym tkwi przyczyna
- W słabości
- Nie
- W żelazie
- Nie zgaduj. W spłynięciu wód: podskórnych wód

Łatwo wedle sensu moralnego alegoryzować inżynierskie diagnozy pęknięte-

go muru! Ale wiersz broni się przed tym skutecznie. To raczej tektonika natury s p r a w d z a czy dramatycznie popękane, etyczne p o w i e r z c h n i e naszego uczestnictwa w świecie są bezpiecznie w nim u g r u n t o w a n e...

*

Nawet ekspresjonizm tych wierszy jest powściągliwy! Sprowadza się do ludzkiego „tak – nie” w elementarnym zderzeniu masywów materii, do jakiegoś „zero-jedynkowego” akcentu pre-metafizycznego: coś jest – czegoś nie ma. W poemacie *Rousseau* czytamy: „Nie wierzę / w bezinteresowne otoczenie / minerałów”. Interesowność jest właśnie owym ludzkim „tak – nie”.

W tej liryce wiele utworów zaczyna się od „tak”, równie wiele od „nie”. Czasami chodzi o akceptujące „amen” albo odrzucający protest etyczny. Ale najczęściej jest to „skaza” ludzkiego sumienia na a-moralnym masywie przyrody. Jak w wierszu *Na temat Sisleya*, gdzie zachwyty suwerenną, nienaruszalną całością przyrody i satysfakcja z pełni jej odzwierciedlenia na malowidle, kończą się brutalnie: „Obraz miał skazę? / Tak, wejście”.

*

Znamienne jest ostre „kadrowanie” tych wierszy. Początki i końce są brutalne, nie sygnalizowane przejściowymi „wstępami” albo „epilogami”. W naturze także góra nie oznajmia, że za moment zacznie się i za moment skończy się w przeszczeni. Po prostu jest stąd – dotąd. Mamy ją nagle w spojrzeniu.

Niemożliwy jest tutaj aspekt chrześcijańskiej teologii znamienny dla poezji Norwida, w której „koniec szepcze do początku, że go uwydatni”. Nie! – W poezji Hoffmana jest dramat początku i końca przyrodniczo ostatecznych!

*

Nagłość jest jednym z ulubionych „chwytów” Hoffmana. Nagłość i ryzyko.

Jak w wierszu *Staff*: życie starego poety łagodnieje, zmierza ku idyllicznemu wygasaniu – a śmierć jak wilczur skacze idylli do gardła. Stoicyzm naraził się na ryzyko śmiertelnego gwałtu.

Przeciwnie w wierszu *Zamoyski*. Rzeźbiarz wybiera wierność nieruchomej kamiennej bryle; wierność nieporuszeniu jest „przegraną z wyboru”, świadomie podjętym ryzykiem skamienienia – wobec pokusy dynamizmu, ruchliwości i zwiędności „mobili” Caldera.

*

Tyleż jest w tej poezji mowy, co milczenia. I w tej sprawie znajduję znamieną różnicę poetyckich filozofii Norwida i Hoffmana. Norwid uważał milczenie

za oś logosu, *basso continuo* mowy. Dla Hoffmana inaczej: mowa jest jakiegoś rodzaju *m a s y w e m* – a milczenie *m a s y w e m* innego rodzaju.

Wiersze Hoffmana to masywy mowy i milczenia. Zasadą jest ruch tych masywów. Czasami strofa coś mówi, ale w istocie ma oddać to co nieme – ciężar znaczenia między strofami. Błyskawiczne przemieszczanie się masywów mowy i milczenia stanowi specjalny rodzaj składni.

Składnia jest tym dystansem, który pozwala obserwować masywność i ruch świata – a zarazem w nich uczestniczyć istic ludzkim zaciekawieniem, poznawczą intuicją.

Masywność, ruch, dystans – to są kategorie mowy tak pierwotnej, tak elementarnej, że wspólnej ludziom i zwierzętom! Z tego ludzko – zwierzęcego braterstwa w logosie zdaje sprawę wiersz *Słonie*. Człowiek, Hannibal, zmuszając słonie do ruchu wdaje się z nimi we wspólnotę:

I oto pchnąwszy ostatniego slonia

tak, podziwu godna owa umiejętność
przetaczanie ciężarów po równi po-
chylej (...)

A po wielu wiekach inny człowiek, zwiedzający Zoo:

pojmuje w końcu. Ich ślepka
odprowadzają nas na przepisową odległość

W poezji Hoffmana podobnym poznaniem dramatycznej wspólnoty milczących i głośnych znaczeń obdarowują rośliny i minerały. One także wytwarzają ów dystans, „przepisową odległość” logosu, o którym Heraklit powiedział, że ujmuje świat w „karbach miary”. Jest w tym wspólny naturze i umysłem ład – A tylko człowiekowi dany jest respekt wobec ładu!

*

Nie tylko umysł, również zmysły mają swoje cierpkie zdystansowanie, zmysły, które są organami logosu w ciele człowieczym. Trzy razy – w wierszach *W półmroku*, *Stary człowiek ze wsi (...)*, *Koda* – powtarza się zmysłowy synonim „przepisowej odległości”: smak i zapach żelaza, oksydowanej broni, prądu elektrycznego próbowanego językiem na blaszkach baterijki. Jest w tym smutek daremności: subtelne przywoływanie czegoś brutalnie głuchego. Coś z „żelaznej” obojętności i gwałtownej śmierci. A przecież nawet ten znak rozejścia się, nieprzystawiania zmysłów i nicości jest przekładalny: na życie – i na nicość!

Jeszcze jeden wątek wysnuty z Jaspersa: Świat ludzki jest w liryce Kazimierza Hoffmana materialną l e k t u r ą materii. W tej tautologii l e k t u r a jest czymś s w o i ś c i e ludzkim, antytautologicznym.

Wprawdzie materię się czyta, wprawdzie przyroda jest Księgą, jakimś „szyfrem transcendencji” jakby to Jaspers powiedział, ale o tym przekonać można się dopiero, gdy świat fizyczny czyta się ostatecznymi, granicznymi sytuacjami człowieka, jego początkiem, narodzinami, jego końcem, śmiercią.

Transcendencja wybucha tylko w świecie ludzkim zrównanym z naturą, w świecie bez złudzeń.

Piotr Matywiecki

TRZY WIERSZE

Trzy najważniejsze wiersze polskiej poezji XX wieku. Po Czesławie Miłoszu („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/15/1997), Stanisławie Lemie (nr 4/16/1997), Janie Józefie Szczepańskim (nr 1/17/1998) Ryszardzie Krynickim (nr 2/18/1998), Janie Twardowskim (nr 3/19/1998) i Jarosławie Marku Rymkiewiczu (nr 4/20/1998) prezentujemy wybór Kazimierza Hoffmana. Kolejna wypowiedź w następnym numerze.

Kazimierz Hoffman

Oto moja odpowiedź na ankietę:

Tadeusz Różewicz

Odwiedziny

Nie mogłem jej poznać
kiedy tu wszedłem
dobrze że te kwiaty
można tak długo układać
w niezręcznym wazonie

„Nie patrz tak na mnie”
powiedziała
gładzę szorstką dłonią
przycięte włosy
„obcięli mi włosy – mówi –
patrz co ze mnie zrobili”

teraz znów zaczyna pulsować
to źródelko z błękitu pod
przeźroczystą skórą szyi
tak zawsze kiedy połyka łyż

czemu ona tak patrzy myślę
no muszę iść
mówię trochę za głośno

i wychodzę ze ściśniętym gardłem

Tadeusz Różewicz

Czego byłoby żal

uśmiechu Wiesławy
kiedy mówi dzień dobry
i dobranoc

i kiedy nic nie mówi

kiedy zamyka za mną drzwi
i otwiera
po długiej podróży

i po powrocie
z dalekiej krainy
gdzie budowałem wiersz

czego byłoby żal

ciszy między naszymi twarzami
i słów które nie zostały
wypowiedziane
bo to co boskie
w człowieku
ciągle poszukuje
swojego wyrazu

czego byłoby żal

„całego życia”
i jeszcze czegoś
ogromnie wspaniałego

poza słowem
poza ciałem

1995

Tadeusz Różewicz

Pamięci Konstantego Puzyny

Czas na mnie
czas nagli

Co ze sobą zabrać
na tamten brzeg
nic

więc to już
wszystko
mamo

tak synku
to już wszystko

a więc to tylko tyle

tylko tyle

więc to jest całe życie

tak całe życie

1989

*

Raz po raz nawiedza mnie ta sama myśl:

gdyby z jakiejś niepojętej zagłady naszego narodowego Księgozbioru ocalały tylko trzy teksty poetyckie, to one same już świadczyłyby o wielkości współczesnej poezji polskiej, znaczonej przecie tyloma świetnymi nazwiskami! Te trzy teksty, jakże odległe od siebie w czasie – *Odwiedziny* dzieli od *Czego byłoby żal* (w wersji z „*Twórczości*”) niemal pół wieku – to przytoczone wyżej wiersze Tadeusza Różewicza.

Mój podziw i wzruszenie, tak, nieodmienne wzruszenie, niech starczą tu za literackie uzasadnienie wyboru.

Kazimierz Hoffmann



Fot. Bogusław Gummer

O odpowiedzialności poezji za słowo i innych sprawach

Z *Kazimierzem Hoffmanem* rozmawia *Grzegorz Kalinowski*

Grzegorz Kalinowski: *Arystoteles w „Poetyce” powiada, że twórczość poetycka jest bardziej prawdziwa niż badanie bytu. Czy Pan się z tym zgadza?*

Kazimierz Hoffman: Nie komplikując sprawy przez mnożenie pojęć, zgódźmy się na proste stwierdzenie: bytem jest to, co istnieje. I ograniczmy się do rzeczywistości postrzeganej. Do świata wokół nas, do którego sami należymy, będąc *faktem*. Wittgenstein w pierwszej tezie swego Traktatu mówi: „Świat jest wszystkim, co jest faktem”. Wiersz jest faktem. Potrzebował pracy ducha i intelektu i teraz jest. Oto dowód: pokryta piśmem kartka. Świat nie jest złudzeniem. I na nic tu kombinacje Berkeleya z zamykaniem oczu. Zamknąłem oczy i dotykam ręką miejsca, gdzie powinien być siedzący u moich kolan pies: jest! (śmiech).

Nie oddzielałbym sposobem Arystotelesowym twórczości poetyckiej od badania bytu: co jest bardziej prawdziwe – to pierwsze czy to drugie. Wiersz będąc bytem (faktem) syci się bytem i nieustannie jest bytu ciekawy. Na swój sposób pragnie dociec istoty danej rzeczy. Przeto zbliża się do Tajemnicy. Zbliża jedynie. Ale to i tak dużo. Bardzo dużo. Zresztą ta niezaspokajana ciekawość poezji

w stosunku do istoty rzeczy powoduje trwanie poezji: ma przed sobą wciąż Cel. To ją pcha do przodu. I niedaleko jest w tej pożądlivości od ambicji profesjonalnego badacza bytu. Co więcej, te odróżnienia jakże często znoszą się w dociekaniu sprawy.

U początku filozofii jest poezja. To już wiemy. Czyż ontologiczne wywody Heraklita nie były zarazem intuicjami poety wypowiedzianymi sposobami poezji, przez obraz? Wystarczy się pochylić nad ocalałymi fragmentami jego twierdzeń.

Rozwinę problem o pewien przykład wzięty z osobistego doświadczenia. Rzecz przydarzyła mi się niedawno w Tleniu, w domu mojej córki, Małgorzaty. Wychodząc rankiem na taras znalazłem na ogrodowym stole martwego kosa. Skąd się tam wziął? Nóżki ułożone symetrycznie, schludnie, jak u żuczka Szymborskiej. Matowa czerń upierzenia, sucha jak sadza. Ale kiedy wziąłem ptaka w ręce, stała się delikatnie, jakże delikatnie gładka; ujrzałem i p o c z u l e m lśnienie tego ciała! Wydało mi się zarazem, że kos jest jeszcze ciepły. Porażające wręcz doświadczenie. Tak, mówię tu o pięknie. Wie Pan, to było coś, o czym marzy i człowiek „spoza nauki”: dociec sedna, zbliżyć się do niego, być blisko... Oczywiście uległem tu nadinterpretacji. Ale jakie doznanie duchowe!

I w tym coś jest.

G.K.: Zastanawia sugestywność tego opisu...

K.H.: Zdarzenie w Tleniu stało się dla mnie niezwykle cenne poznawczo. Tak to widzę teraz. Wydaje mi się, że wówczas, w przypadku tego kosa (pochowałem go w rogu ogródka), dane mi było przybliżyć się rzeczywiście do „rzeczy samej”. Przez bezpośrednie doświadczenie osobiste. Byłby to zatem dany w obrazie, w naoczności, przykład redukcji fenomenologicznej? Być może. Nie wiem. Określenie nie jest w tej chwili najważniejsze. Ważne było i jest dla mnie dotąd p r z e ż y c i e towarzyszące mi wtedy. Przeżyte doświadczenie.

Jakże głęboki sens odnalazła wówczas w owym „przedmiocie natury” moja świadomość! A jednocześnie to zaskakujące poczucie jakby w ł a s n o ś c i tego zjawiska...Lévinas w swoim *Eseju o zewnętrznosci*, rozmyślając nad fenomenologią Husserla, powiada: „Przedmiot, który na pierwszy rzut oka wydawał się zewnętrzny, w jasności pojmowania *prezentuje się*, to znaczy oddaje się temu, kto go spotyka...”, a ja dodam: ... ten zaś otula go wzruszeniem. Tak, wzruszeniem... Bo tak było ze mną wówczas, w Tleniu. Całą sprawę ująłem później w tekście poetyckim zatytułowanym *Kos*...

Poruszyłem temat, który ewokuje coś jeszcze, a co dla mnie samego staje się, w tej chwili, zaskoczeniem.

Fenomenologia. Jej twórca... wie pan, myślę, że Husserl jest zbawiony. Jego uczennica i asystentka na uniwersytecie, Żydówka Edyta Stein, wyniesiona na ołtarze przez naszego papieża, Jana Pawła II, jako święta Kościoła Katolickiego, nie mogła się mylić co do rzeczywistych wartości duchowych tego człowieka. A pozostała mu wierna w serdecznej przyjaźni aż do końca, do męczeńskiej śmierci w Oświęcimiu. Myślę, że niezawodny wgląd w drugiego człowieka, powodowany ewangeliczną miłością do niego, jest jednym z przymiotów świętości.

Tak, fenomenologia stała mi się bliska nie tylko przez swój szacunek dla pojedynczej rzeczy, ale ze względu na te dwie postacie...

G.K.: *Zapytałem o komentarz do Arystotelesa, ponieważ w Pańskiej twórczości poetyckiej inspiracje filozoficzne są wyraźne. Czy mógłby Pan wskazać swoich mistrzów?*

K.H.: ...św. Augustyn i jego wspaniały wywód o czasie w *Wyznaniach*; naiwny, a bliski mi nadal bardzo, w uميلowaniu natury Rousseau. Ze współczesnych Bergson ze swoim zaufaniem do intuicji; Max Scheler i jego przeświadczenie: u podłoża każdej świadomości leży cierpienie, u podłoża wyższej świadomości – rosnące cierpienie; Whitehead, który doprowadzony został do Boga przez filozofię... Wszyscy oni w jakiś sposób pomogli, wsparłem się na nich na pewnych etapach mego duchowego życia... Odpowiada mi bardzo filozofujący teolog Hans Urs von Balthasar. Ta jego myśl, że doznanie wyjątkowego piękna w sztuce czy naturze jest tak gwałtowne, jak jakiś cud, ale ja k o cud właśnie – zrozumiałe. I chyba tego, tak myślę teraz, doświadczyłem wówczas w Tleniu, z owym martwym kosem...

G.K.: *Czy bycie poetą to nieustanne zstępowanie do piekieł?*

K.H.: To romantyczna, a raczej modernistyczna przesada. I w poezji bywają kręgi niebieskie. Najważniejsze wszakże to trzymać się środka, po prostu: rzeczywistości. Tu i Teraz. Szanować szczegół. Bardzo. Bowiern szczegół jest łaską. To, co ogólne – rozmywa. Tak, szczegół, jego dostrzeżenie i wyrażenie w wierszu to łaska. Osoba i pojedynczy przedmiot. Szacunek dla każdej rzeczy. Bowiern muśnięta jest esencją... Wyczuł to niegdyś nawet taki ateusz, jak La Mettrie. Trzymam się szczegółu, jak tylko mogę, wyczekuję go; no bo łaska nie zawsze jest dana. Bez doznania szczegółu nie byłoby moich wierszy „trafionych”. Zaprzeczających omnipotencji piekła.

G.K.: *„Nie piszcie słowami, piszcie bez słów, piszcie ciszą”. Czy jako poeta zgadza się Pan z Saroyanem?*

K.H.: Ta cisza musi być wymowna; przyzwolona przez piszącego w strukturze utworu poetyckiego, wybrzmiewa niekiedy mocniej niż napisane słowo. Oczywiście wszystko zależy od klasy autora. Moim zdaniem, cisza w poemacie to szczególnie rodzaj metafory, bardzo subtelny. Jest też jak puste miejsce w dziele malarskim, które czeka na „wypełnienie” przez oglądającego, dzięki czemu zaczyna żyć pełnią swego życia. Wszystko wszakże zależy od wrażliwości perceptora. Ale o wrażliwego odbiorcę przecież nam chodzi. Tylko o takiego.

I nie przesadzajmy też z tą ciszą. Aby wypowiedzieć swoją myśl, Saroyan musiał użyć słów. I użył.

G.K.: *Jacy są Pańscy mistrzowie – poeci?*

K.H.: Hölderlin i Rilke. Duchy opiekuńcze mojej liryki. Zwłaszcza ten pierwszy.

G.K.: *Co Pan sądzi o współczesnej liryce?*

K.H.: Pytanie nazbyt obszerne. I nieco krępujące, bowiern wymaga osądów. Sam pisząc, to znaczy przedzierając się przez język, z wysiłkiem, powinienem rozumieć taką samą sytuację u innych piszących. I ich samotność nad białą kartką. Rozumiem, domyślam się. Ale mam na myśli tych naznaczonych pokorą, to znaczy: przygotowanych. I tylko z takimi czuję się zbratany w pisarskim trudzie. Tymczasem... No, powiem, co odłożyło mi się na wątrobie.

Słyszałem niedawno w radiu wypowiedź Marcina Świetlickiego, ponoć gwiazdy przewodniej naszych „młodych”. Kabotyńską. Nieco później przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” recenzję Darka Foksa z najnowszego tomiku Świetlickiego pt. *Pieśni profana*. Bałwochwalcza. W niej zaś na koniec... proszę momentik zaczekać, sięgnę tylko do teczki, gdzie przechowuję rarytasy szczególnego rodzaju... Już mam. Niech Pan posłucha: „Po przeczytaniu *Pięciu wierszy religijnych z Pieśni profana*, jednego z najwspanialszych wierszy «edukacyjnych» w poezji polskiej – ciągnie Foks – wiem, że nie powinienem posyłać syna na lekcje religii (i nie poślę).”

Zal mi dziecka, którego ojciec wypowiada się w ten sposób. A teraz będzie – niestety, sprowokował mnie Pan swoim pytaniem – o twórcy bardzo wybitnym. Pozostaje mi tylko zdobyć się na odwagę. I czynię to.

Otóż: szczerze podziwiam mistrzostwo Wisławy Szymborskiej w budowaniu formy wiersza i przeprowadzaniu wywodu. To Wittgensteinowska wręcz precyzja i pewność siebie. Rodem z *Traktatu*. I nie ma chyba sobie równej w całej naszej powojennej liryce. Ale tym gorzej – i tu się zaczyna moje „nie” – dla samej liryki. Powiem ściślej: dla jej „umacniającego” (nas) wydźwięku. Niemal co drugi utwór Noblistki jest, mówiąc najogólniej, zaprzeczeniem sensowności bytu. Opiewa niejako, no bo go wyraża środkami poezji, absurd naszej egzystencji. W najlepszym przypadku – zawiesza jej sens. Od paru dobrych już lat natrafiam w dziele tej poetki na schemat: może być tak, a może być i tak. Jest i nie jest. Ziarenko i nie ziarenko. Nic. Jakże to charakterystyczne dla czasów wątpienia, dla nieszczęsnego postmodernizmu! Nieskazitelna struktura kryształu wiersza Szymborskiej. Trafiona absolutnie, jeśli chodzi o precyzję wypowiedzi. Mistrzostwo. I chroniczny relatywizm. Właśnie przez ową nieustanną wręcz grę zaprzeczeń. Błędne koło. Nieznośny relatywizm poznawczy. Dochodzi do tego ironia. I dobija.

Wypowiedziałem to, co od dawna ciążyło mi na sercu, pokoleniowy rówieśnik poetki.

G.K.: *Czym jest dla Pana twórczość Mickiewicza? Czy „my z niego wszyscy”?*

K.H.: Nie, nie wszyscy. I wolałbym, aby padło (bez „wszyscy” wszakże) na zwisko Norwida.

G.K.: *Pojmuję lapidarność tej odpowiedzi, jest wymowna. Pozwoli Pan, że zrekom-pensuję to sobie takim pytaniem: co jest „podstawą” Pańskiego wiersza, jeśli chodzi o formę?*

K.H.: Zdanie. Wbrew odzywkom Rolanda Barthesa: koniec ze zdaniem, koniec z logiczną frazą. Zdanie. Nazwałem je umownie, na własny użytek, jednostką wzruszeniową. Zdanie w moim wierszu to zapisana ekspresja wzruszenia. Obojętnie, jakie jest długie. Może być z dwóch słów. Od niego zaczyna się budowa tekstu. Nie jest to dla mnie sprawa regularnego „oddechu”, jak mówi o czytaniu swego wiersza Miłosz. Jest to sprawa w y r a ż o n e g o w składni wzruszenia. Wzruszenie przyspiesza oddech, modulując zdanie. Głos się potyka, łamie. Tak, nacisk kładę na stronę emocjonalną. Składnia oddaje napięcie emocjonalne piszącego w miarę wiernie. Niezależnie od rygoru wiersza. Przeniesie-

nia, przerzutnie, spacje, obecność lub brak w zdaniu znaku przestankowego – wszystko to oddaje ten stan. No i oczywiście sąsiedztwo „trafionych” słów, ich wzajemne napięcia... Z punktu widzenia psychologa jest to jak najbardziej oczywiste. To wzruszenie wyrażone w utworze. To tak, jak – poza literackim już zapisem – przelykanie śliny czy łapanie tchu, jego nieregularność... I nie ma tu nic ze stylizatorskiej zgrywy czy poetyckiej mody.

Na przykład: przerzutnia. Jest u mnie jak skok wędrowca nad strumieniem. Z brzegu jednej strofy na brzeg drugiej. Dziwne. Ten moment, to mgnienie skoku czy p r z e l o t u części zdania nad światłem bieli dzielącym brzeg obu strof daje mi zawsze mimowolne odczucie w o l n o ś c i; radosne, jak żaden inny zabieg formalny w budowie struktury wiersza!

Potwierdzić te wywody „empirycznie”? Otóż proszę przeczytać głośno, powoli i z uwagą zdanie, które przenieśliśmy do drugiej linijki, albo też przerzuciłem do następnej strofy – będzie odpowiadało w miejscu przeniesienia „sytuacji wzruszeniowej” piszącego. Dokładnie. Jestem tego absolutnie pewny. Ta sytuacja, ten stan napięcia powinien być u k a z a n y w tekście. Tak uważam i tak czynię.

Naiwne? Być może. Ale to mnie nie obchodzi. Idzie o prymarne odczucie: poeta pisze sobą.

G.K.: W Pańskich wierszach widać wyraźnie wpływy muzyczne. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o swoich ulubionych kompozytorach?

K.H.: Bach, Bruckner... i Debussy, no przecież: to rozgrzane powietrze nad trawami w temacie fletu z preludium do *Popołudnia Fauna*, ta falująca delikatnie przezroczystość!... Jeśli chodzi o muzykę polską, a mam na myśli współczesną, to Lutosławski. Jego III i IV Symfonia, zwłaszcza one... Równowaga uczucia i uważnego intelektu. Ideał, którego zawsze szukałem w dziele... Te odsłaniające się naraz rozległe przestrzenie muzyki. Przejmujące. I proszę sobie wyobrazić: ja te obszary w i d z e!

G.K.: Jest Pan także autorem szkiców o malarstwie. Przede wszystkim mówi Pan o swoich przyjaciółach malarzach, a także, przy okazji niejako, na pomyślnie o swojej poezji. Dzieło malarskie jest często inspiracją dla Pańskich wierszy.

K.H.: Jestem wzrokowcem. Muszę w i d z i e ć słowo. Ale i czuć, obracać je w palcach! Chodzi o jego plastyczność w wierszu. I o jego j e d y n o ś ć. O dokładne trafienie w to, a nie inne miejsce. Poruszamy problem składni. Podstawowy dla mnie. Ale zapytany zostałem o malarstwo, o jego wpływ na moje pisanie.

... Jak to dobrze, że wyszli z pracowni i zaczęli malować, jak powiedział Józef Czapski – na naturze! Ulubieni? Pissaro, Monet, Sisley... No właśnie, impresjoniści. Przywykłem do nich, jak do drzewa za moim oknem. Zasiali coś, co wypuszcza świeże pędy i teraz. Zauważyłem to z wielką radością oglądając nie tak dawno w salonach bydgoskiego BWA obrazy malarza z Poznania, Andrzeja Kurzewskiego. Wyraźna fascynacja późnym Monetem! Ale pismo w ł a s n e. Świecista m a t e r i a malarska. Jakże rzadka dziś, w czasach rysowania obrazów. Materia uzyskana z szarości... Omgłone wody, prześwieczone delikatnie słońcem; migotliwość. Materia ż y w a. Cała rzecz w pogodnym ukojeniu...

G.K.: Muszę zapytać Pana o ś.p. Krzysztofa Nowickiego, który dedykował Panu swą książkę „Od rzeczy”, a która zgodnie z życzeniem pisarza ukazała się po jego śmierci.

K.H.: Krzysztof... W dwóch ostatnich latach jego życia coś nas zbliżyło do siebie w sposób szczególny. Zbratało. Podsunąłem mu kiedyś tekst z prośbą, aby go przeczytał, a potem do niego wracał... Zacytuję go z pamięci, bo zapamiętałem każdą jego literę, każdy znak przestankowy, układ wersów. Zapamiętałem jak modlitwę z dzieciństwa. To akapit z Thomasa Mertona:

„Wierzę z Diadochosem z Photike, że jeśli w godzinie mojej śmierci nie zachwieje się ma wiara w miłosierdzie Boże, to przejdę granicę bez kłopotów i ominię straszliwy szereg moich grzechów tak, jak gdyby ich w ogóle nie było, ponieważ łaska Boża i Przenajświętsza Krew Baranka Bożego, Chrystusa, oraz żal, jaki On zsyła pokutującemu, pozwalają na to.

I wskutek Jego miłosierdzia pozostawię je na zawsze za sobą”.

Pokochaliśmy obaj tego mnicha uprawiającego poezję i piszącego nasycone uczuciem eseje. Pomógł nam. Krzysztofowi w zbliżaniu się, mnie w umacnianiu wiary. Merton nam pomógł. Jest w Krzysztofowej *Przed mówie* (dedykowanej mi) z pośmiertnej jego książki taki urywek, taka cząstka, która o tym napomyka...

G.K.: Jak Pan widzi przyszłość poezji?

K.H.: Jestem człowiekiem, który zawierzył Ośmiu Błogosławieństwom z Kazania na Górze. Bez reszty. To określa mój stosunek do świata. A zatem: do osoby i do każdej rzeczy; mówiąc ogólniej: do szczegółu i pojedynczości. W moim głębokim przekonaniu, a podzielał ten optymizm z księdzem Janem Twardowskim, którego słuchałem nie tak dawno na jego wieczorze poetyckim w Bydgoszczy – nadchodzący wiek będzie czasem odrodzenia wiary. To będzie n o w y czas. Po katastrofie wątpienia i uprzedmiotowienia osoby ludzkiej. Mija ponowoczesność. To dobry znak. Intuicja podpowiada mi: człowiek się podniesie, zobaczysz. Zacnie, stopniowo, być przywracany swemu *zaranii*, jak to niegdyś określił w odniesieniu do języka, powoływanego do życia przez poezję, Heidegger... Przyszłość samej poezji, moim zdaniem, będzie wynikała z tej nowej sytuacji.

Na koniec raz jeszcze dwie sprawy.

Świat nie jest chaosem a egzystencją absurdem. To lament zrozpaczonych. Wspomniany przeze mnie już wcześniej Whitehead, matematyk i filozof, w końcowych fazach swej twórczości raz po raz z wielką mocą dowodził racjonalności bytu. Twórca zasady nieoznaczoności, fizyk Werner Heisenberg podkreślał: u podstaw świata leżą proste równania matematyczne. Obaj mówili zatem nie o bezładzie, ślepych trafie i absurdzie. Mówili o Zamyśle.

Sprawa druga. „Was bleibet aber, stiften die Dichter”. To Hölderlin. Tak, to, co zostaje, ustanawiają poeci. Jakże jest wielka odpowiedzialność tych, którzy zostali do tego powołani. Odpowiedzialność za słowo. Zwłaszcza tych, którzy osiągnęli szczyty poetyckiej kariery. I akceptacji. Odpowiedzialność poezji za słowo. Szanowanie słowa ...Poemat sławi *świętość* (das Heilige). To ponownie Heidegger.

Bydgoszcz, październik-listopad 1998 r.



Józef Kurylak

Pianie koguta



Pianie koguta... dawno nie slyszalem...
A tu w porannym zmierzchu... kogut zapial...
Komu on zapial?... Pustce mego zycia?...
Tym sniegiem szarym i bezwladnym?... Wciaz pamietam
Blask zielonego lata... chory jestem... czekam
Na cud... lecz slowa bardzo szybko wiedzna...
Ciężko spadaja... pozolke... na bruk...
Wiatr je porywa... depcza je cywilizacje...
Wystarczy mi niebieski potok... blyskajace
Ryby w jego gwałtownych nurtach
I na zielonej skale moja Lorelei...
Potok... nie pytam... juz nie pytam dokad plynie...
Ostateczna odpowiedz juz sformulowano...
Lecz mowa ludzka... poetycka... milknie
Wobec tajemnicy Boga... tak Dante w Raju umilkł...
A my milczymy juz tutaj... na ziemi
Kiedy przed nami lezy najwieksza tajemnica:
Trup czlowieka... Czym sa nasze Wysokie Pieśni?
Przepowiadal: „A kto wytrwa... az do konca...”
Przepowiadal nam zatem... trudne zycie...
Niech nas uniesie swiatlo... ponad ziemie...
Nawet niezbyt wysoko... ziemia to za malo...
Choć z niej arystokracja form... palace...
Takze furmanki form... na zabloconych drogach
Nocy... z kolyszacymi sie latarniami...
Ale nie w naszej mocy zwiekszye prędkosc swiatla
Gdyz nie jesteśmy Źródłem... Lampa oswietlala
Szewski warsztat mojego ojca... Był tam wóczas
Salon literacki... tworzyli go rzemieślnicy

Józef Kurylak, ur. 1942 r. w Komarowicach koło Dobromila. Wydal zbiory poezji: *Ziemskie prochy* (nagroda im. Kazimierzy Ilakowiczówny), *Kolatanie do bramy* (nagroda Domu Ksiegarza w Warszawie), *Jasno ciemno*, *Góra duchów* (nagroda im. Mikołaja Śępa Szarzyńskiego), *Dolina Poetów nad Wiarem*. Mieszka w Przemyślu (lato), a reszte roku w Warszawie. Jest jednym z założycieli „Frazy” i „Nowej Okolicy Poetów”. (red.)

Robotnicy wieśniacy z pięknymi córkami
Przyjaciele mojego ojca... „z tamtych stron...”
Umysły proste... dusze silne i szlachetne...
Ukryty w kącie słuchałem ich wspomnień...
była to moja edukacja... Przeczytałem również
„Przemianę” Kafki... Gregor Samsa
Był wtenczas mym jedynym przyjacielem
Jedynym światłem... Absurdalne?... W moim życiu
Zaszły straszliwe przemiany... Twoje suknie
W rozpadzie... bez nadziei... zapomniane...
Zegar tyka na ścianie jakby krople deszczu
Padały na parapety blaszane...
Kroplami deszczu świat wsiąka w tę ziemię...
Płatkami śniegu... nieustannie... coraz ciemniej...

1999

Futurologia

Stanisławowi Lemowi

Nie przeraża mnie śmierć, po której
Rozpłynę się w żywiołach, w nicości,
Bez zaświatów, bez Boga. Niepokoi mnie jednak,
Że jakiś uczoney zacznie szperać w nicości
I na przykład wskrzesi umarłego
Albo zapobiegnie starzeniu się.
Będzie to czas bezlitosnej selekcji
Na inteligentnych i głupich.
Dla jednych wieczność, drugim marny koniec.
To także problem zdobywania władzy.
Ciemności będą zapomniane –
Ich maski symbolicznie odwrócone

1998

Do ściany!

Niewłaściwą religię kiedyś wyznawałem
Jak kruk żywiłem się padliną
Noc w noc uczestnicząc w odrażających ucztach
Niejeden poranek bez olśnienia przeminął
Szukały mnie w ciemności Twoje usta
Jak drzewo Krzyża czyste i niewinne

1998

Wiara w Boga jest ciemnością,
W której chcę i muszę wytrwać do końca
Choć posługuję się tylko analogiami i wyobrażeniem
Ale nie jest ciemnością
Lilia w ogrodzie
Chociaż jest ciemnością
Kóło młyńskie zamienione w kamień i bezwładne
Ale nie jest ciemnością
Córka młynarza stojąca na brzegu
Chociaż ja jestem ciemnością
Gdy czekam na błogosławioną godzinę
W której śmierć pokocham bardziej niż dziewczynę

1998

Nagle usłyszysz lomotanie
Do drzwi, to nienarodzone pokolenia
Zniecierpliwione krzyczą: dosyć, szybciej, koniec zabawy,
Nienawidzimy twojej urody, twojej biografii,
Dopij kawę do dna grobu,
Szybciej, czekamy na twoją śmierć,
Na twoje puste krzesło,
Umrzyj jak najszybciej, chcemy się zabawić!

1998

Chwila przydrożna

Abym nigdy nie był jak owi
Poeci-ateiści którzy dzieciom
Odbierają nadzieję
Pozostawiając je osamotnione
Na desce śmierci – dusze dzieci czują
Ich jadowite słowa krążące w powietrzu
Które się kiedyś rozpadną rozproszą

Bo od diabła możesz otrzymać tylko to co się rozpada
Nie da ci jednak przydrożnej jagody
Tej słodczy chwili kiedy się zbłąkałeś
W jasności w szmaragdach południa
Tej chwili która także się rozpadnie

1998

Józef Kurylak

Ks. Jan Sochoń

Dopóki

Nic nie jest niby, nic na pokaz,
choćbyś chciał niekiedy zwolnić kroku,
ukryć się w tłumie spacerowiczów, nic
z tego. Dopóki przeglądasz się w lustrze
pamięci, dopóki krople potu drżą na wardze
i czujesz słoność powietrza, dopóki chroni
cię światło modlitwy, dopóki prosisz
o przebaczenie, godzien jesteś sądu miłości,
miary sprawiedliwej.

Nic nie jest na niby, nic na pokaz.
Ani życie, ani śmierć.



Fot. Andrzej Bernat

Nadzieja

Boję się, ale potajemnie.
Niczym liść polny i kamień przy drodze,
bo wiatr zbyt silny, zbyt ostre cierpienie
i nóż przecina mą miłość na dwoje.

Boję się, ale potajemnie.
Żeby nikogo nie skrzywdzić, nie ranić,
zbyt podniesioną ku niebu nadzieją.

Jan Sochoń, ur. 1953 r. w Wasilkowie. Historyk filozofii, poeta, krytyk literacki, publicysta i wydawca. Wykłada w Akademii Teologii Katolickiej, w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym i na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. Współpracuje m.in. z „Naszą Rodziną” (Paryż), „Powściągliwością i Pracą”, „Nowymi Książkami”, a także z Polskim Radiem. Ważniejsze publikacje książkowe: *Spalony raj. Antologia młodej poezji religijnej* (1986); *Merton, Lubochmia i literatura* (1990); *Szaropolskie srebro. Wiersze księży* (1992); *Ateizm. Wizja Étienna Gilsona* (1993); *U drzwi Godot. Szkice o poezji, filozofii i teologii* (1995); *Słownik pojęć zmistyfikowanych* (1996); *Spór o rozumienie świata* (1998); *Zdania, przecinki, kropki* (1998) oraz 10 tomików wierszy.

Nie, tak

Nie muszę być silny
ani piękny, choć piękno
zwraca uwagę, jednocy

Nie muszę wpatrywać się
w niebo, ani słuchać morza,
choć morze przydaje powagi.

Nie muszę obejmować,
ani drżeć z bliskości,
choć jej potrzebuję.

Nie muszę czekać,
skoro droga już wyznaczona,
skoro życie mówi nie, a miłość tak.

Usta

Pamiętam pierwszy gest odtrącenia,
kiedy twarze nieruchomiały od nadmiaru
światła, a samotność wydawała się ratunkiem.

Pamiętam lipcowy wyraz lata: dojrzały
owoce, a pomiędzy nimi, na zgrubieniach
łodyg, czerniało jesienne oczekiwanie.

Pamiętam drżącą chwilę południa,
kiedy nie potrzebowaliśmy nawet samych siebie,
tylko Twoich, Boże, Twoich ust.

Ks. Jan Sochoń

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2/10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakoniczkiego (nr 3/11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół (nr 4/12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiałę, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieji, Macieja Niemca (nr 4/16/1997), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg (nr 1/17/98), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi (nr 2/18/98), Ludmiły Marjańskiej, Janusza Szubera, Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury (nr 3/19/98), Adriany Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki (nr 4/20/1998) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

Józef Kurylak

Dlaczego piszę? Kiedyś to się samo zaczęło, w jakiejś ciemności, może pod wpływem nieosiągalnej dziewczyny, którą we wczesnej młodości ścigałem w Przemysłu, jak motyla-ideal (i do dzisiaj ścigam)? Znaczny wpływ na moje pisanie miały z pewnością lektury o dużym temperamencie uczuciowym, później przemyski komentarz główny, który wywiera na mnie wciąż ogromne wrażenie. Jest dla mnie wielką księgą. Nie osiągnąłem żadnej iluminacji (iluminacja to stan trwały, a ja często popadam w rozpacz), nie jestem zatem nawiedzony, myślę o życiu, jak rozsądny mieszczuch lub wieśniak. Cenię ocalający przyziemny racjonalizm. Wierzę w Boga osobowego, chodzę do kościoła, znam granice poezji, nie znam granic muzyki. Wydaje mi się, że z biegiem lat dotarłem do fundamentalnego motywu mojej poezji (i mojego życia), wynalazłem dla niego właściwe formy, udoskonaliłem je. Pociąga mnie wizjonerstwo, metafizyka. Nie należę do żadnej literackiej klikki, a takie w Polsce obecnie istnieją. Nasi współcześni młodzi poeci wydają mi się wrogo ustosunkowani do czytelnika, wywyższają się. Zimni, ironiczni. Czemu to słu-

ży? Gdzie podziła się przyjacielska ręka poety? Dlaczego poeci niczym się nie różnią od upadającej epoki? Złej epoki? Dlaczego nie upowszechniają kultu dobroci, miłości, braterstwa? Jak to czynili Staff, Tuwim, Jastrun? Pojawiła się natomiast ironia. Wiem jednak, że długo ironią żyć nie można. Czemu nie miłość, tylko ironia? Tu pewnie oburzy się Leszek Szaruga, który nie przemyślał pewnych problemów, zachowuje się często jak poeta, tzn. emocjonalnie, lekceważąc logikę, głębszą analizę. Zdaje mi się, że wyraża on pogląd, iż poetom wszystko wolno. T.S. Eliot sądził inaczej: poetom wolno mniej, niż innym. Ponieważ w poezji zawiera się pewna moc sugestii, należy postępować ostrożnie, odpowiedzialnie, zwłaszcza w sprawach moralności, metafizyki, religii. Istnieją w Polsce kliki literackie, to pewne. Wiąże się to z lizusostwem, jest w gruncie rzeczy niemęskie. Owe kliki nazywają siebie tzw. nową generacją. Boją się samotnej walki. Popierają tylko siebie. Taka sytuacja pojawia się co pewien czas w Polsce. W księgarniach widzę wiele wspaniałych książek autorów zachodnich, lecz krytyka informuje mnie tylko o paru nazwiskach polskich. A zatem cała Europa – do kitu! Liczą się tylko nieliczni pisarze Polski. To rodzaj tandetnego nacjonalizmu i ogłupianie czytelnika.

Wydaje mi się, że ze względu na formę, ekspresję i intelekt, nowe pokolenie polskich poetów niczego nowego nie wniosło, choćby w stosunku do Stanisława Grochowiaka.

Czytam u Grochowiaka:

I drżymy. Dygot.
Wiatru łopot.
Łoskot kanonad.
Chlupot łopat.

Lub:

A nie ma gościny, bracia. Chrustu nie ma, jadła,
Ledwie zaczął wieszczyć z mym ptakiem –
Dzwonem pogrzebnym.
Już tu grabieżczy kulig w złocistej zamieci?

Który ze współczesnych polskich poetów tak umiejętnie dokonuje redukcji w sferze języka? Redukcji do słów koniecznych? Który osiągnął taką muzyczność, że stała się wyrazem osobowości poety? A nawet światopoglądu. Nie wiem, czy nasi współcześni twórcy wierszy są poetami. Któż to wie? W poezji rzeczą najważniejszą jest odrębność, a właśnie takim zjawiskiem jest Grochowiak, poeta obdarzony niewątpliwym geniuszem. Natomiast nasi poeci współcześni prawie niczym się od siebie nie różnią, ponieważ naśladują ten sam model (zachodni). Czekam na prawdziwego poetę, któremu mógłbym ufać, który nie będzie ze mnie drwił, lecz poda mi przyjacielską dłoń, gdyż rządzi nami ten sam Bóg, ten sam czas i rozpad.

Józef Kurylak

W moim przypadku, powyższe pytanie jest aż nazbyt dramatyczne. Albowiem, wiele osób zwraca się często do mnie z zauważalnym w kąciku ust ironicznym zapytaniem: czy ksiądz (słowo ksiądz wymawiają wówczas z wyraźnym prozodycznym naciskiem) rzeczywiście musi pisać wiersze, jakieś teksty eseistyczne bądź recenzyjne? Czy nie wystarczą księdzu dary porządku sakramentalnego Kościoła, no i przede wszystkim Msza Święta? Samo kapłaństwo przecież zdaje się być ekspresją najczystszej poezji. Po cóż więc ksiądz, słyszę ponawiane pytanki, narzuca się **literacko** wierszom. Nie wypada, aby duchowny tak znacznie eksponował swe prywatne, bardzo egotycznie budowane wizje życia i świata. A nadto, artystę cechuje totalna wolność. On nie zważa na żadne ograniczenia swej twórczej aktywności. Daje się i musi się dawać ponieść najgłębszym i najszczerzym emocjom. A czy ksiądz może tak czynić? Pisać niejako w absolutnej otwartości etycznej, obyczajowej, politycznej. Czyż nie krępują go więzy kościelnych poetyk, liturgicznej stylistyki i tzw. dobrego kulturowego smaku? Kiedyś ks. Jan Twardowski nachyliwszy się do mojego ucha cicho szepnął: Jasiu! Napisałbym wiersz o kobiecie, ale jakoś nie wypada? Otóż, właśnie! Wypada, czy nie wypada? Szczerłość aż do granic, czy tylko szczerłość, nazwijmy ją, szczerością przybliżoną, nie powodująca nazbyt widocznych rumieńców na twarzy.

Świadomie mnożę trudności-aporie, aby wskazać w jak skomplikowanej (pod różnymi względami) artystycznie i duchowo sytuacji pozostaję, gdy odważam się aktywnie uczestniczyć w kulturalnym życiu własnego kraju. Ale równocześnie powiadam bardzo wyraźnie i stanowczo: **gdy tylko zjawia się życzliwość poetycka, gdy przychodzą chwile poetyckiej siły i powoli, powoli powstają wersy liryczne, wówczas znikają powyższe niepokoje.** Siła emocji twórczych jest tak wielka, że natychmiast oddala pytanie: pisać czy nie pisać. A ponieważ sztuka pisarska jest zawsze i tylko darem, stąd nie wypada rezygnować z darów miłości. Trzeba się nimi dzielić i być tutaj uczciwym, świadomym konsekwencji. Pisarstwo bowiem, zaś pisarstwo poetyckie w szczególności, niesie sobą istotne wymiary etyczne i moralne. Dysponuje ogromną perswazyjną mocą i może przynosić również negatywne skutki. Wprowadzać chaos i – tak nazwę – etyczne niezdecydowanie, nie tylko w sercu samego poety, ale nade wszystko w umysłowości czytelników. Sztuka to fakt antropologiczny – warto o tym pamiętać.

Piszę więc i obym pisał (niebiańskim piórem) zawsze, nawet już po przekroczeniu tajemniczych granic widzialnego życia. Jakże miałyby po stronie Zmartwychwstania zabraknąć poetyckiego ducha, olśnić poznawczych, tworzących się jako wynik jakości poetyckich. Sam Bóg, ośmielam się zauważyć, wybrał poetycki sposób istnienia. Zwierzył się człowiekowi w języku, który najgłębiej rozumie

my, mianowicie, w języku symbolu, metafory, sugestii artystycznej. Zaprosił do współlaktynności językowej. Dlatego poetycki sposób bycia pozostaje naszym obowiązkiem. Pomimo tego, pytanie: po cóż piszę powraca. Muszę zatem odpowiedzieć, bez jakiegokolwiek udawania, kreacji czy przesadnej skromności. Po prostu, zgodnie z najszczerzym stanem rzeczy.

Piszę, bo tak się w moim ludzkim doświadczeniu stało. Nie wiem, kiedy i dlaczego pojawił się w mojej wrażliwości pierwszy, nieporadny jeszcze, wiersz? Wiem tylko, że spostrzegłem w głębi własnego ducha tego rodzaju potrzebę, być może egzystencjalną konieczność. I od razu też zauważyłem, że od samej poezji mogę się wiele nauczyć, gdyż ona (siłą swych poetyckich jakości) prowadzi w rejony niedostępne potocznym oczywistościom. Są takie momenty olśnienia, które tylko, powtarzam, tylko w języku poezji dają się wysławiać. I dzięki niej powstają. Ma ona moc zaskakiwania samego twórcy, który nigdy nie jest w stanie ogarnąć wszystkich jej znaczeniowych i egzystencjalnych gestów. Dlatego zawsze czekam, przyznając, z niecierpliwością, na kolejne słowo wiersza – odsłonięcie tajemnic życia. A ponieważ pragnę zrozumienia „tego oto świata”, zwracam się również w stronę języka sztuki, który, wzmocniony precyzją realistycznej filozofii, przynosi niespodziewane owoce. Naprawdę!

Piszę, ponieważ to, co istotowo najmocniejsze w mojej codzienności, co łączy z innymi ludźmi, co wreszcie jest znakiem miłości, nie daje się wyrazić w zwyczajnej mowie. Dlaczego? A no dlatego, że miłosne przeżycie (podobnie jak przeżycie religijne) domaga się odświętności. Może być jedynie zasugerowane, nigdy zaś bezpośrednio opisane. Miłości nie widać, choć bywa najbardziej obecna. Niemniej, poezja potrafi powoli, delikatnie, czule doprowadzić pod jej gorące istnienie. Odważam się na twórczość artystyczną z powodu miłości właśnie, bez której życie nie ma najmniejszego znaczenia. A to, że zostałem obdarowany życzliwością kapłańskiego daru wzmacnia we mnie powyższe pragnienie. Sakramentalne wędrowanie szlakiem Ewangelii, pozbawione darów poetyckiej wrażliwości, byłoby – jakże ukryć – jeszcze bardziej trudne i duchowo niebezpieczne. Poezja wspomaga w procesie ciągłego nawracania się, przypomina o konieczności budowania siebie z decyzji pochodzących od Jezusa. I przede wszystkim przynosi szansę autentycznej rozmowy, pozbawionej sztuczności i zakłamania. Chyba najgłębszym pragnieniem wszystkich jest zdobyć się na pełną szlachetności rozmowę. Każdy z nas był obajmowany chwilami, kiedy odczuwał, że zostaje wypełniony aż do granic człowieczeństwa bliskością z kimś drugim, bliskością wynikającą z autentyzmu języka, słowa. Bez takich chwil ludzka kultura nie byłaby ostatecznie kulturą, godną tego miana, czyli uprawianiem i pomnażaniem dobra. Ważne pozostaje, że poezja uczy pokory wobec rzeczywistości. Niczego przecież nie można przyozdobić za pomocą cudzej ozdoby. Poeta, co prawda, daje się unosić perswazjom mowy literackiej, niemniej wciąż uczy się od realnego świata i konkretnego człowieka, niczego zasadniczo nie wymyśla, tylko kontemplacyjnie odczytuje. Gdyby zabrakło w nim owego nastawienia na tajemniejsze piękno rzeczy, zostałby, co najwyżej, pięknoduchem, parnasistą świata, nie zaś jego piewca i pasterzem. Nic zatem dziwnego, że wystrzegam się wszelkiego rodzaju nieautentyczności i staram się tworzyć jedynie z materiału uchwytnego w spon-

tanicznym spotkaniu z realnością, oczywiście, także realnością kultury. Często powodem moich wierszy stają się propozycje innych poetów. Gdyby nie Sęp-Szarzyński, Karpiński, Mickiewicz, Leśmian, Miłosz, Zagajewski, nie odważyłbym się zaprosić Czytelników do kupowania pisanych przeze mnie książek. Chciałbym nadto, aby inni twórcy zechcieli przyjąć mnie do swego grona, abyśmy mogli obdarowywać się darem poetyckich doświadczeń. Wspominam o tym dlatego, że na ogół pisarze raczej nie przepadają za sobą i rzadko cieszą się z sukcesów (także komercyjnych) swych współpracowników – literatów. Rozumiem potrzebę artystycznej odmienności i niepodzielności, ale nie powinna ona tworzyć murów obcości i wyraźnych zazdrości.

Piszę, bo świat wciąż pozostaje i pozostawać musi światem objętym skandalem cierpienia. Tak, skandalem! Nikt i nic przecież poza Chrystusowym krzyżem przeboleciem, nie zdoła cokolwiek w tym względzie wyjaśnić. Tam gdzie kończy się historia biblijnego Hioba, rozpoczynają się opowieści ewangeliczne mówiące (wcale nie dyskretnie, lecz stanowczo): cierpienie może być drogą oczyszczenia i nawrócenia, drogą świętości. A ostateczny cios śmierci zadaje Chrystus cudem Zmartwychwstania. Piszę, aby tej najważniejszej sprawy nigdy, przenigdy nie zapomnieć i nie łagodzić radykalizmu Ewangelii. Poezja daje siłę i – paradoksalnie – łagodność w kontaktach z innymi ludźmi. Podpowiada, że najmniejsza cząstka zła, będąca wynikiem zaniedbania czy świadomego działania, skazuje na ciemność.

Piszę, gdyż nie jestem najlepszym księdzem. Ufam, że słowo poezji wzmacnia potrzebę dobra i umniejsza słabości, których trudno się pozbyć. Przynosi poczucie, że nie marnuję specjalnie Bożych darów. Uczy duszpasterskiej powściągliwości i skromności. Jesteś tylko głosem, niczym więcej. Nie stawaj na podwyższeniu, nie domagaj się pierwszych miejsc. Musisz być przezroczystym znakiem zapraszającym do miłości. Wtedy, być może, doznasz odrobinę satysfakcji i radości.

Piszę, albowiem przyjmuję za Pawłem VI, papieżem, że istnieje pokrewieństwo między kapłanem a artystą, jakaś cudowna zdolność wzajemnego zrozumienia. Pragnę udostępnić niewidzialną rzeczywistość ducha, świat Boga. Sprawiać, żeby ten świat stawał się zrozumiałym, a nawet pociągającym, w taki jednakże sposób, aby nie zatracił on blasku Tajemnicy. Do tego trzeba mocy i wysiłku. Niekiedy niespodziewanie nawiedza mnie ów „stan umysłu” i wówczas mogę rozpocząć mozolną pracę w słowie, mocować się z oporem języka, wsłuchując się w poetyckie podszepty. Gdyby zabrakło Kościołowi (chyba: całemu światu) pomocy artystów, posługiwanie kapłańskie odczułoby jakiś bark.

Potrzebny byłby wtedy dodatkowy wysiłek estetyczny, a nawet profetyczny, aby stało się ono tym, czym powinno być. Żeby można było odpowiednio wyrazić tajemnicę istniejącego piękna, trzeba zespolić kapłaństwo ze sztuką.

Piszę, ponieważ jestem księdzem, ponieważ próbuję ukochać tych, których ukochałem, ponieważ przyjaźnię się z wieloma poetami i wreszcie dlatego, że potrzebuję nawrócenia i wsparcia duchowego, widzialnych znaków, aby nie dać się porwać złu, rozrywce i zmysłowemu pięknu. Wiem, ile może poezja, dlatego poddaję się jej uwodzicielskim rytmom, ostrożnie jednak dobierając dźwięki. Będę księdzem-poetą dopóty, dopóki nie wygaśnie we mnie miłość.

Ks. Jan Sochoń

Jacek Napiórkowski



Fot. Anabela Samurcziak-Napiórkowska

Kroki nierównomiernie śmieszne,
ściera podszwę lewego buta.

Wewnątrz kobiety rozpoznaje prawdę,
może Boga. Próbuje.

Hołubi leptosomatyków, ryby,
wódę i jazz.

Nigdy nie będzie miał następnej szansy.

Oddycha szybkim, krótkim, rwanym
oddechem.

Ciepło jego dłoni znika z balustrad mostów
szybko jak nadzieja.

Słyszałem, że nadużywa
lekkich narkotycznych chmur

Jacek Napiórkowski, ur. 1966 w Rzeszowie; autor tomików wierszy: *Lodowice* (Nowy Jork 1990), *Wiersze nowojorskie* (Lublin 1992) i *Bezdomny kolorem* (Rzeszów 1998). Mieszka w Rzeszowie.

Fetysz

Lampka w oknie mojego snu paliła się jeszcze.
Kruki wahały się czy rozbić jego cienką szybę.
List, który nosiłem w wewnętrznej kieszeni marynarki
nasiąkł krwią deszczu. Liście spadające z drzewa
to twarze rodziców. Szpilka wbita w lustro
jak w galaretę tak naprawdę przesywa oko.
Znoszę do domu jakieś przedmioty:
dziurawy parasol, żelazko, kijki do nart, szelki,
kanister, zgrane, błyszczące sztole, bidon.
Trwa to długie lata. Dom jest jeszcze chwilę,
potem zamienia się w klatkę. Ściany stalowych prętów,
zza których wstaje wiatr i świadomość.

Dopuściłaś mnie do swojej purpury.
Jedna warga – lato, druga warga – jesień.
Powybijane okna w katedrze nocy –
twoje i moje bluźnierstwa.
Ssaliśmy morze.
Kiedy zaczął deszcz, kiedy paliła mgła,
a dachy czekały na koniec świata.
Naznaczyłaś mnie słowem miłości,
mam je wciąż na plecach, ślady
twoich skrzydeł i zębów.

Milcząca ryba

Utop się w niej,
w tej kobiecie.
W jej czerwonej prędkości,
wodospadzie między nogami,
gdzie życie toczy
milcząca ryba.

(Szminka rozmazana tak pięknie na świecy skradzionej z ołtarza.)

Utop się w tej nieskończoności,
pomiędzy godziną przyływu
i odpływu.

Utop się w niej, wtedy będziesz bezpieczny.

Jacek Napiórkowski

Janusz Kotański

nieistotne przeloty
barokowych putt
w obliczu
łagodnej pustki
najłżejszego oddechu
wśród chmur
cisza sprzed narodzin
nie istniejąca
zabawa w nic



tylko
przez chwilę
ale już
ci się znudziło
i wracasz
do właściwej
pozycji
horyzontalnej
jak gdyby
nigdy nic

Janusz Kotański, ur. 1957 w Warszawie. Opublikował dwa zbiory wierszy. Mieszka w Warszawie.

zasypiając
śniąc
budząc się
w ciemnościach
bez tchu
w białym błocie
lęku
nie mając
przed oczyma nic
prócz mroku
w nieustającym
wyciu
w wiecznym potępieniu
czekając
na płomień
ciała
spopielenie

Janusz Kottański



EWA BATHELIER
m a l a r s t w o



Kobieta. Jakby za mgłą,
anonimowa; słaba
i totemiczna
jednocześnie;
wprostowana albo
pochylona, często bez
żadnego oparcia;
wielokrotna albo
w otoczeniu cieni;
zaopatrzona
w tajemnicze atrybuty;
rzucona
w nieokreśloną
przestrzeń tła; zastygła w
pozie oczekiwania,
przywołuje symbole
najbardziej uniwersalne.

EWA BATHELIER



Technika mieszana na drewnie, fragment dyptyku 2 x 120x60 cm



technika mieszana na płótnie, fragmenty –

Oto moje refleksje na temat obrazów, których wspólnym tematem jest szara sylwetka zmęczonej kobiety, o królewskiej jednak elegancji, niosącej w sobie symbol ludzkiego przetrwania.

Pierwszy obraz: u jego podstawy jasna, kręta smuga wytyczająca cykl księżyca i jego cztery fazy. Obraz jest otoczony i zwieńczony długim, przezrystym szlakiem rozjaśniającym się w aureoli dokoła ciemnej sylwetki ciężarnej kobiety wspomnianej już nosicielki przyszłości.

Oto pelen obraz i jego symbolika wpływu księżyca na cykl i płodność kobiety i na poczęcie nowego życia. Czyż nie mówimy: „Narodzi się po dziewięciu miesiącach?”

Drugi obraz: Jedna postać spowita jasnym pasem w okolicy podbrzusza wskazując tym samym na szczególną wagę tej partii ciała. Trzyma ona wąskie krzesło o długich nogach i z wysokim oparciem. Przywodzi to na myśl jedną z definicji panieństwa jako stanu między przeszłością a przyszłością, gdzie terażniejszość jest nadzieją. Druga postać, świetlista od pasa w dół, promieniuje dojrzałością wynikającą z jej stanu zaawansowanej ciąży. Krzesło, które jest obok, z wysokim oparciem, szerokim siedzeniem i na krótkich nogach, symbolizuje wygodne łono matki. Także jasne przedramiona tej postaci sugerują kolisty ruch otaczający oczekiwane dziecko.

Emilie Du Bois

Twórczość Ewy Bathelier to poszukiwanie tak estetyczne jak psychoanalityczne.

Malarka porusza się po labiryncie nieświadomości podając rozwiązania zagubionym zmysłom.

Postaci rzeźbione na płótnie przychodzą z daleka, przechadzają się między Rzeczywistym a Wyobrażonym, po to, by w końcu zniknąć na horyzoncie światła. Mężczyźni i kobiety wylaniają się z Niewidocznego, idąc na spotkanie z przeciwnym – białym i czarnym. To szukające równowagi na płótnie wizje architektoniczne. Dla Ewy Bathelier malowanie jest syntezą.

Urodzona w Warszawie, mieszka i pracuje we Francji od 1983 roku. „Maluję, bowiem myślę obrazami”, mówi o sobie. W ten sposób obraca swe myśli w rzeczywistość.

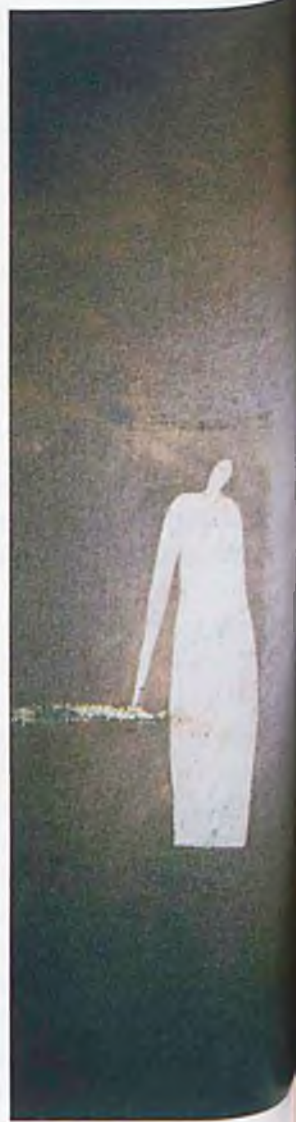
Materiały, których używa, to pigmenty, pokruszone pastele, złoto i srebro, farby wodne i olejne. Obmycie płótna, często zanurzenie go w wodzie, to święta chwila w akcie malowania – katharsis.

Z tak uzyskanych przejrzystości i lekkości powstaje atmosfera wizji z innego świata.

Użycie piasku odsyła do pojęcia czasu. „To jak pamięć, która słabnie”, mówi Ewa Bathelier. Ale pamięć jest ukształtowana i wzbogacana przez nieświadomość.

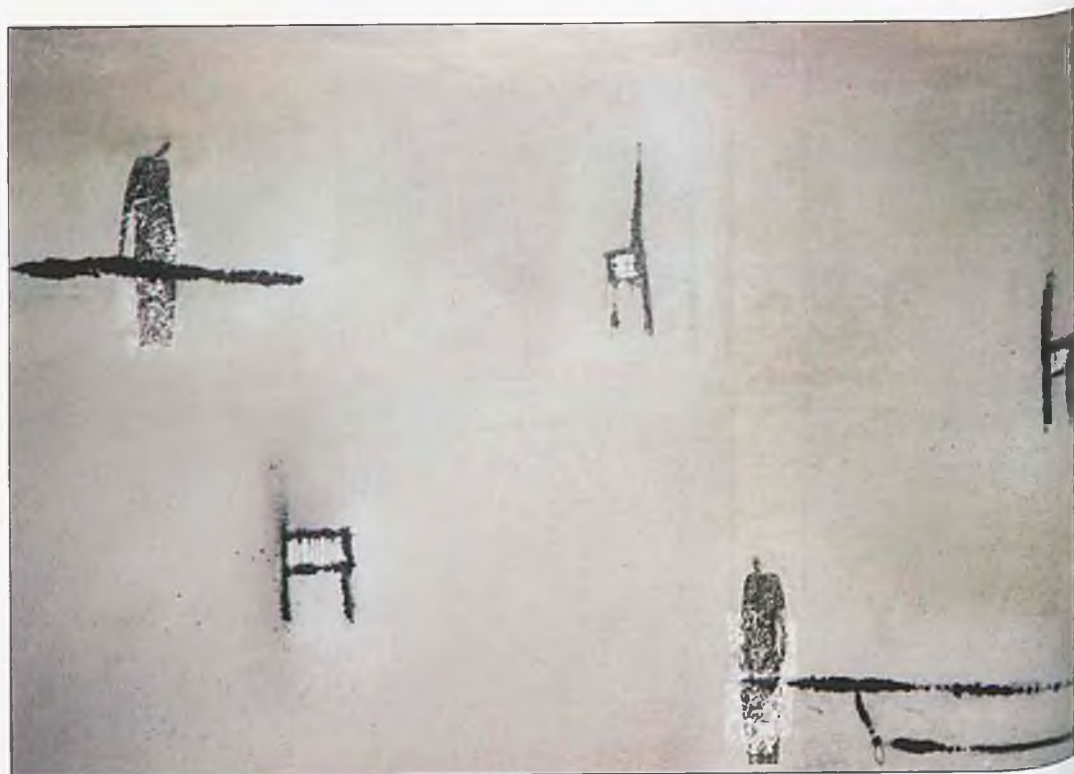
To z tego nieosiągalnego innego świata czerpie artystka światło, które uwiecznia na swoich obrazach. Stwarza harmonię i upragnioną równowagę, która mimo to przeraża. Malarskość i plastyczność w całym swym bogactwie objawia się w grze światła i cieni, równowagi i kontrastów, a wreszcie w zestawieniu przeciwieństw. Płyty stalowe skonstruowane dużymi jasnymi powierzchniami sprawiają, że widz, owładnięty światłem, zmierza ku niemu i wkracza w ów świat. W labiryncie ogrodów, przechadzającemu się widzowi grozi wchłonięcie przez to promieniowanie. Nierzeczywiste staje się rzeczywistym, granice się zacierają, znika by się pojawić, oddala by się zbliżyć, odejście i powrót stają się jednym. Do oczyszczonego, wszystkiego tego, co jest statyczne i emblematyczne, do tego co jest białe, szare i wodne, do wszystkiego co jest snem, lotem i płynięciem, dołącza się coś z weneckiego baroku – czerwień krwi i głęboka czerń.

Petra Raguz





technika
mieszana na
plótnie
fragment 163 x 130 cm



technika mieszana na płótnie, 146 x 97 cm

Już drugi raz Ewa Bathelier przedstawia swoje obrazy w paryskiej galerii Claudine Legrand – na przemian duże i małe formaty połączone w dyptyki i tryptyki. Na tle czerni, bieli, turkus, błękitu oraz tonów rozsmazanych czy zlewających się z sobą, odnajdujemy tu znajome ciała bez rąk, sylwetki zwiewne, eteryczne, lekkie, jak zabalsamowane, odcinające się od tła lub jako aplikacje, przyklejone i pokryte farbą, niekiedy z dodatkiem złota lub oprószone pigmentem, ziarnami piasku czy okruchami innych materiałów – na wysokości brzucha, okolicy związanej z prokreacją. Jakby wnętrza tych ciał pulsowały najintensywniej nie w okolicy serca, lecz w tej właśnie. Jakby kryły w sobie tajemnice narodzin. Owe ludzkie postacie, relikty z tej zamierzchłej epoki, w której kształtowała się tożsamość indywidualna, w kontakcie z płótnem pozostawiają bruzdy przypominające o świadomości samego siebie potajemnej, głębokiej, niezgłębionej, milczącej i gęstej. Przemierzają płótna często parami, czasem całą kolumną przywodzącą na myśl zapis genetyczny tworząc nietrwale układy baletowe, w pionie, poziomie i po przekątnej. Tańczą w myśl zasad jakiejś oczyszczonej choreografii, ograniczonej wyłącznie do podstawowych ruchów na podobieństwo przemieszczania się ciał w środowisku płynnym czy w przestrzeni kosmicznej, bez poczucia własnego ciężaru, bez związku ze światem mineralnym czy roślinnym. Pojedyncze litery pojawiają się z rzadka, tak rozrzucone na płótnie, że stają się znakami jakiejś kaligrafii dodatkowego wymiaru, układając się w błękit jak w naiwnym zachwycie wskrzeszonego dzieciństwa. Kształty ludzkie, liście, litery rozpoczynają między sobą delikatny dialog skoncentrowany na jednym pytaniu, a może raczej podskórnej wibracji, pytaniu o kobiecą naturę, o tożsamość męską i kobiecą, i drążącą w głąb, wnioskującą w strefy najbardziej osobiste, do tego stopnia, że zdają się unosić czy płynąć prosto w objęcia Lete, gdzie żadne pytanie nie będzie już istotne.

Wydaje się, że twórczość Ewy Bathelier skupiona dotąd na kobiecie otwiera się na pytania o mężczyznę, na wzajemny stosunek kobiety i mężczyzny i nie stanowi już tylko refleksji nad sobą jako kobietą. Wydaje się, że niekiedy ów muzyczny balet pogodnych sfer działa na zasadzie prostego, nawet mechanicznego powtórzenia. Mimo tego na wystawie zaprezentowane zostały dzieła dużego formatu.

Matthias Blumenwald



*technika
mieszana
na płótnie
4 x 30x30 cm*



*technika mieszana na płótnie i płytach stalowych
9 x 30x30 cm*

Akt twórczy jest dla niej równoznaczny i jednoczesny z czynnością malowania. Ewa Bathelier maluje szybko, na ogół bez studiów czy szkiców przygotowawczych, bezpośrednio na podłożu, swobodnie manipulując pigmentem. Po wejściu do atelier – natychmiast wyzwolona od ograniczeń narzuconych przez *qui pro quo* świata poza ścianami pracowni.

Pierwszy krok to droga przez negację. Wyciszenie owego *qui pro quo*. Rzeczywistość płótna to płótno, nie to, co ma ono przedstawiać. A ściślej mówiąc – to, co ma ono przedstawiać, nie jest ilustracją świata poza pracownią. Trzeba zatem odrzeć to, co przedstawione, z ilustracyjności, zdeorientować szukającego jej widza, rozchwiać reprezentacjonizm (tak nazwijmy odwieczną chęć – realistycznego czy nie – oddania czegoś z zewnątrz na płótnie). Na przykład umieszczając przedmiot, żeby oglądający nie znalazł ani pozycji, ani rozmiarów figury (lub figur) w stosunku do horyzontu. Wyznaczając mu własny układ współrzędnych.

Kiedy reprezentacja nie jest już celem, zamiast na przedstawianym można skoncentrować się na spójności – kto wie, może harmonii, bo te obrazy ocierają się o nią na każdym kroku – przedstawienia. Wraz ze swoistymi jej kategoriami. Ciała, architektury tła, światła.

To portrety ciała, ale na próżno szukalibyśmy na nich twarzy – najwyżej głowa, schylona lub – to częściej – odchylona na bok. Kształty zamiast ciała, figury bez postaci, postacie bez ciężaru, sylwetki w statycznym poruszeniu. Może chwilę przed, lub moment po ruchu, którego widzimy za ledwie następstwa bądź za powieści. Za ledwie, a może raczej aż. Przestrzeń czasu. Ruch zamrożony w momentalny – i nieco monumentalny – stan jakiegoś kosmicznego stasis. Materialny dowód, przedstawiony w materii oleju, łagodnego sprzeciwu wobec przejścia do porządku dziennego nad porządkiem codziennego świata.

Zamiast tego mamy często nawiązania – mnie przynajmniej tak się to kojarzy – do prawzorów z historii sztuki – czy są to Mykeny, Egipt czy Afryka. Tam znajduje się element rozpoczynający serię rzeczy. Arché wyraża się tu w proporcji tych części ciała, które zostały zachowane w przedstawieniu, zwłaszcza utrwalona w całych seriach obrazów charakterystyczna proporcja wielkości ramion i głowy, napięcie między linią pasa barkowego a ułożeniem głowy. Postaci zwiewne, ale trudno by powiedzieć, że wdzięczne, niematerialne, a przecież masywne. Wyróżniające się jeśli nie schematycznością, to niekompletnością przedstawionego wizerunku. I faktura podłoża, jakby należąca do archaicznego fresku, może odkrytego pod czymś namalowanym później. Może trzeba to czytać jak palimpsest? Albo widzieć jak ekran, na który zostały rzucone projekcje pamięci i wyobraźni.

To następny krok. Od spójności przedstawienia dojść do przedstawianego – dojść, nie wrócić, już raczej wskrzesić je w sobie, przywołać z doświadczeń dzieciństwa,

z pamięci indywidualum i zbiorowości. Ufne, w miarę ufne, zwrócenie się ku impulsom wewnętrznym i eksploatacja przekazywanych przez nie wizji. Niekiedy bezlitosna. Wtedy można skupić się na technice (oprócz farby na płótnie Bathelier stosuje naklejony papier, kamień, metal, piasek, który może być pokryty farbą), formie na pierwszym planie (obiekty wizji, postaci ludzkie), fakturze tła, płaszczyźnie oraz świetle.

Praobraz z pierwszego planu, tak jak ja go odczytuję, to spowita szatą w kształcie urny smukła kobieta z lekko odchyloną na bok głową. Jej linia ręki przedłużona jest pionem krzesła, o które się opiera, nakreślonego w najprostszym z możliwych schematów. Kobięcą sylwetkę osadza autorka na wieczność w bezmiarze tła, w środowisku o różnych stanach (świetlnego) skupienia, o starannie wypracowanej architekturze. Tak, aby pomieścić jeszcze inne sylwetki, krzesła, poręcze, fragmenty schodów lub drabiny, przedmioty do siedzenia, opierania się, leżenia, ostatnio też liście. Na horyzoncie zaś inne sylwetki kobiece, w pionie lub poziomie, kształty najczęściej wydłużone, pokazane w całości lub w fragmencie, i niekiedy jeszcze postaci przypominające mężczyzn, anatomicznie bardziej kompletne, lecz chyba bardziej schematyczne. Sylwetki ludzkie, osoby jakiegoś odwiecznego dramatu, zamierzłego, amorficzne, ale o konturach tak wyraźnych i konkretnych jak zamazana i mglista wydaje się ich powierzchnia, obdarzone minimum szczegółów. Jak postaci kobiet malowanych przez Ewę Bathelier w połowie lat dziewięćdziesiątych, o konturach i powierzchni, które zamazują, przewyciężają szczegóły (las bez drzew), wysublimowane w niemal dotykana abstrakcję.

Między pierwszym a dalszym planem, figurą a tłem, z zetknięcia, może więcej, bezgłośniego starcia (się) ich obu, wyłania się quasi-portret i pseudo-pejzaż obrazu. Stosunek między postacią a tłem dociera do nas jako coś dynamicznego – to wewnętrzna oscylacja między dostrzegalnym a niedostrzegalnym, bliskością a oddaleniem, pojawieniem się a ucieczką, obecnością a nieobecnością. Świetlista mgławicowość planu tła, opalizująca złotem, srebrem albo ołowiem, pojawia się na dziewiczym planie płótna, na niej dopiero ukazują się, z niej dopiero wyłaniają się postaci.

Czy może raczej jedna postać? Zapewne, choć w dwóch zasadniczych wiele niach. Kobiety i mężczyźni. Kobiety są wolniejsze i lżejsze, mężczyźni – mam na myśli figury, które kojarzę z mężczyznami – zamknięci często w jaśniejsze od ogólnego tonu płótna prostokąty, są bardziej toporni, grubo ciosani, anonimowi, przedstawieni na ogół z pełnym zarysem nóg i rąk – więźniowie świetlistych pokojów – cel bez krat i bez ścian. Kobiety – te figury, które biorę za kobiece – faktycznie są inne. Zgadzam się z krytykami, którzy za ich centrum grawitacyjne uznają strefę podbrzusza, częściej eksponowanego niż ręce czy stopy. Kobiety częściej niż mężczyźni mają w tej sztuce do czynienia z rzeczami, często mają z nimi kontakt przez dotyk. Tych kilka prostych rekwizytów, krzesło, skraj łóżka, stół, to jakby rekwizyty istnienia w odrębności, izolacji. To z nimi tylko kobieca postać wchodzi w relację – bo wykluczone, by mogła mieć kontakt z innymi jak ona.

Kto wie, może to obraz wciąż jednej osoby, której samotność potwierdzona

jest zwielokrotnieniem. Może ten swoisty rytm zawiązujący się pomiędzy figurami ciał to jakby sukcesywne projekcje tej samej kobiety – heroicznie samej. Wyglądającej jakiejś innej bratniej lub siostrzanej duszy. Owo *va-et-vient*, ten rytm jest projekcją czasowych nawarstwień, emanacji kolejnych podmiotów osoby portretowanej w odstępach czasu, nieodmiennie samotnej, równie nieodgadnionej.

To, co zawarte jest na wielu pojedynczych płótnach, ów rytm przestrzennego podwojenia i zwielokrotnienia postaci, rozszerza się na inne obrazy. Każda wystawa prac Ewy Bathelier jest dowodem na to, że niemal każdy obraz ma swego sobowtóra. Przy czym nieistotne jest, czy w wypadku tych samotnych bytów, ujętych w zagadkowe, masywne ciała bez ciężaru, mamy do czynienia z obrazem wielokrotnie pomnożonym, czy odwrotnie – rozczepionym na wiele. Ta postać przychodzi na świat wielokrotnie, rodzi się zawsze taka sama, sama.

Patrząc na zagadkowe cyfry i litery sporadycznie pojawiające się obok ciał i rekwizytów, można się zastanawiać, czy to nie tajemne kombinacje bytów w świecie poza murami pracowni, przeistoczone w jakiś fantastyczny ekwiwalent w obrazach. Albo w strefach obrazu.

Może to wyobrażenia przemijalności czasu. Nie mogę się temu oprzeć, patrząc na ostatnie prace Bathelier, wrzcionowatą sylwetkę teraz obnażonego ciała, bez ramion, z widocznymi niekiedy fragmentami anatomicznymi, ale w kształcie wieszczącym już całun. W ten sposób ta figura o rozpoznawalnej płci zawarła w sobie bieguny i zasadnicze stany istnienia: narodziny, rodzenie i śmierć. Może dlatego wyczuwam w tych obrazach niemal instynktowną kompensację wyrafinowaniem stylu – niemal ocierają się o preciosité – co zresztą ujmuje im jakże ekspresyjnej surowości prac poprzednich.

Rytm czasowy i rytm przestrzenny uzupełniają się na płótnie. Archeologia nadaje treść architekturze. Z drugiej strony przejrzystość, powietrze, światło, horyzont – są jak w obrazie na scenie. Od paru lat Ewa Bathelier związana jest też z teatrem. Punktem centralnym jej scenografii jest to, co znajduje się w centralnym punkcie przedstawienia, postać na scenie, ubrana w kostium. Pojawia się i znika – tak jak w kilkuminutowej sztuce Becketta „Tu i tam”, w reżyserii Waltera D. Asmusa w Krakowie (Teatr Atelier, 1998). Trzy kobiety wymieniają zdawkowe uwagi. Ubrane są w zwiewne suknie ze zgrzebnego, przyprószonego złotem płótna oraz w ażurowe płaskie kapelusze, które, dzięki sączącemu się przez nie z góry światłu reflektora, pozwalają ujrzeć na twarzy nieistniejącą woalkę. Trzy razy, każda po kolei, odprawia ten sam rytuał zejścia w cień. Następnie, trzymając się za ręce, by wyczuć nieistniejące obrączki, w nieruchomej pozie, odchodzą razem w cień wraz z końcem spektaklu. Bardzo powoli gaśnie reflektor skierowany na postaci w nieruchomym centrum sceny. Gdy przekracza granicę dostrzegalnego ludzkim okiem minimum, wciąż mamy ten obraz w głowie. Trwa jeszcze, choć światło już może wygasło.

Marek Kędzierski

Zaskoczona, mówię
sobie, że to
przypadek, ale
przypadek nie istnieje.
Estetyka i analiza
splatają się. Lektura
staje się intymna –
patrzenie na obraz to
patrzenie w swoje
wnętrze.

EWA BATHELIER

Ewa Bathelier

najważniejsze wystawy

- 1989 Galerie Katia Granoff, Paris, F
Galerie Heden, Goeteborg, S
- 1990 Hôtel de Ville de Châlons-sur-Marne, F
Galerie Bultel, Strasbourg, F
- 1991 Galerie Walinska, Arnhem, NL
Salon de Mai, Grand Palais, Paris, F
- 1992 Hôtel du Département, Strasbourg, F
- 1993 Salon de Mai, Grand Palais, Paris, F
Galerie Alternance, Strasbourg, F
Galerie Espace Suisse, Strasbourg, F
Galerie Euros, Mulhouse, F
- 1994 Galerie du Petit Pont, Strasbourg, F
Marrion Merrel Dow, Strasbourg, F
- 1995 Théâtre le Maillon, Strasbourg, F
Salon International d'Art Contemporain,
Strasbourg, F
(Galerie Euros, Mulhouse)
Pyramide, Strasbourg,
- 1996 Salon International d'Art
Contemporain, Strasbourg,
(Galerie Euros, Mulhouse) F
- 1997 Galerie Claudine Legrand, Paris, F
Espace G.S.A., Strasbourg, F
Pyramide, Strasbourg, F
Galerie Walinska, Arnhem, NL
- 1998 Pyramide, Strasbourg, F
Galerie Walinska, Arnhem, NL
- 1999 Galerie Claudine Legrand, Paris, F
Pyramide, Strasbourg, F
Galerie Walinska, Arnhem, NL

Michał Głowiński

Nocleg w gabinecie osobliwości, albo Signora Baba Jaga

Trudno mi było rozstać się z Barceloną; przebywałem w niej cztery dni zaledwie, krótki ten pobyt wystarczył wszakże, by mnie olśniła i do siebie przywiązała, nie mogłem jednak całej swej hiszpańskiej podróży, wymarzonej od lat i wreszcie dzięki sprzyjającym okolicznościom realizowanej, ograniczyć do jednego miasta, nawet tak wspaniałego i wciągającego; moje plany, dość precyzyjnie ułożone, były bogate i obejmowały miejsca różne, aczkolwiek – świadom, że wielkiego kraju nie przejadę w trzy tygodnie – narzuciłem sobie rygor i nicodzwonne ograniczenia. Chciałem być w Barcelonie jak najdłużej, wydała mi się bowiem miastem – światem, w którym jest wszystko, i morze i góry, i dzielnica średniowieczna, owo *barrio gotico*, które po prostu zachowało smak odległej epoki, i niezwykle parki, i zadziwiające swymi racjonalnymi symetrami nowoczesne śródmieście, a przede wszystkim to, czego nigdzie indziej nie uświadczysz – architektoniczne dziwa Gaudiego, budzące podziw i poczucie niezwykłości, nawet gdy się poprzednio widziało ich zdjęcia w turystycznych folderach i książkach mówiących o sztuce początków XX wieku. Chciałem przedłużyć pobyt w Barcelonie choćby o kilka godzin – i zdecydowałem, że w podróż wyruszę pociągiem nocnym.

Następnym punktem w moim troskliwie opracowanym itinerarium była Saragossa. Barcelona stanowiła dla mnie przede wszystkim miejsce fascynujące i jedyne w swoim rodzaju, zjawisko zachwycające samą swą materialnością, nie łączyły się z nią przeświadczenia i obrazy wyniesione z literatury, mitów, legend. Saragossa już dawno w moich wyobrażeniach o iberyjskiej ziemi stała się czymś całkiem innym, tworzyła miejsce literackie, albo nawet więcej – sama stała się literaturą, owym osobliwym wycinkiem przestrzeni, który istnieje dzięki zdaniom, jakie im poświęcono. Wybierając się w rejon wydzielony przez słowo, czy wręcz za jego sprawą powołany do życia, wchodziłem – tak mi się przynajmniej wydawało – w sam środek opowieści, a więc w pewnym sensie niwelowałem granice między narracją a światem. W młodości czytałem jakieś powieści o czasach napoleońskich, a u polskich autorów Saragossa i jej okolice odgrywały rolę szczególną, pamiętałem *Popioły*. A ponadto znałem *Rękopis...* – i nie mogłem o nim nie myśleć. Gdybym lubił wzniosłopretensjonalne sformułowania, mógłbym powiedzieć, że moja droga do Saragossy była pielgrzymką literacką.

Podróż nic podniosłego w sobie nie miała, marny pociąg włókł się niemiłosiernie. Przyszedłem na dworzec odpowiednio wcześniej, tak że udało mi się w wagonie, który szybko się zaludniał, zdobyć miejsce przy oknie. Było już ciemno, nie liczyłem, że dane mi będzie kontemplowanie hiszpańskich pejzaży, spodziewałem się jednak, że

jadąc w czasie, w którym lipcowy upał traci swą dojmującą i uciążliwą agresywność, uda mi się trochę przydrzemać. Tak się zapewne stało, skoro jazda ta nie pozostawiła żadnych wspomnień.

Na dworcu w Saragossie znalazłem się o trzeciej nad ranem. Sądziłem, że o tej porze nie ujrzę żywej duszy, że będzie on domeną sennego spokoju, jaki w nocy zwykle rozciąga się także w miejscach, w świetle dnia tętniących ruchem, pełnych przelewających się w tę lub w tamtą stronę ludzi, spokoju, zakłócanego jedynie przez bezdomnych i wagańdów, którzy w mroku nocy nie mają własnego miejsca spoczynku. Omyliłem się, nie doceniłem Hiszpanów. Pełno było najróżniejszych postaci, przede wszystkim młodych mężczyzn; niektórzy, z puszkami piwa w rękach, sprawiali wrażenie rozbawionych (był weekend), inni zachowywali się tak, jakby na kogoś lub na coś czekali, albo też chcieli załatwić jakieś swoje interesy. Z mojego pociągu wysiadło niewielu pasażerów, wystarczająco jednak dużo, by ożywić tych, którzy bacznym okiem spoglądali na przyjezdnych, bo pragnęli im zaproponować kwatery w przylegającej do dworca dzielnicy – oczywiście doskonale i niezmiernie tanie.

Najpierw ignorowałem te propozycje nie do odrzucenia, myślałem, że w pobliżu znajdę pokój w jakimś skromnym hoteliku, dostosowanym do moich możliwości. Rozglądałem się po okolicy, nie wiedziałem, w którą udać się stronę; zmęczony i senny, czułem, jak panowanie nade mną zgodnie zdobywają bezradność i zagubienie. Wiedziałem tylko jedno: nie chcę na tym dworcu czekać do niedzielnego ranka, muszę czym prędzej wynajść choćby najskromniejsze locum, by przynajmniej na czas jakiś przyłożyć głowę do poduszki – także dlatego, że muszę być przytomny w czasie zwiedzania, na które od dawna się szykowałem, i obejrzeć to wszystko, co na oglądanie zasługuje. Z początku lokalowe oferty odrzucałem, a podchodzili do mnie różni jegomoście, w końcu pomyślałem: jest noc, nie wiem, gdzie szukać hotelu, muszę się wreszcie na coś zdecydować. Przyjąłem propozycję mężczyzny w średnim wieku, wbrałem jego właśnie może dlatego, że wyglądał solidniej niż młodzieniaszkowie, którzy zaczepiali mnie wcześniej, a może z tej racji, że fizycznie i psychicznie wymęczony podróżą, wręcz nią wytarmoszony, musiałem się wreszcie na coś zdecydować. Z tego, co do mnie mówił, rozumiałem jedną dziesiątą, a niewykluczone, że nawet mniej, pojąłem jednak, iż mnie zapewnia, że znakomity pokój znajduje się nieopodal, w mieszkaniu pewnej znacznej, powszechnie szanowanej signory. I ten mój Pacheco (bo tym imieniem w myślach go nazwałem) rozpoczął bieg, tak że ledwo za nim nadążałem, choć byłem niewątpliwie od niego młodszy. W pewnym momencie odezwało się we mnie przerażenie; jestem głupi i naiwny, nieznajomy mężczyzna nie prowadzi mnie do mieszkania nobliwej signory, ograbi mnie w bocznej ulicy, a na dodatek pobije. Kiedy ogarniały mnie myśli coraz gorsze, stanęliśmy przed domem, który okazał się naszym celem. Zadzwoił, po dłuższym czekaniu z jednego z okien wyjrzała niewiasta, mająca lata młodości już dawno za sobą, zobaczyła, co się dzieje – rzuciła mężczyźnie klucze. Weszliśmy.

Myślałem tylko o jednym: wziąć prysznic i wałnąć się do łóżka. Kobieta, natychmiast się zorientowałem, że wygląda jak Baba Jaga z ilustracji do bajek Grimma, usta miała wykrzywione, a z głowy sterczały włosy w pełnym nieładzie, przypominając strąki fasolki szparagowej, oświadczyła mi, że o tej porze brać prysznic nie wolno, bo pobudzę domowników, ale mogę to zrobić rano za osobną opłatą, a w ogóle należy oszczędzać ciepłą wodę. Zażądała paszportu, oglądała go na wszystkie strony, nie ukrywając zdziwienia, że ktoś, kto osobliwym losu zrządzeniem znalazł się w jej mieszkaniu, w ogóle może pochodzić z tak osobliwego miejsca jak Polska. Sądziłem, że po tej dokładnej perlustracji mi go odda, ale Signora, której tony stawały się coraz

bardziej władcze, nie miała bynajmniej takiego zamiaru, schowała go do kieszeni swego nie pierwszej czystości szlafroka, zrobiła to z taką energią i pewnością siebie, jakby go konfiskowała po wieczne czasy, co oczywiście nie budziło mojego zachwytu, byłem obywatelem Polski Ludowej i wiedziałem, co to znaczy, znaleźć się bez tego podstawowego dokumentu, a ponadto zdawałem sobie sprawę, że przebywam w kraju, którego Caudillo wprawdzie dogorywa, ale wprowadzony przez niego system, choć już złagodzony, wciąż obowiązuje – a w nim cudzoziemiec bez paszportu na nie do brego liczyć nie może.

Wreszcie zaprowadziła mnie do pokoju, w którym miałem się zatrzymać. Od razu zorientowałem się, że nie ma w nim nie tylko luksusu, ale nawet wygód, o których z taką gorliwością zapewniał mnie mój przewodnik. Po środku stało niewielkie polowe łóżko, zapewne przygotowane już wcześniej na wypadek, gdyby w nocy zjawił się zbłąkany wędrowiec. Ale dla mnie, zmęczonego i sennego, było ono frapujące, tak że nie zastanawiałem się nad niczym, położyłem się – i przed zaśnięciem zdołałem jedynie zauważyć, że w pokoju pełno jest rzeczy najrozmaitszych, że zapełniony jest on tak, jakby pani tego domostwa odczuwała strach przed pustym miejscem. Rzuciło mi się w oczy wprost niebывale nagromadzenie przedmiotów różnego rodzaju, starych i nowych, małych i dużych; również na ścianach nie było ani centymetra, który świadczyłby o tym, że horror vacui to uczucie, jakiemu właścicielka nie mogła się oprzeć. Pomyślałem, że dziwnym trafem znalazłem się w lokalu, który nie jest zwykłym mieszkaniem, ale składnicą różnorodnych starożytnych przedmiotów lub wręcz gabinetem osobliwości. Nie miałem jednak energii, by się nad tym zastanawiać, pomyślałem, że obejrzę te wszystkie dziwa rano. I zapadłem w sen, jakże zasłużony po upalnym dniu, spędzonym na intensywnym zwiedzaniu i parogodzinnej podróży nocnym pociągami.

Po godzinie, może dwóch – przez podniszczone żaluzje wdzierały się już pierwsze promienie słońca – obudziłem się zdziwiony, że w moim pokoju nagle zrobiło się ruchliwie. Przesuwają się przezeń zjawy, które nie czują skrepowania tym, że został on wynajęty i znajduje się w nim ktoś, kto płaci nie tylko za to, że może przyłożyć głowę do poduszki, ale również za prawo do spokoju. W pierwszym odruchu zjawy te wydawały mi się figurami ze snu, maszkarami, trapiącymi mnie nie wiadomo z jakiego powodu. Szybko musiałem zrewidować to z dużą siłą nasuwające się wyjaśnienie, to nie były stwory zrodzone we śnie, ale kobiety z krwi i kości, stare i bardzo stare, to one od najwcześniejszego rana przesuwały się przez mój pokój, wykorzystując po temu wąski przesmyk pomiędzy połowym łóżkiem a rozłożystymi meblami i tworami, których charakter i status nie był dla mnie zbyt jasno określony. Nie wiem, ile tych kobiet przedelfowało w polu mojego jeszcze na pół sennego widzenia, w pewnym momencie wydawało mi się, że kilkanaście, ale było to tylko cudowne rozmnożenie, owa multiplikacja świata, jakiej bez trudu się dokonuje w tym zamąconym stanie pośrednim między snem i jawą, w którym dziwaczne istnienie, nabiera niezwykle kształtów, nie tylko – jak w tym przypadku – tajemnicze figury przemieniają się w potworniejące maski, znane z fantastycznych opowieści. Owych dam, przesuwających się niczym zjawy przez pokój, który miał być na czas wynajęcia mój, ale nie stał się nim ani na moment, było zaledwie kilka, ale wystarczało to, by łazienkę okupowano bez przerwy, marzenie o prysznicu znowu musiałem odłożyć na później, nie miałem szans, by się do niej dostać.

Kiedy zdałem sobie sprawę, w jakim miejscu się znalazłem, nagle postanowiłem: muszę czym prędzej wyrwać się z tego koszmarnego babińca, natychmiast zapłacić i niewątpliwie znajduję bez trudu coś lepszego. Poinformowałem jedną z przechodzą-

cych kobiet o swojej decyzji, pokazałem portmonetkę, by pojęła, że chcę zapłacić, ale coś mi odburknęła, z czego wywnioskowałem, że moje sprawy mogę załatwić z panią gospodynią, ale jej akurat nie było, signora Baba Jaga, której czas spoczynku zakłóciła moja nocna wizyta, gdzieś zniknęła, być może rozłożyła swe stare kości na łożu i odsypiała to, co nad ranem straciła. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać, choć czym prędzej chciałem wydostać się z tego miejsca, czułem się w nim coraz gorzej – tak, jakbym znalazł się w przestrzeni ogrodzonej, czy wręcz zamkniętej na cztery spusty, z której nie dane mi już będzie nigdy się wydobyć, kląłem los, że mnie w to miejsce właśnie skierował. Nie mogłem po prostu wyjść, zostawiając pieniądze na stole, mimo że wiedziałem, ile jestem winien, mój paszport został przecież zarekwirowany.

Nie wiem, ile czasu czekałem na pojawienie się signory Baby Jagi, zapewne niezbyt długo, jeśli wierzyć zegarom, ale mnie czas ten przeciągał się w nieskończoność. Narastała we mnie wściekłość nie do opanowania, przez głupi przypadek wdepnąłem w absurdalny świat, z którego nie mogę się wydostać, chcę zaś to zrobić jak najszybciej, bo jest mi w nim fatalnie, no i szkoda czasu na takie bezsensowne oczekiwanie, a mój terminarz jest tak napięty, że muszę gospodarować czasem w sposób oszczędny i rozsądny. Zły, zdenerwowany, niewyspany, musiałem wypełnić sobie czas oczekiwania choćby po to, by zapanować nad swą wściekłością i nie pogrążyć się w coraz bardziej ponurych przewidywaniach. Jak już wspomniałem, jeszcze w nocy, zaraz po wejściu, spostrzegłem, że pokój jest przestrzenią zapelnioną, że nie ma w nim pustego miejsca, ów natłok przedmiotów od razu rzucił się w oczy. Teraz zacząłem przyglądać się bliżej tej niezwykle obfitości, zdumiony wielką kolekcją rzeczy najróżniejszego rodzaju. Niektóre półki przypominały stoiska z tandetą na prowincjonalnym odpuszcie bądź podmiejskim targowisku. Pełno było najróżniejszych figurek – z porcelany, drewna, gliny, metalu, plastiku, jakieś zwierzęta, ale i postacie, obok znajdował się regon lalek różnych rozmiarów, a bliżej okna stały wazon, dzbany, garnuszki, znalazły się też pewnie jakaś filiżanka. Wydawało się, że w tym gabinecie nie brakowało niczego, co składało się na dziedzinę kiczu, obojętnie można było kilkucentymetrowy posążek Buddy z brązu, stojący tuż obok figury świętego Antoniego. Trudno było dociec, według jakich reguł te przedmioty liczne i różnorakie zostały zestawione, jakie tu obowiązywały zasady. Może zresztą żadne, chodziło o to jedynie, by rozmieścić tych dzieł nieuczzonej sztuki jak najwięcej, po prostu je upchać. Miałem wrażenie, że walczą one ze sobą o życiową przestrzeń, że się rozpychają, bo muszą w tym niecodziennym bogactwie zaistnieć, wyróżnić się, lub przynajmniej zaznaczyć swą obecność.

Po drugiej stronie pokoju, na kredensach, etażerkach, półkach znajdowały się przedmioty innego rodzaju, niezliczone pamiątki rodzinne, przede wszystkim fotografie różnych rozmiarów i w różnych ramkach, ale także jakieś dyplomy, cenzury szkolne, inne dokumenty, w których charakterze trudno było mi się polapać. Pełno było zdjęć niemowląt, dzieci przystępujących do pierwszej komunii, fotografii ślubnych, w których wszystko wyglansowane zostało na najwyższy z możliwych połysków, ale też nie brakowało starszych panów, niektórzy z nich rozciągnięci byli na śmiercielnym marach, granice między życiem a śmiercią nie zostały w tej osobliwej krainie pamiątek wyraźnie wytyczone. Pomyślałem ze zdziwieniem: to w tej rodzinie były dzieci, byli też mężczyźni! Niektórzy wynieśli się na tamten świat, inni – być może – uciekli z tego domu kobiet na tereny mniej odległe i nieco bardziej określone. A dzieci płci obojga powyrastały i rozpierzchły się po okolicy, Hiszpanii, Europie, lub może wywędrowały za Ocean, zostawiając te stare kobiety swojemu losowi, skazując je na to, by obracały się tylko we własnym gronie – i dorabiały na swą codzienną we-

getację wynajmowaniem turystom przechodniego pokoju.

Kiedy rozmyślałem o rodzinnych historiach utrwalonych w dokumentach i na amatorskich zdjęciach, robionych przy różnych okazjach na wieczną rzeczy pamiątkę, historiach, z których niewątpliwie złożyłaby się wielka szkatułkowa opowieść, zjawiała się signora Baba Jaga. Zawiadomiłem ją o swojej decyzji, zacząłem machać portmonetką na znak, że chcę płacić. Z początku udawała, że nie wie, o co chodzi, bo sądziła, że wytrzymam u niej dwa dni, skoro o tyłu wspomniałem w nocy, gdy przyprowadził mnie kręcący się na jej polecenie po dworcu Pacheco. A kiedy wreszcie pojęła, zażądała wyższej ceny. Nie targowałem się, podałem jej pieniądze – i poprosiłem o paszport. Ale ona nie miała zamiaru mi go zwrócić. Coś do mnie powiedziała, czego nie rozumiałem, i z ostentacyjną gorliwością przystąpiła do dzieła.

Spojrzała na półki owym swoistym okiem Napoleona, który upewnia się przed atakiem, że wojsko zostało dobrze rozstawione. Zaczęła sprawdzać, czy niczego nie brakuje, dokonywała przeglądu dokładnego i szczegółowego, liczyła rzeczy na kolejnych półkach, niekiedy robiła to kilkakrotnie, tak jakby się obawiała, że się pomyliła i jakiegось braku nie dostrzegła. Najwyraźniej nie krępowało jej, że postawiła mnie w sytuacji trudnej i nieprzyjemnej, nie zwracała na moją skromną osobę uwagi, a ja pokornie i cicho stałem, czekając aż ten tak dla mnie przykry przegląd wreszcie się skończy. Nie wiem, czy w ten sposób traktowała każdego klienta, czy też ja tylko, przybysz z kraju, o którym – być może – nigdy nie słyszała, a z którego mieszkańcem z całą pewnością zetknęła się po raz pierwszy, wzbudziłem jej tak wielką nieufność. Jakkolwiek sprawy się miały (a tego stwierdzić nie byłem w stanie), czułem się upokorzony, a moja wścickłość potęgowała się z minuty na minutę.

Z przerażeniem myślałem, że druga strona, ta z pamiątkami rodzinnymi, podlegać będzie lustracji równie detalicznej i długotrwałej. Signora Baba Jaga dokonała jej jednak szybciej, mniej dokładnie, nie działała przecież bezmyślnie, doszła zatem do jakże słusznego wniosku, że zdjęcia rodziców, dziadków, ciotek, stryjów, kuzynów, tudzież ich dzieci, wnuków, prawnuków, byłby dla mnie lupem mniej atrakcyjnym niż wspaniałości w rodzaju figurki słonia, by nie wspominać już o dewocjonaljach. Kiedy stwierdziła, że jej skarbiec w niczym nie został uszczuplony, oddała mi paszport, a ja poczułem się wolny jak ptak wypuszczony z klatki. Opuściłem mieszkanie w pośpiechu, jak najszybciej, chciałem być daleko od tej przestrzeni nieprzyjaznej i zaszpuntowanej, opanowanej przez zdziwaczale wickowe kobiety i wypełnionej przedmiotami, które mnie od siebie odpychały, opuściłem w poczuciu, że udało mi się wyzwolić z czegoś, w co niespodziewanie wszedłem, z czegoś nie tylko nieprzyjemnego, ale też groźnego. Opuściłem kontent, że mimo upału przekraczającego nadwiślańskie miary i wyobrażenia, będę mógł pograć się w Saragossie.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Zapiski ze stróżówki (2)

Listopad '98 – Styczeń '99

Będzie to pierwsza wiosna w życiu... Jest kwiecień albo maj 1953 roku, na pewno ciepły dzień. Nie, chyba raczej kwiecień, bo krzak jaśminu w tle jeszcze nie zakwitł, są na nim tylko liście. Zupelnie niedawno, zaledwie kilka miesięcy temu, Wszystko się rozpoczęło. Wszystko, czyli moje życie, choć w tej kruchej, drobnej postaci jest jeszcze cisza przed życiem, ani odrobiny lęku przed losem czy choćby słońcem. Jednak jego spojrzenie, jego oczy jakby wyrwały się do świata, do życia, do wypełniania przypisanego mu przeznaczenia. Kilkumiesięczny i ufny, bez bólu i pragnień, cudownie wolny i bez pamięci. Dopiero się Wszystko zaczynało, miało zacząć: za miesiąc, rok, za jakiś czas. Aby już trwać. Nieodwołalnie. Do teraz. Do grudniowego chłodu z uchylonego okna, który być może także czuje dziecko ze starej wiosennej fotografii. I trwać jeszcze dłużej, aż – dopóki – zanim...

To na co patrzę od niedawna, a czego długo nie mogłem zdecydować się wyciągnąć z szuflady i w wiśniowej ramce postawić u wezglowia, to kosmos zredukowany do niedużego poźółkłego prostokąta z kobietą, mężczyzną, dzieckiem, krzywym płotem, krzakiem, fragmentem domu, plachetkiem piaszczystej drogi; kosmos bez rąbka nieba, choć przecież niebo musiało być wtedy na pewno, a dzień pachniał początkami wiosny... Tak wyglądało najpierw, tak było na początku.

Jeszcze nie szedłem ani nie biegałem piaszczystą drogą, co jest pod stopami rodziców, jeszcze nie trzymałem się krzywego plotu ani nie ploszyłem wróbli świergocących w jaśminie. Wszystko dopiero było przede mną – niepojęte to Wszystko, nie do ogarnięcia Wszystko: Świat – Życie – Śmierć.

Dziecko siedzi na wysokim stoliku, na którym kiedyś w wielu domach stawiano asparagus (w przyszłości ten stolik przeistoczy się – też dorosnie? – w masywniejsze barowe stołki), podtrzymywane z obu stron przez rodziców – młodych wówczas, młodych jeszcze. Za nami i za jaśminem, który już na pewno wkrótce, może pojutrze, zakwitnie, w górnym prawym rogu widać kawałek dachu, ścianę z niedużym oknem (to w tym oknie – zapamiętałem – pierwszy strach w życiu poczułem), część ganku – to nasz dom, który niezadługo, pewnej jesieni opuścimy na zawsze; o tym teraz nie wiemy, nie wyobrażamy ani nie przeczuwamy czekającej nas długiej i smutnej wędrówki, ale jest to już historia z innego planu... Dotykam tej fotografii, jakbym dotykał odcisku wyżłobionego przez nas z tamtego czasu we Wszechświecie, jakbym palcami dotykał śladu pozostawionego po dawnym życiu, a którego nie zatarły żadne deszcze, śniegi ani rak czasu.

Ale nie o tym chciałem napisać – o tej jednej chwili z początku życia, będącej zaledwie mrugnięciem fotograficznego obiektywu. Nie chciałem o tym, co jest, co było zaledwie momentem, interludium w historii trójki postaci ze zdjęcia. Nie chodziło mi o opis – obojętnie, czy realistyczny, czy z taktami lirycznej albo nostalgicznej zadumy. Dwa słowa tylko któregoś razu mnie dopadły, kiedy odruchowo spojrzałem, jakby czymś tknięty, na fotografię. Dwa słowa, które mogą być podpisem pod nią,

bez potrzeby dodawania innych słów, bez stosowania interpunkcji czy akapitów. Nie, tylko krótkie dwa słowa, jak raptowny krzyk w środku nocy: „Początek umierania...”

Byłem wtedy jeszcze bardzo daleko od tego chłodu, który sący się z okna i tańczy z płomieniem palącej się niebieskiej świeczki. Ale ten chłód, to okno i blat biurka, ta „stróżówka”, która czasami wydaje się od myśli i pamięci tak ciasna, że mieszcze się w niej z trudem, a czasami ogromnieje i czuję się niczym zastygła na zimowy sen w kącie parapetu biedronka, zwana w moich dawnych stronach bożą krówką. Lecz przecież, lecz jednak to tamte rączki ściskające grzechotkę są dłońmi, które teraz ściskają ołówek, usiłując coś wyszarpać z papieru. Tamte nóżki już dzisiaj czasami z trudem wchodzą na drugie piętro po drewnianych schodach. A to, co niespodziewanie odsłoniło się spomiędzy nówek, i już tak pozostało, coraz mniej chce pragnąć... Patrzymy na siebie, on jest we mnie, ja w nim – zakładnicy śmierci; tamta rączka z grzechotką będzie kiedyś zimna i bez czucia, jeszcze teraz, czyli wtedy, jest ciepła od wiosny, co niby przeszła, lecz nie skończyła się jeszcze, ale już...

Jean Guitton, *Dziennik*: „Niezglębiona jest tajemnica początków ludzkiej istoty, kiedy się na nią spojrzy pod kątem widzenia tak nieprawdopodobnego i przypadkowego spotkania jej ojca i matki. Simone Weil powiadała, że rozważanie tego zrządzenia losu, które doprowadziło do spotkania dwojga ludzi, naszych rodziców, jest może bardziej zbawienne niż rozważanie czekającej nas śmierci. (...) Jak pojąć, że gdyby ten właśnie młody człowiek nie spotkał na swej drodze tej właśnie dziewczyny i jakiś szczegół nie zwrócił jego uwagi, ja nie istniałbym w ogóle albo byłbym kimś zupełnie innym: tego po prostu nie da się zrozumieć”.

Złożony kilkudniową niemocą na moim tapczaniku, co raczej kształtem i kubaturą przypomina katafalk, coś mi się przypomniało z *Czarodziejskiej góry* i chciałem to sprawdzić w powieści. Oczywiście owo „coś” musiało mieć związek z Klawdią Chauchat, powiem do końca – chodziło o epizod z pożyczeniem ołówka. I stało się – na nowo zaczytałem się w Mannie, ale... Ale nie tak zupełnie. Bo ja tej jego powieści nigdy nie przeczytałem i chyba już nigdy nie przeczytam do końca. Bo ja ciągle, bo ja od zawsze zaczynam i kończę lekturę „Czarodziejskiej góry” na pierwszym tomie. Pierwszy tom dosłownie połykam, drugim już niestety zadławiam się i nie daję rady, odpadam. Wystarczy porównać moje dwa egzemplarze – jeden prawie w strzępach, a ten drugi jakby dopiero przyniesiony z księgarni. To nie jest dokuczliwa ułomność, ale jednak ułomność. Taki Jurek Pilch – on zasypia i budzi się z „Czarodziejską górą” pod poduszką (tak jak Bronek Maj z *Lalką* Prusa), a ja już siódmy albo ósmy raz czuję się znokautowany przez tę powieść. Żyję więc z dokuczliwą świadomością duchowego uszczerbku, żyję w dyskomforcie, pokornie ustawiam się zawsze gdzieś z tyłu. Bo nie będąc udawał, że jest inaczej.

Zdruzgotany niemilosierdzie kolejną kłeską, dla poprawienia swego wizerunku nie tylko we własnych oczach, ale i wobec psa Benka, który cierpliwie kibicował zmaganiom z drugim tomem *Czarodziejskiej góry*, wzięłem się za lekturę już dość długo czekających na przeczytanie *Lunatyków* Hermanna Brocha. I przeczytałem, polknąłem zapominając o życiu opasłą księgę – i chyba dalbym radę z drugim tomem, gdyby takowy był...

Wracając jeszcze do Tomasza Manna. Kartkując stary notes trafiłem na wypisek z Alberto Moravii: „Italo Calvino powiedział coś bardzo trafnego: że Tomasz Mann widział wszystko, ale z dziewiętnastowiecznego balkonu, my natomiast widzimy wszystko, spadając ze schodów”.

A przecież tylko trochę, jakby mimochodem, o tym napomknąłem, może choćby tylko dlatego, żeby już o tym więcej nie pamiętać. Przecież tylko lekko dotknąłem jednej z zamarych strun pamięci, nie oczekując na wydanie przez nią jakiegokolwiek dźwięku. Obudziłem nieświadomie (?) wspomnienie po kimś, by je uśpić pewnie już na zawsze, może już na wieczne zawsze... Napisałem o tym, żeby jednak tego nie przeczytać – tej jednej krótkiej nocy w prawie pustym hotelu nad flaszką, która miała na trochę ochronić od chłodu i samotności. I zapisując to nie przypuszczałem, ani przez moment nie myślałem o takiej ewentualności, że ten głos z dawnego życia przywołam naprawdę. To może wydać się kiepsko ułożoną fabułą dla urozmaicenia monotonna życia w „stróżówce”, dla stworzenia jakiejś dramaturgii, podkreślenia tempa i podwyższenia temperatury zapisków. Nic z tych rzeczy, żadnego zmyślenia. Po prostu stało się tak, jak się stało. Po prostu któregoś dnia, pod koniec listopada, zadzwonił telefon. Telefon zadzwonił, a ja w słuchawce usłyszałem jej głos i imię; pozostając przy faktach: poprosiłem o powtórzenie imienia raz jeszcze, bo w pierwszej chwili nie mogło to być do uwierzenia... Więc trzymając przy uchu telefoniczną słuchawkę, słysząc jej głos, jakby była obok, mimo wszystko czegoś nie rozumiałem i nie rozumiem do tej pory, nie potrafię objąć tego żadną logiką ani metafizyką, choć już telefonowaliśmy do siebie kilka razy. Bo dlaczego zatelefonowała, odnalazła mnie akurat teraz, gdy przywołałem ją kilkoma linijkami tekstu, o których istnieniu przecież wiedzieć nie mogła? Gdyby mi się przyśniła, albo nagle przywidziała na ulicy i zniknęła raptownie w tłumie, gdybym niespodziewanie odnalazł stary list od niej w dawno nie czytanej książce – to byłoby prawidłowe, poszedłbym z tym dalej nic nie mówiąc. A tak? Jakby nasze – jej i moje – wspomnienia wędrując gdzieś w zaświatach, nagle spotkały się. Bo przecież, bo mimo wszystko nic nie mija. To co było, jest na zawsze, choćby wydawało nam się, że jest inaczej i niczego nie pamiętamy.

Jest inaczej – zadzwonił telefon, kobieta i mężczyzna rozmawiali ze sobą. Wspomnienia też chcą mieć swoją biografie.

No i stało się... Coś mnie podkusiło, żeby przytoczyć dość zgryźliwe zdanie o Tomaszu Mannie i dotkliwie zostałem za to pokarany. Rzeczywiście: był upadek, były schody, tylko ja niczego nie widziałem; dopiero później... Zaprawdę to dziwne uczucie, gdy po dłuższym czasie patrzy się na to wszystko, czego również dobrze można już było nigdy nie oglądać ---

Chyba jest coś na rzeczy w słowach, które K. powiedział przez telefon, że mój Anioł Stróż nieźle musi się przy mnie napracować. Kto to wie, jak jest z tym Aniołem, do którego w dzieciństwie pokornie – i naprawdę w Niego wierząc – modliłem się? Bo może jest po prostu, czyli po ludzku, wyrozumiały. Albo już zupełnie zrezygnowany.

Ilekoć stąd odjeżdżam po krótszym lub dłuższym pobycie, czuję jak tego domu we mnie ubywa. Czuję jak daleko jestem od tamtych pierwszych dni tutaj, które pamiętam, choć już prawie nic nie jest tak jak wtedy – pod każdą postacią.

Przyjeżdżam – odjeżdżam: psychiczne wahadło, w którym jest coś z fantasmagorii i z czasu skurzonego do tymczasowości, poczucie istnienia gdzieś indziej, choć przecież idę dobrze znaną mi ulicą, choć przecież gdy z sadu patrzę w dal przed siebie, widzę ten sam co dawniej widnokrąg, ale on staje się uciskającą obręczą i nie wydaje się już tak daleki, i nie powraca natrętnie pytanie dawnego chłopca: „co jest za horyzontem?” Zauważam znikłe, albo może tylko przestawione, przedmioty, ale nie pytam o nie, chociaż w powrotnym pociągu dręczy mnie brak mojej pierwszej etażerki na książkę, zamówionej specjalnie u stolarza w mieście, a którą jeszcze latem widziałem.

Może tak ma być, że z każdym pobycem ubywa mnie w tym domu, tak jak za chwilę znikną ślady po moim pobycie teraz: przeczytane gazety, zapach cameli w pokoju, kilka butelek po piwie, śnieg wydeptany na podwórku, stara podkoszulka, wypalony znicz na grobie ojca, wykorzystany bilet kolejowy, resztki neski w słoiku, widokówka, z której wysłania w końcu zrezygnowałem...

I tylko śpiący motyl w rogu sufitu przebudzi się któregoś dnia u schyłku zimy. I odfrunie na łąki.

Aleksander Jurewicz

Julian Kornhauser

Postscriptum (12)

1. W listopadowym „Tygodniku Powszechnym” ogromny, dwustronicowy esej Andrzeja Franaszka o poezji Marcina Świetlickiego, napisany z okazji wydania *Pieśni profana*. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek w dziejach krakowskiego tygodnika w ten sposób fetowano jakiś tom wierszy, nawet naszych największych autorów. Ale widocznie książka jest tego warta... Nie sądzę jednak, aby to, co napisał młody krytyk, było właściwą interpretacją *Pieśni profana* i o to chciałbym się pospieszać. Franaszek zresztą nie tyle czyta tomik Świetlickiego, ile popisuje się swoją erudycją, najczęściej zupełnie nie o propos książki. Dowiadujemy się zatem, jak zabija się ślimaki (esej nosi tytuł *Muszla*), co sądzi Paul Auster – modny teraz pisarz – o smaku śmiertelności, o czym rozmawiają bohaterowie *Pod wulkanem* Lowry’ego, jaki dialog prowadzą postacie u Becketta, co pisze Oskar Miłosz o rajcu, jak wygląda Anioł Śmierci w *Księżce Zohar*, jakie miano nosi otchłań u Dantego i jakąż to starą

2. W „Gazecie Wyborczej” bardzo ciekawa rozmowa Michała Cichego z Jackiem Podsiadłą, tegorocznym laureatem Kościelskich. Podsiadło, który w swoim krótkim życiu – po rezygnacji z nauki w szkole – zdążył być i zapinaczem hakowym, i cieciami, i radiowcem, wypowiada niezwykle intrygujące refleksje na temat roli państwa. Jego stosunek do państwa jest typowo anarchistyczny: poeta nie chce być „zanimowany”, nie posiada dowodu osobistego, odmawia płacenia podatków, opłaty za korzystanie z wody (woda jest własnością każdego), nie uczestniczy w wyborach („wszelkie wybory polityczne są dla mnie wyborami pozornymi”), nie chce być „z nadania” obywatelem, płacić nawet na wczasach za klimat, nie mówiąc o pieniądzach „za odlanie się” i parking. Ten typ outsiderstwa, wolności nieujarzmionej żądnymi rygorami społecznymi, widoczny także w ciągłym poszukiwaniu pracy („pracy”) i decyzji zamieszkania gdzieś z dala od centrum, zupełnie na uboczu, świadczy z jednej strony o nieprzystosowaniu, społecznej niedojrzałości, podsycaniu w sobie dziecięcości, a więc nicuległej prawdy, z drugiej o rozumieniu strategii poetyckiej jako wierności samemu sobie, własnej, jednostkowej, egocentrycznie pojmowanej, prawdy (sam o sobie mówi: „Moje wiersze dlatego bywają nieznośnie ekshibicjonistyczne, że ja jeszcze na etapie pisania grafomańskich wierszydełek postanowiłem sobie, że dla mnie najważniejsza będzie prawda”).

Taka filozofia nie jest obca innym pisarzom tego pokolenia. Najgłośniejsi z nich (Stasiuk, Świetlicki) też są samoukami, też głoszą pochwałę outsiderstwa. Wydają się być nie z tego świata. Nie tyle przybyszami z innej historii, ile spoza społeczeństwa. Społeczeństwa pojmowanego jako skupisko nakazów, walczących w indywidualnym poczuciu obowiązku. Kolejne życia tych twórców (Stasiuk jako więzień po odмовie służby wojskowej, potem zaszywający się na głębokiej prowincji, Świetlicki traktujący pobyt w wojsku jako więzienie, potem pracujący w charakterze strażaka i magazyniera, Podsiadło zapinacz hakowy i cieć) mówią więcej niż ich literatura. O szukaniu na własną rękę, poza układami, sposobu na życie (również przeżycie). O penetrowaniu rzeczywistości na peryferiach. O nieumiejętności albo też braku potrzeby mocnego osadzenia się w jakimkolwiek środowisku. O postawie antyinteligentnej, a właściwie antymieszczkańskiej (nawet jeśli to brzmi zbyt literacko i podręcznikowo). Ci naturszczycy, nie przykładający ręki do wszelkiej napuszonej oficjalności (to dlatego Świetlicki krzyczy: „wkurwiam się, wkurwiam się, wkurwiam się”), to dlatego Podsiadło pisze antypapięski wiersz, a Stasiuk uwzniośla – często – ludzi zdegenerowanych, ale „prawdziwych”) wcale jednak nie są naiwnymi prostaczkami. Przeciwnie – ich wypowiedzi dyskursywne (eseje Stasiuka, wywiady, małe szkice dwu pozostałych) świadczą o ich błyskotliwej inteligencji, niecodziennej erudycji i czytaniu. Czyżby grali? Pozowali i pozorowali? Chyba nie w tym rzecz. Oni boją się sieci, zarzucanej przez „literatów”. Ich „brutalność” i „prymitywizm”, choć wywiedzione z osobistych doświadczeń z ludźmi, są bronią z tego arsenału chwytów artystycznych, który rzadko już bywa odwiedzany przez pisarzy. Także z obawy o zarzut konwencjonalizacji.

Podsiadło jest zwolennikiem prawdy naiwnej. Nie chce uchodzić ani za dorosłego, ani dojrzałego, choć z kolei protestuje, gdy ktoś go nazywa „młodym pisarzem”, jego, trzydziestoczerolatka. Chce być „jak dziecko”, wolny, niepodległy, ale pragnie być traktowany jako „pisarz średniego pokolenia”. Jako pisarz właśnie. Ta sprzeczność dowodzi, jak trudno być konsekwentnym w byciu „na uboczu”. Doświadczyli tego także Świetlicki i Stasiuk, odkąd dla wielu młodych stali się idolami. Ale w gruncie rzeczy chodzi cały czas o język. Tu gra idzie o język (o nim także mówi Podsiadło w cytowanym wywiadzie, kiedy wyraża pretensje w stosunku do autora *Pieśni profana*,

zarzucając mu operowanie coraz częściej „grepsami”) czyli nośność literacką. Wszyscy oni posiadli umiętność przeciwstawiania się stereotypizacji językowej, również dzięki nie wchodzeniu w układy towarzysko – literackie, które takiej stereotypizacji sprzyjają.

3. Bardzo trafne uwagi Michała Głowińskiego o wykorzystywaniu Zbigniewa Herberta w nieczystej grze przeciwko innym poetom (dwa znakomite szkice, jeden w 10 nr. „Odry”, drugi w 4 nr. „Tekstów drugich”). To, co się działo z Herbertem po Noblu dla Wisławy Szymborskiej, a także po śmierci poety, zarówno wśród rozgrzanych krytyków, jak i przedstawicieli życia politycznego, może przyprawić o mdłości. Herbert stał się poetą „jednej opcji politycznej”, a jego twórczość umieszczano „w fałszywych kontekstach”. Zamiast się cieszyć sukcesem Wisławy Szymborskiej, ubolewano nad niedocenieniem Herberta z przyczyn, jakoby, politycznych. Dziwi mnie ten ton oburzenia pod adresem Akademii Szwedzkiej. Nobla traktuje się w dalszym ciągu jako Przepustkę Do Nieśmiertelności. Ale czasy się zmieniły: nagród o podobnym charakterze jest więcej, pisarze znani i tłumaczeni mają swoich czytelników na całym świecie i taka nagroda jest tylko potwierdzeniem wielkości. Czy, powiedzmy, Stanisławowi Lemowi potrzebna jest Nagroda Nobla, skoro znany jest i czytany na całym świecie (przekłady na 37 języków, 25 milionów egzemplarzy nakładu)? Byłoby świetnie, gdyby ją dostał, ale co dzięki niej by zyskał (poza pieniądze)? Forsowało się Herberta na noblistę i spór o to trwał tyle lat, ale zapomniano przy okazji o istnieniu Różewicza (kwestia rozstrzygnięcia, któremu z nich bardziej się należała, jest otwarta). Sami członkowie Akademii Szwedzkiej, przyznający Nobla kierują się takimi samymi przesłankami, jak każde inne jury, choć biorą pod uwagę różne opinie spoza swego grona. Przyznają, komu chcą i kogo sami uważają za godnych tej nagrody. Nie zawsze musi to być w zgodzie z „narodowymi” odczuciami i hierarchiami. Czy sami Włosi nagrodziliby Daria Fo? A Francuzi Claude’a Simona? Amerykanie panią Morrison? Rosjanie Brodskiego? Czesi Seiferta? I tak dalej i tak dalej. Wątpię, bo nie jest to nagroda krajowa, przyznawana przez rodaków i nie zawsze oni mają decydujący głos przy wyborze kandydatów.

Z Herbertem jest jeszcze sprawa inna. Prawicowcy uznając go za swego poetę, wyrazieli „prawdziwego patriotyzmu”, zupełnie nie brali pod uwagę samej poezji autora *Struny światła*. Herbert nie był pisarzem politycznym, stronił od ideologii. To, co mogło być odczytywane jako polityczne, czy ideologiczne, jest przede wszystkim – jak to określił Balcerzan – „ruchem orzeczeń etycznych” bez ostatecznych konkluzji i wszelkiej demagogii jako „znaku wartości”. Czy apologia wierności i potępienie zdrady (przy czym chodzi, jak pisze Balcerzan, głównie o wierność tradycji, przeszłości) ma związek z polityką? Oczywiście, do pewnego stopnia tak, ale nade wszystko z postawami uniwersalnymi, ponadhistorycznymi. I za to właśnie Herberta najwyższej ceni, zdecydowanie odrzucając opinię o tendencyjności tej poezji (nb. w tekście, który tu cytuję, pomieszczonym w słynnej książce *Poezja polska w latach 1939 – 1965* cz. II, Balcerzan wyraża jedną, jedyną subiektywną opinię, właśnie o Herbercie, pisząc, że jest on „największym dziś spośród żyjących poetów” – jest to uwaga z roku 1988, a więc 8 lat po Noblu dla Miłosza i 8 lat przed Noblem dla Szymborskiej, o której w książce nb. są nie znaczące wzmianki, ale pewnie dlatego, że do 1965 roku poetka wydała, poza dwoma z początku lat 50-tych, tylko dwa zbiory).

I jeszcze jedna osobista uwaga. Tuż po śmierci Zbigniewa Herberta, arcybiskup Józef Zyciński, hierarcha, którego postawę i poglądy bardzo wysoko cenię, opisując w swej wypowiedzi recepcję poety powołał się, bez wymieniania nazwiska, na sąd jed-

nego z krytyków. Arcybiskupa oburzyło stwierdzenie „ostatni Stańczyk naszej poezji”, jakie zapamiętał przed laty. Podał je jako przykład niezrozumienia poezji Herberta i celowego jej ośmieszenia. Autorem tego stwierdzenia byłem ja: przeczytać je możemy w „Świecie nie przedstawionym”. Cieszę się, że arcybiskup Zyciński miał kiedyś w rękach tę książkę (albo też jakiś wybór tekstów, w którym ów esej się znalazł), ale przykro mi, że odczytał moją uwagę jako przyganę. Moją intencją było coś zupełnie innego. Krytyczny tekst sprzed ćwierci wieku zakończyłem przecież pochwałą poety, którego wybitności nigdy nie podważałem. Wymieniając Stańczyka miałem na myśli postawę pełną zatroskania o losy kraju, jednocześnie sceptycyzmem przyprowadzonym umysł, niewolny od ironicznego, groteskowego śmiechu. Przecież tę postawę widać od pierwszej książki z 1965 roku po *Epilog burzy* (w którym znajduje się także wiersz zadedykowany arcybiskupowi Zycińskiemu).

4. Szczerze mówiąc, nie wiem, co się dzieje: recenzje, jakie ukazują się na temat *Jak zostałem pisarzem* Andrzeja Stasiuka i opowiadań *Sęk pies brew* Adama Wiedemanna, zdumiewają mnie swoimi daleko idącymi interpretacjami. Prozę Stasiuka czyta się jako wyrafinowany portret dziecięcia wieku (jak chce np. Piotr Bratkowski), opowiadania Wiedemanna z kolei są dla wielu gombrowiczowskimi z ducha ćwiczeniami przygodnej podmiotowości (jak filozoficznie zauważa prof. Janion). Obie książki widzę zupełnie inaczej, bardziej swojsko. Stasiuk ukazuje młodych, mało co rozumiejących „maturzystów”, zajmujących się głównie chłaniem i ćpaniem oraz poszukiwaniem coraz to nowych lokali „do zdobycia” i Wiedemann opowiadając anegdoty z życia domu studenckiego, a to znaczy nieustanne balangi, siedzenie w szracu i wysłuchiwanie tego, co ma do powiedzenia niejaki „Jarek”, uruchamiają znaną w naszej literaturze, od drugiej połowy lat pięćdziesiątych, konwencję „małego realizmu”. Nic ponadto. Zgrzebna narracja, prywatne menu opisowe, banalne spostrzeżenia. Owszem białoszewskizm: szumy, zlepy, ciągi. Tylko, że bez językowej energii, bez „misyj” nowatorskiej. Na dodatek, w obu książkach drażnić może jakaś blada niedorosłość, ale także (co zauważył Bronisław Maj, posłużwszy się analogią do Edka z *Tanga*) zadufanie, polegające na wierze w odsłanianie jakiejś nieznannej prawdy. Maria Janion mówi o odkrywaniu prywatności, ale co to za prywatność, która oferuje w mało bulwersującym opakowaniu rzeczy stare jak świat, a przynajmniej jak Głowacki (Janusz). Nie przeczę, jest to proza sprawnie napisana, „gadatliwa”, wciągająca (choć przecież nie każdego). Mam jednak wrażenie, że poprzestaje – jak mały realizm lat 60-tych – na powierzchownym opisie zjawisk całkowicie marginalnych. Oczywiście, zdają sobie sprawę z popularności tej prozy wśród młodych, urzeczonych, jak sami to określają, banalizmem, ale na Boga!, czyż nie lepiej rzucić się na banalizm Prousta?

Ale w końcu interesuje mnie nie tyle sama proza Stasiuka czy Wiedemanna, która na pewno znajdzie swoich czytelników i dobrze, ile krytycznoliteracki seans wokół obu książek. Pomijam od razu typowe nakręcanie koniunktury, o co dbają wydawcy, sponsorzy, znajomi etc. Chodzi o coś więcej, o zdumiewające nadawanie znaczenia książkom literacko cofającym nas do epoki, którą szczęśliwie przeskoczyliśmy. O, zawsze mnie śmieszące, ufilozoficznianie zwykłych opowieści, tak jakby ich anegdotalna strona nie wystarczała zwykłym czytelnikom. Bo same „sceny łóżkowe” nie wystarczą? Bo puszczenie pawia zbyt trywialne? Ale czy o *Śmiesznych miłościach* Kundery ktoś pisał, że „nie istnieje nic takiego, jak zrozumienie świata” i że „ujawniają podmiotową genezę wydarzeń”?

Julian Kornhauser

Grzegorz Musiał

Dziennik bez dat (2)

Glasgow, w listopadzie 1990

Uczestnicy zjazdu wyraźnie zabiegają o względy profesora H. Nosi się jak koziel wśród kóz. Obiegają go dwiema strużkami, wdzięcząc się, docent nie docent. Gotowi parskać śmiechem na jego byle dowcip. Każdy chce znów tu przyjechać.

Wykład „Stevenson a Dostojewski” interesujący z tego względu, że bez doktora Pike’a z Glasgow pewnie bym nie wpadł na takie *liaison*. Cóż, jeżeli w tym skrupulatnym wyliczeniu wszystkiego, co literalnie, aksjologicznie, hermeneutycznie itd. łączy ich lub dzieli, zabrakło mi fundamentu, punktu wyjścia, rzeczy absolutnie podstawowej, bez której całe to gadanie funta klaków warte. Tej otchłani, z której wyłonił się potwór Hyde, widma upiornego, które ukrywała za sobą poczciwa twarz doktora Jekylla w tej najdoskonalszej bodaj w literaturze kontradycji w jedni, sprzeczności tak podstawowej, że w jej idealnej konstrukcji przeciwstawieństw musiała się ukrywać jakaś myśl zwykła, jakieś rozdarcie straszliwie codzienne i nieuchronne w swej zwyczajności, której nikt nie podejrzewa... tego zabrakło mi w mądrościach doktora Pike’a, gdy dmuchał i dmuchał te swoje wielkie balony Dostojewskie, a potem Stevensonowskie (mniejsze – to jego ukłon w kierunku gości z Rosji) a nie dotknął nawet, w swej naukowej czystości, czegoś, z czego cały Stevenson i bez czego gadać o nim, to jak o związkach chemicznych bez tablicy Mendelejewa. Otóż pan Pike ani słowem nie zająknął się o upiorze tego wspaniałego pisarza, jednego z największych, jakich wydała Ziemia. O jego codziennym widmie, o jego zwyczajnej otchłani — o homoseksualizmie Stevensona.

Siedzę tu, w czwartym rzędzie niewygodnych krzeseł i patrzę w okno sali wykładowej, za którym szaleje ściana deszczu. Przed oknem poczciwie tkwi paprotka i w tym szeleście kartek prelegenta, w tłumionych westchnieniach słuchaczy i ich zaciętych minach (jakby dotrwanie do końca godziny wykładowej wymagało nie mniejszego bohaterstwa, niż trawersowanie ściany w Himalajach) czuję, jak czas cofa się do jakiejś salki seminaryjnej w Toruniu, Szczecinie czy Poznaniu. Jakie życie jest nie-mądre! Krótkie i niebezpieczne, a oni myślą, że uczone i długie. To znaczy – oni tak myśleć są wywiczeni. Samozachowawczo. Bez tego samooszustwa kształconych drobnomieszczan, nie byłoby Europy.

Tu, w tym olbrzymim, ponurym mieście, które nigdy nie uległo autosublimacji w coś piękniejszego – jak Praga, Paryż – w mieście, które wciąż tkwi wewnątrz jakiejś skuwającej je skorupy, z której nie potrafi się wyzwolić mimo potęgi swych instytucji, swych banków, swego pieniądza – czuje się tragiczne kalectwo Europy. Jej przeogrom-

ne, przewspaniale posłannictwo, którego wciąż nie umie wypełnić. I to, co wtedy wchodzi w duszę – ironię, sceptycyzm, powściągliwość... Bezgraniczny smutek Europy.

Rozdwojenie u Dostojewskiego ma charakter zanieczyszczony, bo głównie filozoficzny, religijny („raskoł”). U Stevensona zaś, te korzenie są najczyściej egzystencjalne. Homoseksualizm, maska, androgyne wewnątrz człowieka, zło udające dobro i na zmianę, dusza w najpocziwszej swej jedności – a potworna, pęknięta jak lustro królowej, rozdwojona. Na pozór – żadnej tu otchłani – i co z tego, że lubi chłopców? Aby to on jeden? Ilu z tym świetnie sobie żyje, ba, żony ma, dzieci... I tu jest właśnie sedno: codzienność tego naznaczenia. Nawet pewna (towarzyska?) – akceptacja? fascynacja? W pewnych środowiskach. I cóż takiego?

No właśnie – tego nigdy nie pojmie doktor Pike ani jemu podobni. Im zdaje się, że to tylko jest problem płaszczka. Tego „płaszczka najpiękniejszego, który trzeba włożyć, aby zejść do najplugawszej knajpy” (Gombrowicz, chyba niedokładnie cytuję). Że chodzi tylko o zabawę, maseczki weneckie, o karnawałowe incognito – raz pan, raz pani, zależnie którą stroną się obróci, jak ci damenimitatorzy w kabaretach Republiki Weimarskiej czy dzisiejsze (wszak nieźle się mające, jeśli sądzić po ich cekinach i makijażach) gwiazdy travestie-shows w West Hollywood czy Londynie.

Jeden bodaj Stevenson (no, może jeszcze Whitman i Melville) z całej plejady nienajgorszych piór, które się brały za ten temat, wręcz – temacik, za te figlarne dowcipki i złośliwości à la Oskar Wilde czy Waugh, za te przymówki w tzw. towarzystwie i gejzery śmichów chichów przy śniadaniu, à la Cocteau z całą tą paryską płycizną pierwszych dekad XX wieku – ukazał twarz sprawcy. Szyderczą i złą gębę Asmodeusza, Ahaswera czy jak mu tam, który pocziwym chłopakom ze wsi, czeladnikom od rzeźnika, lekarzom, profesorom, księżom i biuralistom bankowym, miesza szyć życiowy, przebiera te marionetki i pcha je do czynów, o których od początku świata mówi się z zawstyżeniem.

On jeden nie tylko zajrzał w otchłań, ale puścił snop światła na jej dno – na wykrzywioną z nienawiści i cierpiącą twarz pana Hyde’a.

Znów patrzę w okno. Deszcz ustaje. Sprzątaczką napelnia spodek stojący na schodach Instytutu ciemnymi granulkami „Kit-Kata”. Pan Pike skończył wykład, a siedząca obok mnie pani adiunkt już dwa razy ciekawie zajrzała mi w notatki. „Co tak zapisujesz, Gregory..?”. „Ach”, domyślnie zaśmiała się, przycząc piękną szyję, „wiersze...”.

Najbardziej smuci mnie, że to wszystko, co wyżej pisałem, te rozterki, te ciernie mało kto widzi, mało kto rozumie na wschód od Odry. Ten ciężar, tę wagę... nie zawaham się powiedzieć: krzyż... który spoczywa na pojedynczych, tylko pojedynczych barkach właśnie takiego chłopca ze wsi, czeladnika, profesora... Zastanawiające, jak w kraju, który ZBIOROWO tak wiele wycierpiał, tak mało zrozumienia przesiąka w jednostkowy byt. W takie: twarzą w twarz, samotnie, z diabłem albo z Bogiem. Jakby cierpieć w pojedynkę było czymś niegodnym. ZBIOROWO – to co innego (np. w powstaniach). Dlatego jesteśmy poważni, bo cierpieć w gromadzie – to poważna sprawa. I dlatego tak ciąży na polskiej literaturze, przynajmniej w prozie, paraliżujące ją pragnienie arcydzieła, które ów zbiorowy trud brnięcia przez Historię uwieczni dla potomnych. Zapiski na marginesach, jakieś kryminalne historie o jakimś panu Hyde, biegającym po nocach i mordującym służące, jakieś parerga, męty

duszy, spowiedzi Lautréamonta czy więzienne genetowskie „chorobliwe” rojenia – to wszystko niepoważne. Czymś takim nie da się opowiedzieć pięknej i szlachetnej historii o zbiorowej „walce i przetrwaniu”. Oczywiście, są wyjątki – w poezji, np. Leśmian, Czechowicz, Wojacek, Białoszewski... Ale w prozie chudo, cienko, jakieżś totalne ogłuchnięcie. Donald mówi, że to przez większość naszej kultury. Brak wielkich kapitalistycznych miast z ich świadomością wygnania, z ich wynaturzeniami powoduje, że rzeczy nie widzimy w powiększeniu – a tylko tak rodzi się sztuka, przez obrazy powiększone, jak w epidiaskopie. Za to cnotą jest – również za sprawą dobrotliwie upominającego księżego bajania na niedzielnych kazaniach – „opisywanie świata takim, jaki jest”. Kompletnie nieporozumienie! Jakby sztuka pisania miała być jakimś dworskim raptularzem: ile wydano na obrok, ile dżemów w spiżarni, jak przechować pomidory przez zimę... Świat „jaki jest”, jest przeraźliwie płaski, banalny, nieinspirowany. Kiszony ogórek ze smalcem.

Clou dnia: wykład profesora H. o Turgieniewie w Szkocji. Ale większość wykładu poświęca dowodzeniu, że „angielski Londyn” nigdy nie miał tak wspaniałych festiwalów szekspirowskich, jak „szkocki Edynburg”. I znów widmo „mianiery westminsterkiej” – oni tu naprawdę mają fioła na tym punkcie. Kompleks, jak stąd do Łobżenicy. Ale cytując Hercena wypowiedź o Szkocji, nagle rezygnuje z „opcji szkockiej” i figlarnie zmienia wymowę na „Szkocja” (aplauz rosyjskich profesorek). Potem profesor z Toronto wyklada o „Borysie Pasternaku i Marii Stuart”. W lansadach, uśmiechach w kierunku lobby z Petersburga, które w ostatnim rządzie cicho szleści pakunkami od Woolworth’a i wyjmuje z plastikowych torebek pończochy i ogromne biustonosze. Mam dość, wymykam się i idę do Muzeum.

W głównym holu wystawa Imogeny Cunningham – fotografki z „Vanity Fair” z Nowego Jorku. Wspaniała Cary Grant z 1932 r. – mięśnista twarz – dziwnie bez wyrazu. Białe spodnie, białe trzewiki, pulower. Włosy w brylantynie. To nie jest zdjęcie takiego Granta, którego widzi aparat Imogeny Cunningham, ale jakiegoś innego, zmyślonego przez samego siebie. Geniusz Cunningham – nie tylko zresztą jej, ale każdego wielkiego fotografa, że ten moment kłamstwa uchwyciła: gdy zza białych spodni, włosów w brylantynie i puloweru, na ułamek sekundy wyrzała tamta twarz, prawdziwa – „dziwnie bez wyrazu”.

Obok portret Brassai’a – Wielka fotografuje Wielkiego – ale czy przez zawodową zawiść tak go zdjęła, że ma wysadzone lewe oko? Może to błysk od fotografowania. Dalej – wspaniała twarz, *en trois quatre*, Alfreda Stieglitza z 1934 r. – już w Ameryce. Oczy tak przenikliwe, że niby kamera go przenika, a to on się śmieje i przenika kamerę, aż do blony. Drugie skrzydło wystawy to współczesne zdjęcia Glasgow – pożegnanie Gorbals pt. „Gorbals Necropolis” w fotogramach barda tamtej dzielnicy nędzy – Marzaroli’ego. Owszem, nie szczególnego. Idę na górę, do stałej ekspozycji, pod cudownie piękne „Zwiastowanie” Botticellego. Tyle o nim pisano, że wstyd się mądrować, ale to światło... przychodzi na myśl katedra w Chartres, gdzie światło drży we wnętrzu kamienia. U Botticellego ono drży wewnątrz farby, jakby było jakimś jej nieodzownym, podstawowym składnikiem. Światło skoncentrowane jest na pierwszym i trzecim planie, ale w części środkowej, w którą wchodzi anioł, gęstnieje w cień, dzięki czemu najważniejsza staje się strzała światła padająca na Marię zza lewej krawędzi – gdzie znajduje się prawdziwe Boskie Źródło. Trudno o bardziej zwięzłe, bo nieomal

matematyczne, i dzięki tej prostocie wstrząsające, prawdziwe – Wyznanie Wiary.

Patrzy na to złośliwa i tchórzliwa twarz Antona Tresta, biskupa Getyngi. Krótkie tłuste paluszki półluchylonej na pierwszym planie dłoni mówią o niewrażliwości tej duszy, a ich układ – jakby gotowych do liczenia – o zachłanności. Miękkie, płaczliwe, ale dość zacięte usta to upór, ze skłonnością do kunktatorstwa i intrygi. Rembrandt z serii „mrocznych mężczyzn w zbrojach” – w brązowej toni dwie dzikie plamy świetlne, na barku i na helmie, krzyczą o chłodzie serca i o męskości. Głowa mężczyzny Giorgione’a – oglądający się (za kimś?) urodziwy młodzieniec w jedwabnym kołpaku... umarłbym od ciepła tych zmrużonych oczu... Carlo Dolci (Florencja, 1616) – już się pojawia anegdota. Od martwej głowy Jana Chrzciciela bije cień śmierci – zimne białe światło, które od prawej strony pada na twarz Salome. I w warstwie malarskiej i filozoficznej mało to odkrywcze, raczej statyczne. Rembrandt dalby tu brunatny rumieniec na jej oblicze – blask żądzy i zemsty – a światło śmierci umieściłby w jej oczach.

I znów pod „Chrystusem św. Jana od Krzyża” Salvadora Dali... Dziełem nad dzieła. Natchnioną pieśnią na cześć Odkupiciela. Jednym z najwspanialszych dzieł religijnych tego pogańskiego stulecia. Może w ogóle – najwspanialszym? Ścisła krtań, zapiera dech, każe myśleć.

Wtorek

Wczoraj dzika, pijana od whisky noc: Burns Supper. Burnsa mają tu za swego Mickiewicza, on im urobił tożsamość. A dla mnie tożsamość Szkocji to na wargach smak chłodnej mgły od jeziora, otoczonego skalistymi wzgórzami. Olbrzymi głaz, który spadł z prawie pionowego piarżystego gołoborza na brzeg szosy (tuż obok mazdy Donalda – mazdy z obrotowymi reflektorami) którą idąc ku garstce kóz, zaskoczonych przy posiłku naszą obecnością, zostawiliśmy w dole w pejzażu tak bezludnym, że gdyby nie asfaltowa nić szosy możnaby tu pisać ody w stylu pisarek, będących z zawodu psychologami – o Jungowskim Prapoczątku Człowieka. Góra, niewymyślnie nazwana Black Mount, zamyka perspektywę uroczyska Rannoch Moor, w którym odbija się stalowe niebo bez chmur i pojedyncze drzewko na wysepce – jedyny ślad utraconego rajy w potępieniczym bezkresie zwietrzałych skal i wód. Ten kraj radzi sobie jak gdyby bez wieszczu. Tu i bez Mickiewicza można być sobą. Kimś – bez tożsamości.

Rzadki przywilej w Europie: być po prostu człowiekiem. Ruchomą sylwetką pełznącą przed siebie wzdłuż linii nieruchomego horyzontu, gdzie nawet nagła pika szczytu czy zapadnia wód nie zaburza linii poziomej, linii pra, sprzed czegoś, co doluje ku Ziemi, głębi, skale, a zderzone na jakimś pagórku z niebem – tak samo nieruchomym, zwisającym, jakby też wykutym w skale i utkanym z mgły, piargu i wody – przywodzi na myśl rzeczy pierwotne i uroczyste, jak polowanie, i jak kęпка mchu w pęknięciu głazu – prawdziwe.

Mile, schludne Szkotki tańczą z trójkątnymi chusteczkami w białoczerwonej kratce, wpiętymi we włosy z tyłu głowy. Wizyta w sali gimnastycznej Woodfarm High School, na przedmieściu Glasgow. Pod ścianą, na ławkach zestawionych w stół bankietowy, papierowe obrusy, małe kanapki na słonych biskwitach i nawet po małej szklance białego wina. Rubaszna tęga pani dyrektor długo zagaja po angielsko-szkocku, z czego nic nie rozumiem, poza podziękowaniami dla Komitetu Rodzicielskiego.

W imieniu Komitetu, z krzeseł ustawionych pod drugą ścianą sali, unosi się chuda niewiasta w okularach i wielokrotnie kłaniając się w naszą stronę wygłasza podziękowanie, z którego też nic nie rozumiemy. Poprzedniego wieczoru długo ustawialiśmy z Donaldem i jego bratem plansze na metalowych stojakach, ilustrujące „odradzanie się demokracji w krajach Europy Wschodniej”. Pośrodku – oczywiście – wielkie zdjęcie uśmiechniętego Havla. W patriotycznym odruchu nalegałem, żeby dać Wałęsę, ale Donald wpiercw twierdził, że odpowiedniego zdjęcia nie ma, potem plansze ustawione w węża zaczęły się nam przewracać, wreszcie, gdy znalazłem jak najbardziej „odpowiednie zdjęcie”, już było późno i „trzeba wracać”. Ale wystawa nie wzbudziła zainteresowania zebranych, w większości zaznajomionych z „odradzaniem się demokracji” z własnego doświadczenia. Profesorki z Petersburga ruszyły ławą do dzieci szczytać je w policzki i uczyć rosyjskiego. Za to na komendę chudej, Komitet Rodzicielski uniósł się z krzeseł i pod wodzą dyrektorki zaczął obchodzić plansze. Dwie młode mamy zatrzymały się przed fotogramem demonstracji na praskiej ulicy i przez chwilę z zaciekawieniem pokazywały sobie palcami szczegóły stroju pary czeskich dziewcząt.

Na wzgórzu, z dala od centrum – katedra w Glasgow. Ciężka normańska budowla z ciosanego kamienia, pociemniała, z krępą wieżą, bez wdzięku. Wnętrze niskie, częściowo w konserwacji, więc wszędzie rusztowania. Pomodliłem się na wymyślnym grobie wuja (wcale go tu nie pochowali), potem wracałem długą, biegnącą spadziście w dół ulicą tanich butików i sklepików ze starzyzną. W jednym zobaczyłem staroświecki patefon na wystawie – taki sam, marki Victrola, był u mnie w domu. We wnętrzu sklepiku – istna rozkosz! Na blaszanych regalikach pod ścianami sterty zakurzonych starych płyt sprzed wojny, i nowszych analogowych, i ściana kaset magnetofonowych sprzed dwóch dziesięcioleci z piosenkami jakichś zapomnianych brytyjskich rewelersów, Pata Boona i Connie Francis. Gdybym miał pociąg, cały ten kram zabrałbym ze sobą do kraju. Ale kupiłem sobie tylko kasetę z przedwojennymi piosenkami Ala Bowlly i orkiestrą Noble'a (za bajońską sumę 5,5 funta) oraz, taniej, Koncerty Brandenburskie orkiestry amsterdamskiej pod Mengelbergiem.

Wszystko wraca, nic nie przemija. To kłamstwo wymyślili różni zbawcy ludu (naziści, komuniści). Oni chcą, żeby ludzie wciąż zapominali, żeby żyli tylko tym, co jest. A wystarczy powrócić w to samo miejsce – i wciąż jest tamten czas, który nagle łączy się z tamtym czasem w nas. Jak bracia – czekali na siebie. Ulga, radość, połączenie, choćby już nie było dokładnie tym samym. A może właśnie dlatego. Ból poróżnienia polega na rozłączeniu tych dwóch czasów, które są jednym – tamten, pozostawiony wraz z miejscem, i tamten, w nas, który wciąż, bezskutecznie, przysypują nowe zdarczenia i twarze.

Rozjechane samochodami, rozdeptane adidasami joggujących studentów żółte, mokre liście alejek Kelvingrove Park. Z jednej strony omszałe głazy pną się po zboczach, do stóp Uniwersytetu – z drugiej łąka jeszcze zielona i ostrzyżona na zero zielone kule krzewów. Spiżowy pomnik Kelvina za metalową barierką, obok – Lister. W starych miastach uniwersyteckich (Oxford, Kraków, Bolonia) uniwersytety są rozdrobione, pochowane w gąszczu uliczek jak rodzyńki w cieście murów, bram, przejść. Ten tu wzniesiono na wzgórzu – góruje nad miastem neogotycką, ukoronowaną pi-

nakłami wieżą. Duma Glasgow.

Chłopcy są nieforemni, białoskórzy, z pryszczami i cofniętymi brodami. Dziewczyny wesole, tęgie, rude. Angielki wśród nich chude, z wysokimi wypukłymi czolami i małąkimi ukarminowanymi ustami, którymi jako „coś lepszego” leniwie poruszają z „manierą westminsterską” pod dużymi nosami.

Dziś rano, przed Stepek Institute, ujrzałem Davida! Serce zakołatało, obejrzałem się, a on leciał dalej w czarnym golfie, białych džinsach i czerwonych skarpetkach. Nie mogłem więc iść na wykład – za to poszedłem do tej ohydnej studenckiej kantyny, w której sprzedaje się lasagnę w kawalkach i podgrzewa w kuchence mikrofalowej, aż wyschnie na podeszwę. Ta twarz właściwie nie wzbudziła żadnego wzruszenia. Jakieś echo. Zaskoczenie. Głuchy, płaski obraz, jak z portretu Giorgione’a. Bez dźwięku. Jego profil był bardziej ze zdjęcia, niż z życia – rozsypane na czole proste ciemne włosy, szkła krótkowidza w tamtych, już dziś niemodnych oprawkach rogowych z lat siedemdziesiątych. Ale gdy myślę dłużej nad lasagną – wraca życie. Twarz staje się inteligentna, bystra – jak wtedy, w taksówce z Okęcia, gdy przyjechał na parę dni do Warszawy i zżywieniem oglądał z okna gierkowskie bloki. I wraca muzyka – Debussy rano. On przy wielkim fortepianie w małym pokoiku na Finchley, w którym musiał się też zmieścić materac. Ja w kocach; zamiast śniadania – kubek gorzkiej herbaty z mlekiem na podłodze. Rozrzucone na pudle fortepianu nuty. O serce, serce samotne, nie lituj się nad sobą. Ale ten deszcz, deszcz w Glasgow i gwar w kantynie, młodość wrzeszcząca do siebie z końca na koniec... Siedzę tu jak właściciel słoja z pijawkami – patrzą na mnie i nie wiedzą, po co tu przybyłem. Patrzą inteligentnymi oczami i natychmiast odczytują każdy znak, który mnie odróżnia od nich. Cała tamta przeszłość, dziesięć lat: Londyn, a zaraz potem przesłuchania, więzienie, proces brata, przyjazd papieża, nadzieja. Wieczory z bibułą na Przyryнку, matka, jej rozpostarte nad moim życiem skrzydła. Jej choroba, wylew, szalona wiara i bluźnierstwa, kochankowie, modlitwy, piosenki Josephine Baker, wóda i chore oczy moich pacjentów. Łono, w którym nas wciąż coś trzyma, w którym urodziliśmy się, spędziliśmy młodość i teraz, wciąż tam wtuleni – okropnie – samotnie się starzejemy.

Szkocka kelnerka, gdy szukam serwetek na stole:

– A napkin, a napkin for a BOY!

Teraz dopiero poczułem starość. Na dźwięk słowa, którym od dziesięciu lat już nikt mnie nie nazywa.

Grzegorz Musiał

Tym czasem (15)

139.

Złożony na szpitalnym łóżu nie uniknął toczonych na sali dyskusji o losie Polski i Polaków. Starszy, skądinąd sympatyczny i nawet dość w historii odczytany człowiek z łóżka naprzeciwko nie krył swych antyżydowskich poglądów: wszystkiemu złu w Polsce, a już szczególnie po roku 1989, winni są Żydzi. Nawet – nadal referując poglądy szpitalnego starszego pana – tak mądrego człowieka jak Czesława Bieleckiego Żydzi nie dopuszczają do głosu, uniemożliwiają mu realizowanie programu naprawy kraju.

Opuszczając szpitalne progi zwraca się więc do starszego pana:

- Muszę panu, panie Władysławie, sprawić przykrość.
- A dlaczego? – pyta pan Władysław.
- Mówił pan, że lubi pan Bieleckiego.
- A lubię.
- Bo widzi pan... A to przecież Żyd. Sam o tym mówi.
- No nie mów pan – pan Władysław trzęsie głową jakby przed chwilą ktoś go potężnie zdzielił pałką.

140.

Przed laty, omawiając poezję stanu wojennego, pisał, że Polacy doskonale nauczyli się w ciągu dwóch stuleci odróżniać między państwem i ojczyzną: kraj, w którym żyli – wyjąwszy międzywojenne dwudziestolecie – to było obce państwo, którego z ojczyzną nie utożsamiali. To samo, rzecz jasna, dotyczyło PRL. PRL była obcym państwem, ojczyznę odnajdywało się poza strukturami politycznymi kraju, przede wszystkim w jego kulturze, w literaturze może widoczne to było najdobitniej. Dziś do tego rozróżnienia powracają publiczności rozważający stosunek między Polską obecną i PRL. Otóż, myśli, najogólniej rzecz ujmując można powiedzieć, że w III Rzeczypospolitej ojczyzna Polaków odzyskała swoją państwowość, zrzuciła narzuconą jej formę „nibytu” (by przywołać tytuł zbioru utworów Roberta Tekielego) politycznego.

Lecz czy przyobkleła się już w formę nową? To pytanie, sądzi, jest wciąż jeszcze pytaniem otwartym, nierozstrzygniętym. Ojczyzna Polaków znajduje się jeszcze ciągle w stanie zaszokowania wolnością, zaś sami Polacy jeszcze nie do końca wiedzą, co z ową wolnością czynić. Niektórzy sądzą, iż tej wolności jest jakby nadmiar. Tak sądzi na przykład poseł Jan Maria Rokita, który na łamach „Gazety Wyborczej” stwierdza: „Polska cierpi na niedosyt poważnej debaty o granicach wolności. Polityków mówiących o konieczności określenia tych granic często oskarża się o chęć ideologizacji państwa i wprowadzenia ustaw, które zlikwidują demokrację. (...) Jakże są społeczne mechanizmy autocenzury w kraju, w którym nie ma grama odpowiedzialności za słowo? Ktoś wreszcie musi mieć odwagę powiedzieć, że autocenzura w wolnościowym ładzie publicznym jest wielką wartością, bez której ów ład może się załamać.”

Wypowiedź posła Rokity, zauważa, dowodzi tylko jednego – tego mianowicie, że Polska cierpi na niedosyt precyzji w toczącej się debacie na temat wolności. Pomysł ograniczania wolności (bo czymże innym miałyby być owa „debata o granicach wolności”?) jest pomysłem prowadzącym do likwidowania wolności. Podobnie jak owo słynne pytanie powtarzane do znudzenia przez komunistyczną propagandę w PRL: „O jaką wolność wam chodzi?”

Język publicznego dyskursu jest u nas wciąż skażony ideologią. Bo nie o granice wolności chodzi tak naprawdę, lecz o to, jak w przestrzeni odzyskanej wolności nie mylić jej z samowolą i dowolnością – to trzy różne pojęcia doskonale w wypowiedzi posła Rokity ze sobą pomyłone. To samo dotyczy takiego pojęcia jak autocenzura, które oznacza ustanawianie dla swych wypowiedzi jakichś tabu, tematów zakazanych, co w istocie niewiele ma wspólnego z odpowiedzialnością za słowo, której to odpowiedzialności zresztą – tak mu się przynajmniej wydaje – zabrakło też i posłowi Rokicie.

Szok wolnościowy w Polsce, dodaje, polega na tym przede wszystkim, iż olbrzymia większość wciąż jeszcze nie rozumie, iż zwiększenie swobód oznacza zarazem zwiększenie ryzyka, a tym samym zmniejszenie poczucia bezpieczeństwa. Lecz szok wolnościowy polega także i na tym, że wolność łatwo myli się z samowolą. Wolność to wszak i dyscyplina, a tej Polacy raczej nie cenią sobie. Ale też dyscyplina – będąca wszak warunkiem odpowiedzialności – nie musi od razu oznaczać autocenzury: nie jest wszak w dyskursie publicznym autocenzurą stosowanie się do norm gramatyki, choć z pewnością normy te ograniczają swobodę wypowiedzi, utrudniają autoekspresję.

Jedno (kończy już te uwagi) zdaje się nie ulegać wątpliwości: Polska potrzebuje większej dyscypliny językowej, dookreślenia znaczeń pojęć, jakimi posługują się politycy i dziennikarze. Dość zabawny przykład braku tej dyscypliny odnaleźć można na łamach publikującej dyskusję o polskiej prawicy „Gazecie Wyborczej”, z której to dyskusji wyjęty został fragment wypowiedzi posła Rokity. Oto inny rozmówca, Jarosław Kaczyński, stwierdza: „Co ma zamknięcie «Nie» do państwa wyznaniowego? Jestem zdecydowanym przeciwnikiem państwa wyznaniowego i zarazem zwolennikiem działań administracyjnych prowadzących do likwidacji tego typu gazet”. Redakcja eksponuje tą wypowiedź dokonując jednocześnie jej delikatnej, lecz dość silnie ją zniekształcającej przeróbki: „Jestem zdecydowanym przeciwnikiem państwa wyznaniowego i zarazem zwolennikiem działań prowadzących do likwidacji pism typu «Nie»”. Ktoś, kto nie przeczyta całości, mógłby to rozumieć jako przyzwolenie podjęcia w s z e l k i c h działań przeciw tygodnikowi Urbana, co wydaje się nie do końca zgodne z wypowiedzią Kaczyńskiego.

Jeśli zaś chodzi o odpowiedzialność za słowo, warto, myśli, zadedykować posłowi Janowi Marii Rokicie taki oto fragment rozważań o literaturze polskiej pióra Jerzego Pietrkiewicza: „Co stanowi zatem te nieprzekładalną osobliwość, która utrudnia zrozumienie wielu polskich utworów, i skąd się ona wywodzi? Mam wrażenie, że można dojść do wyjaśnienia przez analizę „wewnętrznej cenzury” (...). Przez wewnętrzną cenzurę rozumiem tu nie ograniczenia narzucane przez społeczeństwo czy rząd, ale coś, co sam artysta narzuca swojemu dziełu; czyniąc to, rezygnuje z części swojej swobody, a także wchodzi w kompromisy ze swą elementarną uczciwością. Nie utożsamiam oczywiście takich praktyk z usiłowaniem artysty, aby pozostać w granicach swoich indywidualnych możliwości. W literaturze, pewnie w większym stopniu niż w innych sztukach, tego rodzaju powściągliwość może być tylko godna zalecenia, bowiem dodaje siły formie. Wewnętrzna cenzura działa całkiem inaczej: przytłumia lub modyfikuje te elementy, które są ogranicznym składnikiem dzieła.

W dodatku może w skrajnych przypadkach zniekształcać początkowe zamierzenie, przeobrażając akt tworzenia w akt zdrady”.

141.

Usłyszał głos Autocenzury: – Przestań z tą polityką.

Odpowiedział natychmiast: – To niech ona ze mną przestanie!

142.

Autocenzury czy cenzury wewnętrznej wyzbył się Andrzej Szczypiorski, a uczynił to w „kwestii polskiej”, która w Polsce przybiera postać „kwestii żydowskiej”. Problem ten zresztą mężczy autor *Początku* już od dawna, czego dowodem nie tylko jego utwory literackie z doskonałą *Mszą za miasto Arras* na miejscu pierwszym, lecz także publicystyka: jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych opublikował on na łamach paryskiej „Kultury” świetny esej *Polacy i Żydzi* (1979 nr 5). Teraz kontynuuje swe rozpoznania w „Gazecie Wyborczej” pisząc: „Przez wiele lat sądziłem, że Marzec przygotowali i kunsztownie przeprowadzili moczarowcy (...). Jednakże po namyśle, który trwał dość długo, bo lata całe, doszedłem do przykrego wniosku, że byłem zbyt prostoduszny. (...) Budowałem misterną konstrukcję usprawiedliwień, powtarzając sobie jak zakłęcie, że to nie Polska polskich Żydów wtedy wygnała, ale Moczar i jego poplecznicy, gomulkowska dyktatura komunistyczna. Dzisiaj mam trochę inny pogląd. Nie da się ukryć, że sprawia on ból”. Oto treść tego „trochę innego poglądu”: „Ale żaden aktyw, żaden aparat, żaden Moczar nie byłiby w stanie tego przeprowadzić bez przyzwolenia pewnej części społeczeństwa, bez współudziału ludzi, którzy w nagonce uczestniczyli, choć sami z niej żadnych profitów nie wnosili, a nawet przeciwnie, bo przecież Marzec wzmacniał totalitarne skrzydło władzy komunistycznej, co już wtedy widać było gołym okiem”. Żadna też „wewnętrzna cenzura” nie hamuje oskarżeń, które kieruje Szczypiorski do bohaterskich i skądinąd patriotycznych środowisk AK-owskich: „I oto nagle, niemal z dnia na dzień, okazało się w roku 1968, że nasz antysemityzm jest wciąż obecny, żywy i agresywny. Demonstrowali ten antysemityzm także ludzie z AK. Wielu z nich murem stanęło za Moczarem, „naszym kochanym kolegą – partyzantem”, jak pisał generał Radosław, jeden z legendarnych przywódców AK, bohater Powstania Warszawskiego”.

Czytając dalej ów szkic odnajduje słowa niezwykle ważne, godne szczególnej uwagi tu, w Polsce: „Antysemityzm był zawsze w historii świadectwem głupoty i ciemnoty ludzkiej, następstwem społecznej frustracji i upodlenia. Ale w drugiej połowie XX wieku stanowi coś więcej – jest dowodem moralnego upadku. (...) Po Zagładzie każdy, nawet najdrobniejszy akt antysemityzmu, wszelka wrogość wobec Żydów powinny być sądzone jak przestępstwo”. Ważny, myśli, jest patos tej wypowiedzi w Polsce, wszelako, by nie popadać w skrajność, warto dodać, że dotyczy to wrogości wobec Żydów jako Żydów właśnie, a nie tej skądinąd mającej realne podstawy dzisiejszej wrogości Palestyńczyków wobec Żydów jako okupantów ich ziem na Bliskim Wschodzie: żadne uogólnienie nie jest prawdą, zaś zdanie Szczypiorskiego wyrwane z historyczno – geograficznego kontekstu staje się czężą formułką; dlatego też warto rozróżnić między antysemityzmem a wrogością wobec Żydów – to nie zawsze jest to samo, choć w Polsce na ogół są to niestety pojęcia stanowiące synonimy.

143.

A swoją drogą, myśli, może nadszedł dziś w Polsce czas pogłębionej refleksji nad znaczeniem i sensem Zagłady. Może musiało minąć pół wieku nie tylko po to, by opanować emocje z tym doświadczeniem związane, lecz i po to, by móc dotrzeć do jego istoty. Po części ma rację Szczypiorski, gdy pisze, że zrozumienie uniwersalnego sensu owego doświadczenia jest akurat w Polsce szczególnie utrudnione, gdyż właśnie w tym kraju mniejszość żydowska przez stulecia zdołała rozwinąć wyjątkową wprost aktywność kulturową, a także i dlatego, że na tych ziemiach znalazło się centrum Holocaustu. Nie jest też przypadkiem, że podejmujący w *Kamieniu granicznym* trud rekonstrukcji „biblii absurdu” czyli „biblii Zagłady” Piotr Matywiecki czyni to po polsku i wydobywa z getta zdania po polsku formułowane – być może tylko w tym języku, nie zaś jidisz czy hebrajskim, doświadczenie zagłady znalazło pełnię wyrazu, także zresztą literackiego, gdy brać pod uwagę opowiadania Idy Fink, których siła artystyczna wielokrotnie przewyższa moc głośnej powieści Kosińskiego *Malowany ptak* pisanej po angielsku.

Myśli o tym wszystkim czytając książkę Jacka Leociaka *Tekst wobec Zagłady (O relacjach z getta warszawskiego)*, której autor próbuje wydostać się z emocjonalnej na „badawczą” czyli beznamiętną płaszczyznę odczytywania tekstów pochodzących „stamtąd”: „Główną dyrektywą metodologiczną jest dla mnie analiza dyskursu, a nie rekonstrukcja faktów. (...) W centrum moich zainteresowań badawczych stoi przede wszystkim t e k s t, a nie w y d a r z e n i a, o których komunikuje”. I dalej, jakby się usprawiedliwiając z owej beznamiętnej „postawy badawczej”: „Badanie «teksto-wości» świadectw Holocaustu nie jest nietaktem, pozwala natomiast skuteczniej dociekać sensu zapisów, które pozostawili nam świadkowie Zagłady”.

Tu już, myśli, znajdujemy się w dość interesującym miejscu naszej refleksji nad własnym losem. Zaczynamy s t u d i o w a ć Księgę Zagłady tworząc różne szkoły jej interpretacji, zaś Księga, jak to zazwyczaj w takich wypadkach bywa, obrastać zaczyna interpretacjami i nadal pozostaje na swój sposób „zamknięta”, jest nie-do-odczytania. Nadto wciąż jeszcze nie znamy jej ostatecznego kształtu. Propozycja Matywieckiego jest dopiero pierwszą tak serio podjętą próbą stworzenia kanonu. Czy ten kanon da się zamknąć jedynie w języku polskim, który jednak, co wynika tak z dociekań Leociaka, jak z innych świadectw, jest językiem najbliższym mowy oryginału? Warszawskie getto nie jest w końcu jedynym obszarem Zagłady, choć bez wątpienia – także ze względu na rozmiar i znaczenie Powstania z roku 1943 – jest miejscem centralnym.

Myślę, myśli, że dopiero dzisiaj, pięćdziesiąt lat po tym, co się tu wydarzyło, zaczynamy powoli rekonstruować zarówno teksty, jak wydarzenia. Przy czym można wskazać wiele takich prób: książki Hanny Krall, *Umschlagplatz* Jarosława Marka Rymkiewicza, *Zagładę* Piotra Szewca. Wydaje się, myśli dalej, że to wszystko chyba nie było możliwe wcześniej, przynajmniej w takiej skali, choć nie brak i wtedy prób: przede wszystkim w twórczości Grynberga czy Wojdowskiego, także Adolfa Rudnickiego, ale również w *Odczytaniu popiołów* Ficowskiego. W tej chwili jednak – próbuje odnaleźć słowną formułę dla swoich intuicji – właśnie w tej chwili chyba owe uprzednie rozpoznania, których wagi przecież niepodobna podważyć, zyskują, przez kontekst, jaki dają im *Kamień graniczny* czy *Tekst wobec Zagłady*, nowy wymiar.

144.

Wynotowuje z „Gazety Wyborczej” z dnia 31 marca 1998 roku: „Dziś amerykańska agencja kosmiczna NASA oficjalnie rozpoczęła poszukiwania drugiej Ziemi, ucze-

ni spierają się o istnienie życia na Marsie, a w kwietniu centrum badawcze Ames NASA otworzy instytut astrobiologii”. Pomijając pokraczność stylistyczną tej informacji, myśli, jest ona czymś, czego spodziewać się można było już od dawna.

145.

W czasie jazdy taksówką słyszy się od kierowcy, że tenże oczywiście nie przeciw Żydom nie ma, lecz po co, panie, oni się tak chowają, przed wojną była gmina, była mniejszość, to człowiek od razu wiedział, z kim ma do czynienia. No tak, myśli, idea „oznakowania” ludzi pochodzenia żydowskiego trafiła na dobry grunt. Pyta więc taksówkarza: – Panie, a co by pan powiedział na pomysł, żeby wszyscy ludzie pochodzenia polskiego na świecie musieli być „oznakowani”? Byłby pan zadowolony, gdyby tak kazano się wyróżniać Polakom w USA? Taksówkarz chwilę milczy, a potem: – No nie, wie pan... No, to jest problem, wie pan...

Wiem, myśli, wiem dobrze, że to jest problem, bo to jest problem, ale tylko wtedy jest to problem, gdy się wie, iż jest to problem. Ten taksówkarz już wie.

146.

Myślenie o Polsce, myśli, może być emocjonalne i może być prawno-państwowe czyli polityczne. Myślenie o Polsce w kategoriach politycznych, dodaje, musi wykluczyć myślenie o takich pokracznych tworach jak Królestwo Polskie czy Polska Rzeczpospolita Ludowa. Dlatego, konkluduje, tak ważna jest uchwała Senatu RP z kwietnia 1998, w której napisano: „Senat stwierdza, że akty normatywne stanowione w latach 1944-89 pozbawione są mocy prawnej, jeśli godziły w suwerenny byt państwa polskiego lub są sprzeczne z zasadami prawa (...), znajdującymi swój wyraz w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Dotyczy to szczególnie aktów normatywnych, naruszających podstawowe prawa i wolności obywatelskie. Zaliczyć do nich należy również akty pozbawiające obywatelstwa polskiego, czyniące z prawa karnego narzędzie prześladowania ludzi walczących o niepodległość lub różniących się przekonaniami światopoglądowymi, a także akty, na podstawie których dokonano niesprawiedliwego pozbawienia własności”. Uff – zauważa na koniec – długo przyszło na to czekać.

147.

Będziesz czekać?

Będzie szczekać!

148.

Przypomniał sobie nagle gry i zabawy z czasów młodości:

O K O Ł O
Ł K
O W O
K Ł
O Ł O K O

I wreszcie:

n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura
n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura
n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura
n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura
n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura
n n n n
ce zura ce zura ce zura ce zura

Kto dziś jeszcze, zastanawia się, pamięta o polskiej poezji konkretnej? W Polsce sam Stanisław Dróżdż, jeden z jej najbardziej aktywnych twórców, wciąż aktywny – ostatnio brał udział, z powodzeniem, w wystawie w Budapeszcie. Jedną z jego prac wyeksponowaną została także w wielkiej hali w czasie wiosennych międzynarodowych targów książki w Lipsku w 1998 roku jako jedno z dzieł zamówionych przez organizatorów. Sam ma też pomysł takiego zaaranżowania przestrzeni: białe pomieszczenie, zamknięte, zaś na jego ścianach, suficie i podłodze wydrukowane lub wyklejone, porozmieszczane pozornie chaotycznie litery K L A T K A.

Gdzieś niedawno przeczytany wywiad z Andrzejem Partumem – jednym z pierwszych niezależnych w PRJ., dziś artystą żyjącym na stypendium Królestwa Danii...

149.

Piękne, małe uniwersyteckie miasteczko południowych Niemiec, Freiburg – lubi takie małe uniwersyteckie miasteczka, Getyngę, Heidelberg. Bierze udział w spotkaniu pisarzy z Francji, Niemiec i Polski. Spotkanie zatytułowane zostało „Trialog”, zaś organizuje je dr Ludwig Krapf, którego poznał przed laty, gdy został przezeń zaproszony do udziału w innym międzynarodowym poetyckim festiwalu we Freiburgu. Tak jak wówczas, teraz także czytaniu i dyskusjom poetów przysłuchiwała się spora grupa mieszkańców Freiburga, co już samo w sobie jest dziś zjawiskiem niecodziennym – na spotkania z poetami przychodzi bowiem na ogół ledwie kilkoro słuchaczy. I oto tu, we Freiburgu, w małym niemieckim uniwersyteckim miasteczku poetyckie świąty odwiedzone są przez wielu na raz turystów.

W czasie tego spotkania rozmawia ze swym rówieśnikiem, mieszkającym w Paryżu poetą Jacquesem Jouet, który co prawda nie mówi po polsku, ale wraz z panią Dorotą Felman przełożył na francuski *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Sam pisze należące do, jak to nazywa wraz ze swymi kolegami, „literatury potencjalnej” czy „literatury możliwej”. Jest członkiem grupy literackiej OULIPO (Ouvroir de Litterature Potentielle). Wiersze swoje nazywa „wierszami metra” (w tłumaczeniu Doroty Felman są to „wiersze – metro”). W wierszu zatytułowanym „Czym jest wiersz – metro” pisze: „Wiersz – metro jest wierszem ułożonym podczas jednej podróży metrem. / Wiersz – metro ma tyle wersów ile przystanków liczy przejazd, minus jeden. / Pierwszy wers układamy w głowie, między dwiema pierwszymi stacjami (wliczając stację odjazdu). / Spisujemy go kiedy wagon zatrzymuje się na stacji numer dwa”. Jak widać, Jouet

narzuca swemu pisaniu spore ograniczenia: czas układania wersu jest ściśle określony przez czas ruchu pojazdu, raz zapisana wersja nie może być zmieniona.

Rzecz w tym, stwierdził w czasie dyskusji, że pisanie poezji zawsze podporządkowane jest jakimś ograniczeniom: sam wiersz, jego forma, jest narzuceniem sobie jakiejś dyscypliny. W dalszej rozmowie pojawił się problem pisania „dobrych tekstów” – to jedyny cel literatury, jedyne jej zadanie. Czy naprawdę? Otóż, odpowiedział, to niebezpieczna utopia: utopie są niebezpieczne. Są tacy, którzy wierzą w konstruowanie utopii, są też tacy, którzy wierzą w co innego – w możliwość zatopienia się w marzeniu. Utopie są nieludzkie, marzenia ludzkie, lecz niewyraźne tak, jak niewyraźna jest realność doświadczenia sennego. Przekonanie o tym, że literatura to rodzaj inżynierii językowej służącej konstruowaniu „dobrych tekstów”, przekonanie o tym, że literatura – czy w ogóle sztuka – ma być suwerenny, otóż takie przekonanie to pozostawanie w świecie utopii, w świecie nieludzkim, jałowym, martwym za życia.

Leszek Szaruga

Zbigniew Żakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (1)

MOJE MOŁODECZNO LEŻAŁO niecałe trzydzieści kilometrów od bolszewickiej granicy. Graniczna stacyjka Radoszkowicze / gdzieś niedaleko znajdowało się rodzinne gniazdo Żakiewiczów – mego dziadka i ojca, ochrzczonych w Radoszkowiczach/ była końcem naszego świata. Świadomość tej bliskości ciążyła nad nami podobnie, jak mieszkańcom Sycylii czy Neapolu musi ciążyć zamieszkiwanie pod wulkanem. A jednak żyło się nam niefrasobliwie, w prowincjonalnym rytmie leniwego upływu czasu, z wiarą, że tak naprawdę życie jest niezniszczalne.

Pierwszego września. Pierwsze naloty z Prus Wschodnich były dla miasteczka atrakcją: bomby spadały w błota koło stacji kolejowej. Z koszar w Helenowie wyszerowała piechota wchodząca w skład 19 Dywizji, aby niezadługo walczyć i ginąć pod Piotrkowem Trybunalskim. Wojna była daleko. Wszyscy czekali na Francuzów i Anglików. I oto skoro świt 17 września do okien naszej sypialni ktoś gwałtownie zapukał. Była to córka Bokszezanina: zaprzyjaźnionego z naszą rodziną od pokoleń komendanta policji w Mołodecznie. – „O świecie bolszewicy przekroczyli granicę pod Radoszkowiczami!”

Miałem wówczas siedem lat. Data 17 września utkwiała w mej pamięci, niby jesienny owoc zalany w gęstej żelatynie. Pierwszym odruchem rodziców było uciekać do Wilna. Zaczęły się narady z urzędnikami ze starostwa, mieszkającymi obok w dwóch nowych blokach: – co robić? Narady były gorączkowe, gdyż ostatnie pociągi właśnie wyruszały do odległego o 60 kilometrów Wilna. Wreszcie uznano, że nie jest aż tak

źle – wszak bolszewicy nie wypowiedzieli wojny. Były też glosy, że może idą z pomocą, w końcu Rosjanie to też Słowianie...

Minął prawie cały dzień. Bolszewików nie było. Uciekła tylko policja i nasz sąsiad, pan Sarnowski – komendant „dwójki” z dwiema córkami i żoną. Jak się później okazało, mieli gotowe dokumenty i drogą przez Bałtyk dotarli do Anglii. Stojący obok murowany domek, gdzie mieściła się „dwójka”, zaczął dymić. Podpalono tajne dokumenty i całe wyposażenie „drugiego wydziału”. Właściciel domu pan Gulewicz pożar ugasił i do dziś dnia nie wiadomo, w jakim stopniu przysłużył się on nowym władzom.

Wreszcie pod wieczór traktem Mińsk – Wilno, którym niegdyś maszerowały wojska Napoleona, zgrzytając gaśnicami, nadjechały potężne czołgi. Schroniliśmy się do obmurowanej kamieniami piwnicy, zbudowanej pod naszym domem, dużym domem – dworem. Ziemia drżała pod ciężarem potwornych, niekształtnych machin: zdawało się, że wali się cały świat. Opuszczone koszary w Helenowie milczały. Dopiero później, przez dwie kolejne noce, w lasach pod Helenowem rozlegały się ciężkie serie z CKM-u. Tak po 20. latach po raz ostatni odezwała się polska piechota, ci nieliczni pozostawieni do pilnowania koszarów.

Wieczór 17 września i dzień następny zwały się w mojej pamięci w jedno pasmo dziwności i przerażenia. Na naszej uliczce pojawili się żołnierze w długich, burych szynelach i w dziwnych spiczastych czapkach. Przez ulicę cwałowały małe, włochate koniki. Wechodzili do budynku „dwójki” jacyś mężczyźni w burec przerzuconej przez ramię, w wysokich papachach z malinowym denkiem. Ktoś poradził, zapewne miejscowi komuniści, ażeby wywiesić czerwone flagi. Pamiętam, jak obrywało się biały płat z polskiej flagi i pozostawała wąska, czerwona flaga zwycięzców. Już w pierwszym dniu politycy łamaną polszczyzną uspokajali urzędników ze starostwa, że dobrze zrobili pozostając na miejscu. I niech natychmiast zgłaszają się do pracy. „Nam tacy są potrzebni”... Urzędnicy jako jedni z pierwszych padli ofiarą aresztów i wywózki do Kazachstanu i syberyjskich łagrów.

Moja pierwsza rozmowa z czerwonoarmistą. Do naszego dużego domu z czerwoną płachtą zbliżył się niepozorny, szary soldacik w spiczastej „budzionówce”. Wskazując palcem na dom, spytał: „Zdzieś balnica?” Ja zaś zrozumiałem, że żołnierz pyta, czy mamy balię do prania, nie wiedząc, że „balnica” to szpital. „Nie, my balii nie mamy” – odparłem wbrew prawdzie, gdyż mieliśmy ogromną drewnianą balię, gdzie mnie kąpała mama i gdzie prało się bieliznę.

Wróciłem do domu i wczółgałem się pod kanapę, czując się tam bezpiecznie, głęboko zasnąłem. Nie wiem jak długo spałem. Zrozpaczeni rodzice rozpoczęli poszukiwania w całej okolicy. Kiedy wyczółgałem się spod kanapy nawet nie dostałem lania. Matka płakała długo i rzewnie.

Te pierwsze godziny i dni przypominały się mi, gdy oglądałem uroczystość odsłonięcia symbolicznych krzyży wywożonych na kolejowej platformie na Wschód. Musiało być tych krzyży prawie dwa miliony. Wreszcie doczekaliśmy się symbolicznego zadośćuczynienia. Lecz większość z nas, w tym moi rodzice, już do tych czasów nie dożyli.

W DZIECIŃSTWIE, TYM WCZESNYM, jeszcze przedwojennym, bardzo lubiłem chorować. Dziś wracam do tych łagodnych, melancholijnych godzin ciszy i ukojenia, które królowały wówczas w naszym dużym, drewnianym domostwie, jak do okresu szczęścia.

Chorowanie wiązało się z późną jesienią i wczesną wiosną. Były to grypy, anginy na które zapadałem regularnie. Działo się tak, jakbym czekał aż z lipowej alei opadną liście, sad się ogoloci, ziemia skisnie od wiecznego blocka, dzień skróci się do ośmiu

godzin. Albo znów – przyjdą pierwsze marcowe odligi i wszechobecny śnieg podej-
dzie wodą – aby położyć się do łóżka.

Pierwsze dni choroby były ohydne: całe zło świata, cały demonizm mego prze-
wrażliwionego i neurotycznego dzieciństwa, jakby w tym czasie właśnie domagał się
zapłaty i zadośćuczynienia. Szarpany wysoką gorączką, obolały, z obłożonym gar-
dłem i siąpiącym nosem wpadałem w chorobliwy ni to sen, ni to czuwanie. Zrywa-
łem się z krzykiem gnębiony wspomnieniem męczzonej kotki, swymi winami wobec
matki, ojca, służącej Mańki.

I dopiero w czas rekonwalescencji czułem się szczęśliwy: właśnie w ciszy, ukoje-
niu i w pełnym bezpieczeństwie. I ten czas najmocniej zapamiętałem, gdyż nigdy czło-
wiek nie przestaje tęsknić za rajem. Bowiem jeszcze przed nami dojrzewanie, jeszcze
nie dzielimy się na pół: na tych co są mądrzy wiedzą szkolną i nie naszą. Jesteśmy ty-
mi, którymi rządzi natura. I wychodząc z choroby odczuwamy błogosławione osła-
bienie, ale zmysły mamy wyostrzone, świat jest aksamitny, dotykalny i nie raniący.

Boso biegnę do gabinetu ojca, za co dostanę burę, aby stamtąd ze zdumieniem
patrzyć na dziwny, odmieniony sad. Na lipowe aleje o czekoladowych gałęziach. Na
dziwaczne gawrony na topniejącym śniegu i na idącą aleją kobietę, która wydaje się
być równie tajemnicza i piękna. I moja cielesność łączy się z tym zaokiennym świa-
tem, i z tym – w moim pokoju, gdzie w wysokim, bielonym piecu z XIX stulecia trza-
skają brzożowe lub jodłowe polana, pachnie świerkiem i świeżością. Czuję się
bezpieczny, gdyż otacza mnie czujna troskliwość matki, z jej kwiatem lipowym pi-
tym na poty, z gorącym mlekiem z masłem i miodem. Mogę kaprysić z jedzeniem
i nie tylko, albowiem, czuję, że – j e s t m i w s z y s t k o w y b a c z o n e ...

W czasie choroby przeszedłem dziwny proces, jakby odkupienia za swe dziecięce
grzechy, za swój demonizm, który polegał na dziecięcym egocentryzmie i chciwości
w zawładnięciu światem. W czas rekonwalescencji zaczyna się jakby nowe życie. Bli-
scy wszystko mi wybaczyli, bo przecież są kochający, ale ja tego nie dostrzegałem tak
bardzo zaprzątnięty sobą. Teraz leżąc, osłabiony przykrą gorączką, wrażliwy, odczu-
wający bezpośrednio, odbieram ich dobroć i miłość. Obiecuję sobie, że gdy tylko wsta-
nę z łóżka „więcej tego już nie zrobię”. Będę dobry i posłuszny, nie będę dokuczał
Mańce, ani męczył naszą kotkę, a z kolegą z biednego domu podzielić się chałwą.
Postanowienia przychodzą mi tym łatwiej, że widzę tę rodzicielską dobroć, która nie
ma granic w wybaczeniu. I ja już jestem nieco inny po tym ciemnym doświadczeniu
pierwszych dni wysokiej gorączki.

Oczywiście, po jakimś czasie, gdy wygrzebałem się z łóżka wszystko było jakby po
staremu. Powtarzałem te same grzeszki i niecne uczynki, ale przecież posunąłem się
o krok w dojrzewaniu duchowym. W zrozumieniu istoty swej natury która potrze-
buje, aby jej w y b a c z a n o. Wówczas i człowiek sam sobie potrafi wybaczyć, go-
dzić się z sobą takim j a k i m j e s t n a p r a w d ę. I tak krok po kroku do
dojrzałości, a za nią tolerancja człowieka chylącego się ku starości...

DWIE BITE GODZINY STRASZLIWEGO WIDOWISKA: film Leni Riefenstahl
„Triumpf Des Willens” – „Tryumf woli” nakręcony w Norymberdze w 1934 roku,
nagrodzony w faszystowskiej Italii na międzynarodowym festiwalu w Wenecji w 1935
roku.

Jest rok 1934, na początku września faszyci organizują wielki zjazd partyjny
w przesyconej duchem dawnych wieków Norymberdze, w mieście świątyń i gotyku,
i równocześnie mieście, w którym budowniczy Wielkiej Rzeszy Albert Speer tworzy
gigantyczny stadion obliczony na setki tysięcy ludzi. Stadion jest zwieńczony czynn

na kształt kamiennego ołtarza – trybuny, do którego prowadzą szerokie, wielkie schody. Nad nim góruje kamienny orzeł trzymający w szponach swastykę otoczoną laurowym wieńcem. Kapłanem tego ołtarza jest führer Adolf Hitler. Na dwóch niższych, bocznych postumentach pojawiają się najbliżsi pretorianie boskiego cezara: Himmler, Hess, Goering.

Leni Riefenstahl, niegdyś tancerka, alpinistka, sportowiec, ponoć piękna kobieta i wybitny reżyser, która do dziś dnia fascynuje specjalistów od filmu swą „perfekcyjną techniką montażu”, miała do dyspozycji ekipę filmową liczącą 120 osób, w tym 30 operatorów. Nakręcono kilometry taśmy w ujęciach z lotu ptaka, z perspektywy żaby itd. Filmowano też bez ustanku samego cezara – Adolfa Hitlera, który darząc wielkim zaufaniem piękną Leni, pozwolił aby kamery (wówczas na wózkach jeżdżących po specjalnie ułożonych szynach) objeżdżały go i oglądały ze wszystkich stron.

Film zaczyna się z perspektywy orlego lotu, gdy führer leci samolotem z Berlina do Norymbergi. Spiętrzone romantycznie obłoki, ostry profil Hitlera: miasto w dole jeszcze uśpione, ale oto ożywa, budzi się, aby wpaść w spazmatyczny rytm „triumfu woli”, który będzie trwał bodajże przez cały tydzień. Tu już nie ma miejsca dla osoby, dla człowieka, albowiem Osobą może być jedynie Adolf Hitler. Tu są tylko Masy – gigantyczne ludzkie Masy. Ta ludzka masa nie jest jednak tłumem, ona też stanowi Osobę, gdyż kieruje nią jedna Dyscyplina – geometryczny, nieludzki porządek. Oraz jeden Entuzjazm. To już nie są ludzie: – stoją, idą jakieś gigantyczne ciastka ułożone z męskich ciał. Jakieś romby, czworoboki, kwadraty, maszeruje olbrzymia taśma ze starożytnymi proporcjami, lecz nie są to rzymscy legionści. To jest NSDAP.

Film kończy się długą, nieco nużącą kadencją defilady ulicami Norymbergi przed wodzem, który samotnie stoi w odkrytym kabrioletcie. Maszerują różne formacje. Wąłą buciory o bruk starożytnej Norymbergi, w oknach radosne twarze mieszczuchów z ręką wzniesioną w faszystowskim pozdrowieniu. Wybuch euforii – w perspektywie ulicy widzimy tuman kurzu wzbijany ni to marszem ni to natchnionym tańcem: – idą „czarne anioły” SS-mani! Jeszcze bez broni, podobnie jak poprzednie oddziały, lewa ręka założona za pas, prawa w rozmachu marszowym, a u dowódców – z bojowym sztylcikiem. Prowadzi ich lekko brzuchaty okularnik Himmler, stara się być prężny jak jego chłopcy. Czarne sprężyny tańczą za nim, rozpiera ich woła walki i zwycięstwa. Są samym triumfem woli!

Przemówienia Hitlera są krótkie. Zaczyna spokojnie, aby wpaść w euforię. Ta euforia udziela się Osobie-Masie. Osoba-Masa skanduje krótkie dynamiczne – heil! A gdy Hess mówi, że führer to Naród, a Naród to führer Osoba-Masa wybucha grzmotem jednego okrzyku miłości i uwielbienia. Twarz Hitlera: jest lekko puculowaty, zapaśiony, czarny wąs podobny do szczotki, nos ostry jak trójkątny dziób, włosy wybrylantowane, spojrzenie ciemnych oczu silne, czasami wręcz histeryczne. Parę razy (co na to reżyser, piękna Leni) twarz ta przybiera maskę kabotyńskiego rozkwitlenia. Nad sobą? Nad oddanym mu narodem?

Nie minęło jedenaście lat i uczestnicy tego straszliwego widowiska zostali zmiełeni przez żarna wojny. Większość pięknych chłopców i mężczyzn zaslala swymi ciałami przestrzeń od Wolgi aż po kanał La Manche.

Dyskutowano w „Żaku” czy film jest arcydziełem i czy piękna Leni była tylko obiektywnym okiem, sama bez winy? Nie ulega wątpliwości, że Riefenstahl była zafascynowana faszyzmem. Jak się czuła stara kultura w tej muszli starożytności, w Norymberdze? Piękna tancerka, sportsmenka, alpinistka musiała wierzyć w nowe dynamiczne czasy, w nowoczesny XX wiek, któremu imię nada faszyzm.

Pomyślałem wówczas, że większe zbiorowiska ludzi gromadzi dziś Jan Paweł II. Ale

jakże inny duch panuje w tej ludzkiej gromadzie. Papiież jest Kapłanem, a zgromadzone tłumy stają się żywym Kościołem. Tam był demonizm triumfu woli skierowanej ku samoumiłowaniu się narodu. I stała się ona siłą niszczącą ten naród. Czarny Kapłan otrul się cyjankiem w swym betonowym podziemiu. Biały Kapłan – triumfuje...

DMIE POTĘŻNY, GĘSTY WIATR od strony morza. Tu, w leśnych przestrzeniach, które zaczynają się zaraz za zrudziałością ugorów i niekoszonych łąk, a zarazem w krainie jeziornej i górzystej, niegdyś kaszubskiej potem junkierskiej – nie uświadczysz człowieka. Krążę przez cztery popołudnia po tych podłęborskich lasach i nie spotykam żywej duszy. Jedyne zlodowaciałe leśne drogi świadczą, że śnieg ubijały tu koła ciężarówek załadowanych drewnem. Śnieg od paru dni zniknął i te lodowe gościńce są jakby zamrożoną, zapomnianą zimą, która, choć jest połowa lutego, odeszła za swoje zamorza.

W lesie – gdzie miejscami bieleją śniegi, niby niedbale i byle gdzie rozrzucone prześcieradła, odczytuję ślady jelenich kopyt, mniejszych, sarnich, głęboko wbijają się racice dzików, które porwały aksamitny, zielonkawy mech w poszukiwaniu żeru – też jest pusto. I te ślady są jakby z innego, nie podpatrzonego życia.

Gdy na czwarty dzień wędrówek wychodzę z przytulnego domu na dwór, rzucam się w nieprzyjazne żywioły wichrów. Jest groźnie i nieładnie. Porywy wiatru niosą przenikliwy ziąb. Zmagam się z wichrem omijając lodowisko drogi. I wicher, jakby pan tych pustkowi, rzuca się na las jak rozwścieczone zwierzę. Potem staje dęba, jakby chwycyony za uzdę i omijając gęstwinę leśną gna po wierzchołkach wiekowych sosen i jodeł.

Wchodzę do lasu, jak do wielkich salonów wyłożonych aksamitnym, zielonym dywanem mchów. Tu jest przytulnie i tylko gdzieś u góry wicher gra na czubach drzew. Jest pracowitym, choć nieco zdziwiałem organistą. Raz po raz brakuje mu cierpliwości, w nagłych porывach uderza więc w zielone klawisze, lecz do leśnych ostępów, w dół, zejść nie zdoła. Teraz rozumiem słowa Staszka Barcza, leśniczego z Puszczy Darżlubskiej, że las był dla niego jedynym pewnym schronieniem. „W lesie zawsze jestem bezpieczny” – zwierzał mi się. Leśniczy, młody jeszcze człowiek, dziś już nie żyje. I zdaje się, że właśnie w lesie dosięgła go śmierć. Staszek jeździł na swym motorku dozorując lasy prywatne od Darżlubia, aż po Karwiec. Z lasów tych, w kotlinach i na leśnych łączkach, podnosił się śmiercionośny pył z Czarnobyli, który skrzętem przez Białoruś i Skandynawię przywędrował nad kaszubski las. Staszek Barcz umarł na białaczkę. Ukochany las zabił więc swego leśniczego.

Siadam na pieńku opierając się plecami o potężną, złotopięnną sosnę. Wszechobecny szum wypełnia wnętrze lasu. Patrzę na czuby odległych świerków – wystrzępione, wielopiętrowe, nigdy nie dotknięte ludzką ręką, chyba, że drwale położą świerk na ziemi. Nagle świerki zaczynają chwiać się i szamotać, a ja pod plecami czuję ozywające c i a l o s o s n y. Drzewo pracuje aż do samego korzenia, a przecież, jest tak grube, że mogłoby stawić opór wichrowi! I na tym właśnie polega jego trwanie, że słojami nawarstwionymi rok po roku, pracuje pod naporem wiatrów, jak mądre zwierzę napinając lub rozluźniając mięśnie. Inaczej padłoby z trzaskiem.

JESTEM NAD JEZIOREM SUDOMIE. Widzę świeżą jasną zielen białokorych brzoź, pączki delikatnych świerkowych odrostów, zielen sosnowych świec, którymi drzewo co roku dodaje sobie wysokości. A w tej płataninie zieloności oglądam wielki żart Pana Boga: drobne ptaszki, które przyleciały do nas z dalekiej Afryki. Widzę po raz pierwszy w życiu dzieźbę rudogłową: rdzawo-brązową, z rudą plamką na głowie i karku, z dużą białą plamą na czarnych skrzydłach. Ptak myszkuje wśród drzew,

siada na słupie, przeskakuje na płot majtając długim ogonkiem, swą obecność obwieszczając prawie sroczym skrzekiem.

Idę nadjeziorną ścieżką wśród już przekwitłej czeremchy, kruszyny i lozy, i nagle widzę przed sobą skaczące i myszkujące na drożynie dwie zięby o rdzawym brzuszku, z niebieskim lebkim. Podobne są do nakręcanych na sprężynę kolorowych zabawek z mojego dzieciństwa.

Dmie silny, chłodny wiatr. Tafla jeziora marszczy się jak ściągnięty niewprawną ręką celofan. Ale przy brzegu, osłonionym liściastymi drzewami, panuje spokój. Pożorny. Bo nad taflą wody pruje powietrze chyba z pięćdziesiąt jaskółek. Czegoż one szukają w tę chłodną, zdawałoby się, pozbawioną owadów wiosnę? Przyglądam się uważnie i widzę, że spod liści, raz po raz, wypadają komary lecąc w jakimś samobójczym impecie wprost nad wodę. Jaskółki z precyzją elektronicznych aparatów wylapują komary w locie, obwieszczając swą radość istnienia głośnym: „wit, wit, cywit, cywit”! Wpadam na pomysł, że skoro komary kryją się pod liśćmi trzeba ułatwić polowanie tym niezmordowanym w locie, przepięknym ptakom. Uderzam parasolką po gałęziach i, rzeczywiście, ze świeżej zieleni wylatuje spora gromada owadów. I wówczas dzieje się rzecz niebywała. – Jestem ukoronowany wieńcem jaskółek, które nieomal ocierają się skrzydłem o moją głowę. Uderzam parasolką po drzewach wędrując półwyspem, który Kaszubi obrazowo nazywają Świńskim Ogonem, a głodne, chciwe żeru jaskółki towarzyszą mi niczym świętemu Franciszkowi.

Tymczasem na jeziorze trwa praca. W żółtych, wyschłych trzcinach podobnych do nieskoszonego w porę żyta, bez ustanku powtarza swoje (jak opisał śpiew ptaka prof. Jan Sokołowski): „ryba, ryba, rak, rak, świerzbi, świerzbi, drap, drap, stary, stary, kit, kit, kit...” – niedostrzegalny, wołający we dnie i w nocy, trzciniaś. Z wielką gracją ląduje na wodzie samotny łabędź. Na środku jeziora kiwa się czubaty perkoz. I nagle pojawia się rudy cień myszolowa, który gdzieś tu ma swoje gniazdo.

A gdy słońce zachodzi za kreczę lasu, zaczynają swe koncerty, śpiewne dialogi żółtodziobe kosy. Gdzieś tam w podmokłych chaszczach nieśmiało odzywa się słowik szary – śpiewak nad śpiewakami. Nad koronką drzew przelatuje cicho, bezszelestnie sowa...

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Krzysztof Myszkowski

Na głos

Kolejne spotkanie z Czesławem Miłoszem, kolejne ważne spotkanie: *Antologia osobista* – dokonany przez poetę wybór jego wierszy, poematów i przekładów, wybór „zrobiony bardziej dla potrzeb głośnego czytania niż ze względu na drogą mi treść” – jak we wstępie wyznaje autor – książka i cztery kasety magnetofonowe. Miłosz czytany i Miłosz słuchany; Miłosz poeta i Miłosz recytator przenoszący znaki literowe swoich utworów na głos.

Thomas Stearns Eliot w eseju pt. *Muzyka poezji* mówi, że „większość poezji współczesnej to poezja na głos”. No bo czymże jest poezja czytana po cichu, wypreparowana z dźwięków, brzmień i melodyjności muzyki? Jest czymś pomiędzy brzmieniem a milczeniem, a więc właściwie mało wiadomo czym. Czym jest ta „muzyka słowa”, o której pisze autor *Ziemi jałowej*? „Muzyka słowa jest zawarta w punkcie krzyżowania się słów: powstaje przede wszystkim w wyniku związków słowa ze słowami bezpośrednio je poprzedzającymi i po nich następującymi, i mniej lub więcej luźnych związków z resztą kontekstu, w którym się mieści; a także w rezultacie związków innego rodzaju, a mianowicie relacji jego konkretnego znaczenia w danym kontekście do wszystkich innych znaczeń, jakie przybierało w innych kontekstach, to znaczy – jego większego lub mniejszego bogactwa skojarzeń. (...) Warstwa dźwiękowa jest w takim samym stopniu częścią poematu jak jego warstwa znaczeniowa”. Tak więc jest to równie ważne tak w muzycznym kształtowaniu, jak i w jak najpełniejszym odbiorze utworu poetyckiego: wzorzec muzyczny dźwięków, jak i wzorzec muzyczny tych dodatkowych znaczeń słów, z których utwór jest zbudowany. Jak mówi T.S. Eliot: „oba te wzorce są nierozłączne, stanowią jedno”.

Wiele razy bezpośrednio słuchałem Miłosza czytającego swoje wiersze i to zawsze było jak koncert. Miłosz jest rzeczywiście niezrównanym recytatorem i jednocześnie interpretatorem swoich wierszy i w tej umiejętności żaden, nawet najlepszy aktor nie jest jemu w stanie dorównać. To co jest dla mnie ważne, gdy słucham Miłosza czytającego na głos swoje wiersze, to właśnie muzyka słowa, melodyjność jego głosu, wyraziste akcentowanie i rytm oraz dykcja poetycka (tj. poetycki sposób użycia słowa).

W książce i na kasetach Miłosz zapowiada czytane wiersze i poematy, a niekiedy nawet je w swoisty sposób komentuje. Zawsze są to zapowiedzi, czy komentarze bardzo lapidarne, lakoniczne komunikaty, swoista forma jeszcze bardziej bezpośredniej komunikacji pomiędzy poetą a słuchaczem i czytelnikiem, ważny prześwit, bliższy kontakt. Miłosz nie tylko czyta tobie swoje wiersze, ale także rozmawia z tobą. A to są wielkie pożytki.

Antologię osobistą jednocześnie czytałem i słuchałem: czytałem po cichu i słuchałem, i czytałem na głos i słuchałem, synchronizując swój głos z głosem Mistrza, nie raz dziwiąc się, dlaczego jest tak a nie inaczej – dlaczego tu Miłosz przystaje, a tu ak-

centuje, albo dlaczego frazuje tak a nie inaczej, dlaczego jest taki ton a nie inny? I gdy słucha się i jednocześnie czyta *Antologię osobistą* Miłosza, to trudno jest od niej się oderwać, przynajmniej za pierwszym razem, chociaż Miłosz spodziewa się raczej lektury wrywkowej, takiego przeskokowego sposobu czytania; do podobnego wrywkowego czytania przystosowany jest *Piesek przydrożny*, bo jak mówi Miłosz, takie właśnie są upodobania dzisiejszego czytelnika, „który lubi otworzyć książkę w środku i obcować z jedną albo kilkoma jej stronicami”. Ale my, wierni i pilni czytelnicy Miłosza, czytajmy po swojemu, od początku do końca, chłonąc wszystko co się da i korzystając z wszystkiego, co jest możliwe do wykorzystania z tego wielkiego i cennego skarba, jakim jest poezja Czesława Miłosza.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Antologia osobista* (książka i cztery kasety), Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1998.

Piotr Michałowski

Alfabet świata i składania czasu

Najciekawszy model poezji ujawnia się wtedy, gdy akty twórcze w jakimś stopniu odpowiadają procesowi eksploracji świata, dokumentując poszczególne stany podmiotu poznania w szeregu kreowanych sytuacji lirycznych. Związek taki niezwykle silnie eksponuje poezja Piotra Matywieckiego, gdzie liczne przygody intelektu, zmienne poziomy samoświadomości, czy też stopnie epistemicznego wtajemniczenia, pozostawiają odrębne świadectwa w kolejnych utworach jego najnowszego tomiku. Zastana rzeczywistość podlega ciągłej dekonstrukcji i rekonstrukcji, istniejąc zawsze tylko przelotnie, w ciągłym ruchu myśli; niestabilność jej obrazu wynika z postawy permanentnej inicjacji. Jednym z dwóch głównych wątków jest więc potrzeba stałego punktu odniesienia dla zamkniętego kręgu jaźni, potrzeba zewnętrznej instancji sensotwórczej. Stąd liczne motywy „czytania na Boga”, obok innych prób przełamania ograniczeń immanencji podmiotu; pragnienie to czasem wiąże się z romantyczną nadzieją na epifanię, a kiedy indziej zostaje zrównoważone wiarą w rozum i racjonalne konstrukty wnikliwego analityka. Oto Bóg –

Patrzy na mnie
ale go nie widzę.

Rzeźbię krucyfiks –
skręca się drewno pod ślepą ręką.

We mnie Bóg czuje
że nie mam Boga

I że jest blisko.

Ten paradoks wiedzy zmieszanej z wiarą prowadzi do stanu, który już w następnym wierszu poeta nazwie „modlitwą bez prośby”, a w innym sięganie po metaforę „głowy świata”, którą nazwie Logos i zarazem hipotezę istnienia Boga. Utwór zatytułowany *Świat dla rzeźbiarza* opowiada historię artysty, powtarzającego boski akt kreacji z nicości;

jednak podobny proces twórczy ma tu cel zupełnie inny niż w Księdze Rodzaju, bowiem ważne jest nie samo dzieło, ale wydobyta zeń tajemnica życia, otaczająca rzeźbę. Przestrzeń istnienia uprzedniego (natury) jest zarazem strefą niebytu sztuki, a z kolei dzieło musi być dziurą w rzeczywistości, okiem cyklonu czy też zerowym punktem świata. Tu logika okazuje się płodna poetycko, natomiast mniej przekonujące, nałożona na ten system ontologiczno-estetyczny, dychotomia aksjologiczna:

Bogiem ręki – rzecz bez uchwytu, bez istnienia,
Diabłem – rękawica uszyta ze świata

Tworząc zewnętrzną obiektywność, artysta odnajduje zarazem immanencję rzeczywistości – „żeby kamień powiedział to swoje przeciążone nie-ja (...) żeby mu pomóc ze mną być / w powietrzu”. Stąd już tylko krok od kolejnej hipotezy: „Może to sam dotyk jest drobną modlitwą”.

Potem już Bóg pojawia się coraz częściej – i niemal przysłowiowo *ex machina*: jako Stwórca w refleksjach nad Genezą (*Początki*) i jako panteistyczny cień rzeczy. A pojęcie „rzeczywistości” w tej poezji obejmuje niemal wyłącznie naturę; myśli o świecie snują się głównie podczas jego kontemplacji, a więc na tle pejzażu, niekiedy nawet ewokującego klasykę liryki tatrzańskiej z Asnykiem i Tetmajerem (jak w wierszu *Stypa*).

Do rozegrania dramatu egzystencji zupełnie wystarczają stare dekoracje i rekwizyty – surowe i pierwotne a zarazem klasyczne, czyli zużyte w stopniu dla sztuki niebezpiecznym. Jednak to, co mogłoby zabić w zarodku dzieło debutanta, w wykonaniu wytrawnego poety zyskuje moc świeżo odkrytego prawa, gdyż świadome powroty do oczywistości brzmią tu jak swoisty autokomentarz, który w pancerzu ironii ochrania naiwny manifest artystyczny, będący ekspresją pychy wszechmocnego kreatora. Najstarsza rekwizytornia sztuki słowa dostarcza materiału potrzebnego do wzniesienia ogromnych gmachów ponadczasowego sensu. Dlatego większość wierszy wypełniają motywy najprostsze, tworząc alfabet świata, które dają się ułożyć w zamknięty cykl przyrody: ziemia – kamień – góry – źródło – woda, jezioro, rzeka, ocean – niebo – wiatr – obłok – deszcz – liść – korzeń – ziemia... To syntagma konieczności szczerze przylegających do siebie elementów. A na tym tle pojawiają się również elementarne synekdochy podmiotu: serce, oddech i narządy zmysłów. Nieliczne są tu znaki cywilizacji: ulica, asfalt, miasto, samochody i neon – w jednym z utworów „zapisujący” noc jakimś nieznanym znaczeniem. Natomiast w innym wierszu, *Sekwencja* poeta konstatuje odczucie jedności świata, którego porządek nie dostarcza jednak żadnego klucza interpretacji: „Gramatyka zbyt precyzyjna / i tajemny sens. // Nieśmiertelność abstrakcji w raju wzroku i słuchu”.

Poeta wie, że redukcja leksyki do grupy wyeksploatowanych uniwersaliów jest ryzykownym balansom na krawędzi stereotypu i banału. Świata nie można zamknąć w repertuarze kilkunastu idei a hipoteza sensu zwartego w tak uproszczonym opisie zwykle bywa obietnicą bez pokrycia, aksjomatem wymuszającym tylko wiarę odbiorcy, gdyż z reguły ulomne są sprawozdania z doświadczeń mistycznej kontemplacji. Nie można jednak wierzyć poecie, kiedy zapewnia, iż jest to postawa właściwa jedynie wybrancom; podobne ambicje ujawniają przecież liczni współcześni „metafizycy”, nie mówiąc już o masowym „ruchu” haiku:

Niewielu
stoi w ciszy swojej nagości
i patrzy przez lutnię starych drzew
strojne na ton przejrzysty

Pomiędzy gałęziami, psalmami, latami –
niebo

A dalej – kontemplacja absolutu, co praktycznie oznacza milczenie i nieokreśloność. Czyli – kres poezji.

Na szczęście tylko część utworów wypełniają takie podróże w mgłę uogólnienia, bowiem aprioryczna symbolika, konstruowana z wielkich figur krajobrazu, znajduje swój przeciwny biegun w analitycznym konkrecie. Zamiast panoramy pojawia się kameralne studium; w miejsce pejzaży – seria miniaturowych portretów. Ciekawa jest rozproszona sekwencja konterfektów pisarzy: Słowackiego, Tuwima, Lechonia, Stachury, Horacego, Dickinson i Rilkego, chociaż ich miejsca w układzie utworów nie zawsze wydają się uzasadnione. Najważniejszymi manifestacjami konkretności są jednak nie świadectwa erudycyjnych wędrówek po bibliotece historii literatury, ale zapisy autopsji. Do takich należy genialna interpretacja twarzy – portretowe studium staruszki ssącej cukierek:

Sieci zmarszczek przenikają się, przecinają,
skupiają i rozwiązują, obie bez wyrazu:
ta ze starości i ta ze słodczy

Twarz nie pamięta ani gorzkich lat ani landrynkowej chwili –
ruchliwa, beczasowa, ślizga się po wieczności
dostępnej, słodkiej.

Są takie konfabulacje wyprowadzone z detalu i być może przywołane w trybie autobiograficznego wspomnienia. Szkolny stół i rysunek dziecka, przedstawiający dom, który rozrasta się na przekór mapie i architekturze wszechświata. Ten drobny epizod zostaje rozwinięty w kosmiczną hiperbolę, która wskazuje poezji kierunek znacznie ciekawszy niż obudowywanie obrazami jakiejś apriorycznej refleksji o absolicie. Seria innych „martwych natur” obejmuje psychologię pomieszczeń: opuszczonych przez śmierć albo przeprowadzkę, oswojonych jako mieszkanie, zagrożonych transformacją przez remont albo zniszczenie, wreszcie tymczasowych jak hotelowy pokój, którego obcość paradoksalnie sprawia, że mieszka się tam intensywniej – bo nierutynowo, czyli „nie na pamięć”.

Życie wcale nie przemija, ale narasta – właśnie podobnie jak stale rozbudowywany dom. Można więc –

poszukać w tym dniu,
popatrzeć przez ten dzień,
przejsć – i t a m ż y ć, w przeszłym.

Poczucie jedności i trwania, osiągalne poprzez miłosne zespolenie, to drugi główny wątek zbioru poetyckiego i podobnie jak glód transcendencji, prowadzi on do niemal mistycznej ekstazy. Z jednej strony jest więc prosta afirmacja rzeczywistości, utwierdzenie faktu własnej obecności poprzez rejestrującą pamięć; z drugiej natomiast – pokusa interpretacji i odkrywania głębszych znaczeń. W obu sytuacjach wartością bezwzględna pozostaje to, co było; a właśnie zanurzenie jaźni w czasie przeszłym daje poczucie ciągłości, która może być jedynym sensem minionego życia. Ważna jest jednak nie suma przeszłych zdarzeń, ale ich **składnia**, gwarantująca związek, niekiedy bliższy tożsamości z przeżywanym teraz.

Spojrzenie ślepej prawdy: czas
W czasie ty i ja, i rzeczy niczyje, i my samotni
i coś czystego jest w czasie, a czasu nie zna –
miłość zwyczajna, symboliczna, prawdziwa.

Tytuł książki, złożony z trzech ostatnich przymiotników, wskazuje na komplementarne ujęcie rzeczywistości; zależnie od przyjęcia wyjściowej perspektywy, może być ona: „zwyczajna” albo „symboliczna”. To przeciwne kierunki wiodące do najbardziej dyskusyjnej kategorii trzeciej: „prawdy”. Są zatem dwojakie próby oswojenia świata. Najsilniejsze wrażenie docelowej „prawdziwości” daje „zwyczajny”, ale przenikliwy deskryptywizm; „mały realizm” i „mała narracja” raz jeszcze wygrywają z poznawczą pychą abstrakcji. To porażająca oczywistość, zresztą potwierdzona już na okładce, skąd zaprasza do wnętrza zbioru *Dziewczyna z perłą Vermeera*. Pośrednim dowodem słabości uogólnień niech będzie również ta moja nieoryginalna konkluzja wysnuta z lektury wierszy Matywieckiego. Natomiast o swoistości rozrzuconych tu poetyckich pereł niechaj zaświadczą lepiej cytaty niż ulomne efekty krytycznego komentowania.

Piotr Michałowski

Piotr Matywiecki, *Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa*, „Open”, Warszawa 1998.

Miroslaw Dzień

O Micie, który staje się Słowem

Lata 60-te. Warszawa. Licealista w maturalnej klasie i jego piękna i tajemnicza Nauczycielka. Oto pierwsze rozpoznanie jakie można poczynić czytając następujące po sobie strony pierwszej prozatorskiej książki Antoniego Libery *Madame*. Sromotnie pomyli się jednak każdy, kto oczekiwał będzie historii obyczajowej, albo do cna zużytego już idiomu młodzieńca zadurzonego w starszej, dojrzałej kobiecie. Książka Libery nie da się (i chwała jej za to) zbyt łatwo zaklasyfikować. Jest bowiem tyleż historią pewnego uczucia, co narodzinami Artysty. Poza tym z celnością ukazuje duszną i szarą atmosferę gomulkowskiej Polski, gdzie każdy, kto chciałby choć odrobinę odbiec od powszechnie panującego stylu życia, narażony jest na kłopoty trudne do wyobrażenia w normalnie funkcjonującym państwie.

Powieść przywołuje wiele mitów wciąż obecnych we współczesnej kulturze. Najważniejszym z nich wydaje się być Mit samej sztuki, jako środka do osiągnięcia większej świadomości; jako zakłęcie, dzięki któremu sprawy dotąd przed nami ukryte – nagle, mocą gestu Artysty ujawnią z całą jaskrawością swoje oblicze. W *Madame*, aż roi się od różnego rodzaju przywołań, które można potraktować na sposób mityczny. Mamy więc – jak już powiedziałem – Mit samej sztuki w jej wielowymiarowości: jest bowiem Malarstwo – wystawa prac Picassa w Zachęcie; jest Muzyka – Mozart i tajemniczy zbieg okoliczności daty jego urodzenia z datą urodzenia Nauczycielki; jest Dramat i Teatr – spektakl *Fedry* Racine’a odegrany w Warszawie przez zespół Comédie Française, odwołanie do *Fausta* Goethego i *Boskiej Komedii* Dantego, *Końcówki* Becketta; jest Poezja – w przywołaniu Hölderlina, a także aluzja do słynnego wiersza *Potęga smaku* Zbigniewa Herberta: „Tak, praca mego życia była cał-

kciem wyzbyta, jak powiedział poeta, urody koniunktywu”; nie może oczywiście zabraknąć Filozofii – stąd Artur Schopenhauer oraz jedenastej Muzy, nam tak bardzo właściwej, to znaczy Filmu – projekcja *Kobiety i Mężczyzny* Clauða Leloucha. Ale, jakby tego wszystkiego było mało, Libera ma o wiele większe ambicje. Rozszerza bowiem przestrzeń mitu, wskrzeszając choćby mit czystości jaki mają symbolizować góry, zwłaszcza te wysokie, dziewicze, wymagające od śmiałka trudu i poświęcenia, sprawdzające jego szlachetne intencje. Właśnie taki wymiar mitu eksponują opowieści Pana Konstantego o wyprawach w Alpy razem z ojcem Wiktorii, Maksymilianem. Z mitem czystości związany jest również mit urodzenia i przeznaczenia:

Albowiem jakim się narodziisz,
takim już pozostajesz;
więcej od przeciwności
oraz od wychowania
znaczy chwila narodzin,
promień światła,
który narodzonego wita.

Mamy też życiową prawdę o zwycięstwie miernoty i obludy nad wybitnością i szlachetnością (gorzka opowieść Jerzyka dziejów własnego poniżenia). Jest wreszcie mit inteligentnego i wybijającego się odmieńca, nie pasującego do zapyziałej reszty (vide Rożek Goltz – potem profesor na Uniwersytecie Princeton, aby ziściło się sakramentalne powiedzenie, że ten kraj miał zawsze w zwyczaju pozbywać się najlepszych). W końcu pojawia się opowieść o KPP i wojnie w Hiszpanii, dla mnie osobiście trochę niepotrzebna, choć staram się zrozumieć raczej konstrukcyjne autora przemawiające za jej umieszczeniem.

Jeśli można coś zarzucić bohaterowi Libery, to ową szczególnego rodzaju intelektualną nieskazitelność przejawiającą się w logiczności dyskursu, który zostaje podniesiony do rangi decydującej o całokształcie przeżyć młodego Romantyka. I tutaj chyba należałoby się zastanowić nad przewrotnością owej proporcji, jaką podsuwa autor: jeśli bowiem ktoś jest Romantykiem, to dość daleko mu do wewnętrznej dyscypliny, jaką bez wątpienia nasz bohater zadziwia nie tylko czytelników, ale nade wszystko samego siebie. Nie od dziś wiadomo, że trzeźwe myślenie nie sprzyja emocjonalnym poruszeniom, co najwyżej może odbierać im kolory, rzecz całą sprowadzając do somatycznego rozstroju. Zatem Romantyk ubrany w logiczną szatę już nie tylko nie jest Romatykiem, ale przestaje być również (co wydaje się być o wiele bardziej znaczącym) również Pozytywistą, Analitykiem, kimś odurzonym manierą poszukiwania wszystkich możliwych dróg dla uspokojenia robaka, jaki gryzie jego niecierpliwy umysł. Jeśli zatem zamiarem Libery było zarazem ośmieszenie mitu romantycznego i mitu pozytywistycznego (który – niestety – do dziś przyprawia o chorobę umysłu, trudno zresztą do wyleczenia, wielu intelektualistów!), to książka ta pysznie to przedstawia. Nie można bowiem dwóm panom służyć.

Jest jednak dla mnie kwestia o wiele bardziej istotna w *Madame*. Krecacja Artysty. Rodzenie się twórczej świadomości jako wielokierunkowy proces przynoszący tyleż goryczy, co wynoszący ponad przeciętność. Bohater bowiem stara się swoje artystyczne doznania dopasować do uczucia, które żyje w nim życiem, jakiego wcześniej (pomimo swojego nad wyraz rozwiniętego zmysłu samoobserwacji), nie przewidywał. Śledztwo, któremu popycha go isticie detektywistyczny zmysł zaczerpnięty, co najmniej z opowiadań Conan Doyle'a o flegmatycznym i zarazem obdarzonym niezwykłą in-

teligencją Sherlocku Holmesie, nie tylko stoi w sprzeczności z rosnącym w młodym człowieku przeświadczeniu o powołaniu do „rzeczy większych”, do Sztuki, ale ujawnia mu zarazem ów nie do pokonania rozziw pomiędzy wyobrażeniem, a rzeczywistością (stąd przypomniany zostanie zapewne Artur Schopenhauer).

Nieprzenikniona Madame, pochwycona w kleszcze przeznaczenia wyznaczonego miejscem urodzenia, a przypieczętowanego prorocstwem Hölderlina, to nie tylko *la femme fatale*, ale punkt styczności pomiędzy wyobrażeniem a światem realnym, pomiędzy tym, co poczyna się w nas wraz z rosnącym uczuciem, a tym, co bez tego uczucia okazuje się jeśli nie całkowicie inne, to przynajmniej dalekie od swojego wyimaginowanego pierwowzoru. Uświadamia to sobie bohater podczas spektaklu *Fedry* Racine’a: „Na osnovie dramatu odgrywanego na scenie, i z jego elementów, snul mi się w głowie bezwiednie dramat zupełnie inny, który stanowił projekcję niewyrażonych marzeń”.

Szukałem klucza do tej powieści. Tak, oczywiście to niecznośny syndrom dziecka, które wciąż we mnie pyta, uparcie, bez wytchnienia... Jest to powieść tyleż o mocy mitu, co o mocy kreacji, o zaklinaniu świata przez słowo. W pukcie wyjścia narrator – Romantyk opowiada się po stronie maksymalizmu. Oto Sztuka. Oto wyzwanie jakie stoi przed każdą subtelną i nieprzeciętną duszą. Nie ma prawdziwej Sztuki bez Słowa, Gestu, który jest inną jego odsłoną: nie ma Sztuki bez Obrazu, bez Barwy. Bo zaklinanie Słowa – cokolwiek przez to rozumiemy – okazuje się czymś, czego źródła szukać trzeba w Prologu Ewangelii według świętego Jana. To właśnie Słowo, zanim stało się Ciałem – boskim Posłańcem, Odkupicielem, ono było na początku. Ono było Początkiem. Pratworzywem, pra-zasadą, po której poruszają się tryby wszech-rzeczywistości... Raz pochwycony przez Słowo, każdy, kto tęskni za artystycznym spełnieniem już nigdy nie wydobędzie się z jego cienia. Słowo więzi. Słowo wyzwala, lecz wyzwalając każe nam unżyć się; każe nasłuchiwać jego delikatnych i subtelnym poruczeń. W mocy Słowa artysta przekracza siebie – zdaje się mówić narrator – a przekraczając uwzniośla nawet najbardziej szarą i ponurą rzeczywistość. Motto zaczerpnięte z Schopenhauera, które rozpoczyna powieść zdaje się trafiać w samo sedno: „Romansopisarz powinien dążyć nie do tego, by opisywać wielkie wydarzenia, lecz by małe czynić interesującymi”. W ten sposób już nie świat – w tym przypadku pelen ideologicznej pretensjonalności i zwyczajnej głupoty – kształtuje Artystę, lecz na odwrót – niepodległe, wciąż stojące na najwyższym diapazonie Słowo wyznacza mu horyzont, określa jego istnienie. Oto przepis maksymalisty! Bez taryfy ulgowej, bez pobłażania kiczowi.

Oto ze zranionym, krwawiącym (bo jakże mogłoby być inaczej, chciałoby się krzyknąć!) palcem Romantyka, sam na sam w pokoju pięknej Madame: „Nie krzyknąłem. Nie drgnąłem. Zamknąłem tylko oczy, aby lepiej czuć dotyk i słyszeć własne myśli. Dostarczyły mi one najprzeróżniejszych słów, wyrażeń i całych zdań, którymi mógłbym spełnić ideę mej Wielkiej Gry: *za pomocą języka przeżywać to w „wino” miłośnej ekstazy; stwarzać przez nazywanie; urzeczywistniać Słowem* [podkr. moje M.D.]”. I walka wewnętrzna, walka Romantyka z Pozytywistą; starcie „uczucia i wiary” z mocą sylogizmu, który mocno, mocniej niż przypuszczamy trzyma w swoich nieprzykupnych dłoniach ten świat: „W najmniejszym jednak stopniu nie miałem na to ochoty. Nie widziałem w tym sensu; widziałem – czczą blaźnadę. *Chciałem czegoś innego. Rzeczywistości, prawdy. Pragnąłem wcielenia Słowa czy Słowa wcielonego. Tęgo jednak sią bałem.* [podkr. M.D.]. Scena ta swój finał znajdzie w odegraniu „wielkiej arii” Fedry w dyrektorskim gabinecie, gdzie Słowo walczy o swój wyraz: „I przyszło mi do głowy, że tego rodzaju dreszcz mógł przechodzić Racine’a, gdy pisał swoje

tragedie, a zwłaszcza gdy później je czytał – aktorom i królowi. Był nieśmiały, nie-
pewny i nie miał błękitnej krwi; *kobiety i majestat, w ogóle świat i życie, były dla niego*
jak Goliat – nieokielznanym olbrzymem, który nad nim górował; do walki z nim przy-
stępował wyposażony jedynie w iskrę bożą – dar słowa. Aby z nim wygrać, musiał... po-
razić go, zaczarować, obezwładnić urokiem. [podkr. M.D.]

W końcu młody bohater otrzymuje odpowiedź na swoje własne rozterki. Czy jest
ona definitywna? Trudno powiedzieć. Jedno jednak nie ulega wątpliwości, czegoś,
jakiegoś prawidła trzeba się uchwycić i być mu wiernym: „Scenka ta dała mi asumpt
do refleksji nad sobą. «Jeśli nie jestem królem», pomyślałem ze smutkiem, w którym
migotał jednak mały płomień nadziei, «i jeśli nie ma się nawet natury bohatera, a jed-
nocześnie się nie jest li tylko zjadaczem chleba, lecz kimś kto *marzy i tęskni* za nie
wiadomo czym, i *nieustannie błaznuje, bo nie potrafi* zwyczajnie wyrazić *jednego*
uczucia, to wtedy, by się spełnić i znaleźć ukojenie, *trzeba zostać artystą – żrenicą*
świata i magiem». I ujrzałem się nagle oczami wyobraźni, jak siedzę całymi dniami
w jakimś pokoju przy biurku i w taki czy inny sposób – piórem, czcionką maszyny –
zaczerniam kartki papieru. Wymyślam i układam urzekające historie – wzięte z rze-
czywistości lecz od niej powabniejsze; misternie skomponowane niczym utwór mu-
zyczny i brzmiące w głośniejszej lekturze rytmicznie jak poemat. I dobieram wyrazy, i bawię
się zdaniem, aż wychodzi mi wreszcie kryształowy akapit. I wtedy idę na spacer –
aby obmyśleć następny. – To będzie moje życie – powiedziałem półgłosem i odlo-
żyłem program”. [wszystkie podkr. M.D.]

Najbardziej urzekające dla każdego miłośnika literatury, to znaczy w gruncie rze-
czy dla każdego romantyka, jest – jakże piękne i sugestywne przedstawienie – wiara,
opakowana w delikatny celofan ironii, w moc zapatrzenia. Przekonanie, iż czystość
doznania posiada czarodziejską moc otwarcia wielu komnat. Bo przecież, tak napraw-
dę w tej książce nie ma nic skończonego, definitywnego, no może poza śmiercią Pa-
na Konstantego. Ucieleśniony Mit trwa w Słowic, a Artysta ukryty w jego dłoni odgarnia
kurz z polityury...

Mirosław Dzień

Antoni Libera, *Madame*, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1998.

Jerzy Gizella

Żywot literata poczciwego w PRL

W „Przedmowie” do *Dzienników 1946-1984* Leszka Proroka, Jan Józef Szczepań-
ski pisze m.in.: „Dla tych, którzy pamiętają dawne związkowe czasy, Leszek pozosta-
nie figurą symboliczną, reprezentującą losy, kłopoty i zmagania polskiej literackiej profesji,
poddanej naciskom politycznym władz i walczącej o swoją moralną niezależność”.

Prorok debiutował tuż przed wojną. Jego debiutancką prozę *Dzień nad Moltawą*
spalili Niemcy w Poznaniu wraz ze zbiorami i wydawnictwami Księgarni Św. Woj-
ciecha. Ocalała tylko niewielka część nakładu, przechowana w podziemiach jednego
z warszawskich kościołów. Autor spędził okupację w Warszawie, związuąc się z cy-

wilnymi, a potem militarnymi, strukturami NSZ. Walczył w Powstaniu, był ranny. Uniknął transportu do obozu. Mimo szalejącego terroru nie powstrzymał się od dalszej działalności w konspiracji.

Pomysł pisania dziennika narodził się po pierwszym pobyciu i wyjściu z więzienia (1945-1947), w czasie, kiedy autor szczęśliwie ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim i zdążył się ożenić. Wolność nie trwała jednak długo. W 1949 roku Prorok trafił ponownie do aresztu śledczego WUBP w Poznaniu na ulicy Kochanowskiego. Tym razem miał być świadkiem w procesie pokazowym, do którego nie doszło. Wyszedł na wolność po siedemnastu miesiącach śledztwa i – jak wspomina we „Wstępie” jego biograf – „ten wysoki mężczyzna ważył czterdzieści trzy kilogramy”.

O tych przeżyciach – więzieniu, śledztwie, torturach – Leszek Prorok milczy jak zakłęty. Janowi Józefowi Szczepańskiemu bardzo się podoba ta dyskrecja. Chciałoby się jęknąć z zawodu. Łatwiej dziś postawić pomnik bohaterom i ofiarom tamtego czasu, niż dotrzeć do rzetelnej relacji świadka i uczestnika. Powody milczenia nie dla wszystkich i nie zawsze są do końca jasne.

W zapisach „powięziennych” nie opuszcza Proroka nastrój pesymizmu i osaczenia. Przeraza go kolektywizm bycia i myślenia opanowujący jego najbliższe otoczenie i całe społeczeństwo. Pod datą 2 X 1950 odkrywa jednak drugą stronę tego kolektywizmu. „A jednak jest w totalizmie jedna samotność – najbardziej tragiczna. Jest to samotność swoistego rodzaju – opuszczenie. Jednostka jest przeraźliwie samotna wobec państwa i jego omnipotencji. Jest opuszczona przez wszystkich. Stoi jak bezbronna drobina przed olbrzymem, który może ją w każdej chwili zgruchotać. Nic, żadna instytucja, żaden związek nie mogą wyrównać jej osamotnienia, wesprzeć lub ująć się za nią, gdyż wszystkie są tu jedynie ramieniem państwa i potwierdzeniem jego omnipotencji. Jednostka w swej samotności na nic ważyć się nie może; może jedynie zginąć lub ulec. Ta samotność opuszczenia nie jest konstruktywna, nie regeneruje, zabija strachem, poczuciem bezsily i opuszczenia przez wszystko i przez wszystkich.”

Im głębiej czytelnik zapuszcza się w tekst dziennika z lat pięćdziesiątych, tym mocniej może się w nim kształtować przekonanie, że to nie delikatność i skromność dyktuje omijanie przeżyć więziennych, ale raczej – a może przede wszystkim – autocenzura. „Zginąć albo ulec” – innej możliwości dialogu ze stalinizmem nie było. Zwłaszcza jak się uparcie trwało przy katolicyzmie. Dlatego niektóre zapisy mogą brzmieć nieco naiwnie i patetycznie, nawet sprawiać wrażenie wyważania dawno temu otwartych drzwi (metafizycznych). Okrutna i nieludzka rzeczywistość stanowi przecież idealne wyzwanie dla chrześcijanina: im gorzej – im więcej prześladowań – tym lepiej dla zbawienia. Ale w miarę upływu czasu autor porzuca ten sposób myślenia i zapisuje główne wydarzenia, które dotyczą jego sytuacji osobistej i uwikłań w środowiski literackim. Jest to znamienne dla wielu pamiętnikarzy tego okresu. Życie w pozycji outsidera zmuszało do ciągłej konfrontacji z poglądami politycznych i filozoficznych oponentów. Październik 56, odslaniając kilka półprawd i częściowo rehabilitując AK, dopuścił leśnych dziadków do wspólnego literackiego stołu. Leszek Prorok w szybkim tempie nadrabia zaległości, do 1970 roku publikuje 35 książek. Jakich książek? Różnych. Można odnieść wrażenie, że nie jakość, ale ilość przechodząca w dobre samopoczucie była najważniejsza. I ambicja bycia uznanym przez oficjalną krytykę, bycie tłumaczonym. Dla tych ambicji robienie kariery Poznań staje się za ciasny. Autor *Dziennika* za wszelką cenę stara się przenieść do Warszawy, do centrali.

Taka banalna sprawa jak zamiana mieszkania była w PRL-u uzależniona od wielu decydentów, często najwyższych szczebli. Prorok nie ukrywa, że aby rzecz doprowadzić do pomyślnego zakończenia, nie waha się protestować przeciw listowi 34 (rok

1964) i przeciw „agenturalnej” rozgłośni Wolnej Europy. Szybko tego żaluje, jednak cel – Warszawa – zostaje osiągnięty. Jako sekretarz Oddziału Warszawskiego rzuca się w wir pracy organizacyjnej i z dumą wlicza liczne zasługi. Wchodzi wreszcie do Zarządu Głównego ZLP. Jako prawnik i znawca statutu, angażuje się bardzo czynnie w „odnowę” ZLP na zjeździe katowickim (1978). Ten zjazd jest już otwartym i dość solidarnym atakiem literatów na politykę kulturalną partii i cenzurę, ważnym etapem walki o odzyskanie przez kulturę pełniejszej autonomii. Prorok dość obszernie i bez kamuflażu referuje w tej części dziennika zakulisowe machinacje partii, próbującej przywołać rozbrykanych pisarzy do porządku. W czasach jawnej „Solidarności” dochodzi wreszcie do odzyskania przez Związek i inne twórcze stowarzyszenia pełnej autonomii, autorytetu moralnego, społecznej akceptacji.

Pamiętamy, co było potem: zawieszenie w stanie wojennym, uparta i beznadziejna próba ocalenia związku w „solidarnościowym” kształcie, wreszcie haniebna decyzja o rozwiązaniu ZLP. *Dziennik 1949-1984* jest ważnym dokumentem i uzupełnia *Kadencję* J.J. Szczepańskiego, ostatniego świetlanego prezesa tej wcześniej nie zawsze świetlanej instytucji.

Jednak przy lekturze *Dziennika* nie opuszczało mnie cały czas pytanie: czy warto było? Poniżyć się i szukać wyjścia z sytuacji, w której pisarze stali na z góry przegranej pozycji? Prowadzić rozmowy z funkcjonariuszami SB, oficerami LWP, Sirgoniami, Nawrockimi, Wasilewskimi? Związek choć zawieszony, a potem oficjalnie rozwiązany, prowadził swoją działalność w kospiracji, troszcząc się o duchowe i materialne wsparcie tych, którzy go bardzo potrzebowali.

Odpowiedź nie jest łatwa ani prosta. Zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie tylko jedno: trzeba było być na liście nawet zawieszonemu ZLP, aby po okazaniu dowodu osobistego, w wyznaczonym do tego specjalnie sklepie, móc kupić raz na pewien czas paczkę najzwyklejszego papieru do pisania. Kiedy trwał dość solidarny bojkot oficjalnych wydawnictw i czasopism. Kiedy wielu pisarzy znajdowało się w zamknięciu, a pozostali emigrowali wewnątrz i dosłownie.

Z dzisiejszej perspektywy *Dziennik* Leszka Proroka brzmi jak zła bajka, o której chciałoby się jak najszybciej zapomnieć. Uczciwość relacji autora jest ważnym dokumentem „walki o niezależność i wolność polskiej literatury”. Tym ważniejszym, im szybciej czas i zmiany zacierają sens i wagę wyborów moralnych tamtego okresu, im częściej próbuje się bagatelizować konsekwencje podejmowanych wtedy decyzji. Zostaną „czyny i rozmowy” – wbrew także tym, którzy – z bardzo oczywistych powodów – chcieliby jak najszybciej o niedawnej przeszłości zapomnieć.

Jerzy Gizella

Leszek Prorok, *Dziennik 1949-1984*, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1998.

Maria Cyranowicz

Przemiana apetytu?

„W 1990 roku naprawdę nie jeszcze nie było wiadomo poza tym, że zmieniła się rzeczywistość i literatura powinna pójść za nią.” – pisze Jerzy Jarzębski w komentarzu do pierwszego artykułu swojej najnowszej książki *Apetyt na Przemianę*. Otóż to:

„zmieniła się rzeczywistość i literatura powinna pójść za nią”. Jarzębski w tym mniemaniu, mniemaniu skądinąd słusznym, nie był osamotniony – tak bowiem myśleli wszyscy. Jarzębski jednak, jak przystało na wnikliwego czytelnika i znakomitego krytyka, potrafił przewidzieć, jakiego typu zmiany w literaturze polskiej, w szczególności prozie, nas czekały. Jego przewidywania sprawdziły się co do joty, co zresztą stwierdziłam z prawdziwą uciechą – wszak kiedy on „wieszczył” w 1990 roku, to na pewno nie z lotu pierwszych „jaskółek” prozatorskich, ale najzupełniej „w ciemno”. Jednakże krakowski krytyk nie wiedział (no bo skąd miał wiedzieć), że literatura wcale nie będzie chciała „pójść za rzeczywistością”. Sądzę, że to jest właśnie problem, który Jarzębskiego chyba najbardziej niepokoi. Otóż jego zdaniem żyjemy w kraju o nieregularnej wizji rzeczywistości i dlatego literatura powinna próbować ją w końcu zinterpretować, ponieważ „w przeciwnym razie ryzykuje zejście na margines społecznego zainteresowania”. A więc to to Jarzębskiego boli! – ktoś wykrzyknie olśniony. Tak, chodzi o Miłoszowskie życie intelektualistów na wyspach – wyspach zdrowego rozsądku i zdrowego gustu – dodam. A w zasadzie – i literalnie – o przyszłość Galaktyki Gutenberga.

Jarzębski zdaje się bowiem sugerować, że literatura jako „piękne zmyślenie” jest trochę nieporozumieniem w kraju, w którym życie nie wydaje się być mieszkańcom ani normalne, ani w żaden sposób sensowne. Trzeba wszakże zauważyć, że Jarzębski daleki jest od dawania jakichkolwiek recept na literaturę „użyteczną”, a już na pewno nie chce literatury „zaangażowanej”. Przecież jako jeden z pierwszych, rozsądnie myślących krytyków, dostrzegał uwiad literatury faktu, karmiącej czytelników „niesklamana prawdą wydarzeń”. Wyrażał również opinię, że obecność fabuły świadczy zawsze o zdrowiu prozy, do której należy przecież zwyczajne opowiadanie historii. I cieszę się wraz z nim, że doczekał czasu, który nastąpił – wedle słów Jerzego Sosnowskiego – „triumfalny powrót fabuły”. Ale dlaczego trapi Jarzębskiego dominacja mitu we współczesnej prozie? Czyżby był jednak zwolennikiem – jakiego tam, ale zawsze – realizmu? Nie, sądzę, że Jarzębski odczuwa to samo, co ja, kiedy muszę obcować z kolejną fikcją, która przechodzi sama siebie w swojej fikcyjności. Ta „fiksacja” na punkcie fikcji ma prawo niepokoić czy budzić zażenowanie. I zgadzam się z Jarzębskim, który potrafi bezbłędnie ją rozpoznać i wykazać, że kierunek być może był dobry, ale uliczka okazała się ślepa (patrz: o prozie Janusza Rudnickiego czy Marka Jastrzębca-Mosakowskiego).

Niewątpliwie *Apetyt na Przemianę* to kolejna, po *Śladach przelomu* Przemysława Czaplńskiego, książka o współczesnej polskiej prozie napisana „w imię zdrowego rozsądku”. Oczywiście, różnią się one rodzajem spojrzenia i klasyfikacją zjawisk, które omawiają. U Czaplńskiego, który dokonał niesamowitej syntezy, przerażało mnie jednak zrównanie wszystkiego ze wszystkim, czyli traktowanie każdej książki, chociażby nie wiem jak słabej, jako bardzo interesującego *egzemplum* do teoretyczno-literackich badań. Czaplński postępuje bowiem niemal jak pozytywistyczny przyrodoznawca, tyle że zaopatrzone w daleko sprawniejsze narzędzia analizy. Z książki Jarzębskiego zaś mogę się dowiedzieć, d l a c z e g o niemożliwe jest dzisiaj wymaganie od kogośkolwiek jasnych kryteriów wartościowania literatury. I wcale nie chodzi tutaj tylko o postmodernizm, którego ulubionym chwytem jest nieróżnicowanie, co sprawia, że współczesna proza przypomina Jarzębskiemu swoją galaretowatą konsystencją amebę (patrz: *Nowe szaty literatury polskiej*). Jarzębski widzi wyraźnie, jakie zmiany tu zaszły, że zmienił się generalnie typ literackich gustów i zainteresowań, a więc doszło do całkowitej „przemiany apetytu”. Ma to wiele wspólnego z walką o czytelnika, z wywalceniem sobie na jego półce miejsca obok literatury zachodniej, tych

okrzyczanych wszem i wobec *bestsellerów* w rodzaju Carolla czy Whartona. A krytycy cóż mieli robić? – zdecydowali się promować (patrz: *Chwilowe zawieszenie broni* Jarosława Klejnockiego i Jerzego Sosnowskiego oraz *Niebawem spadnie błoto* Rafała Grupińskiego i Izoldy Kiec). Czy Jerzy Jarzębski również? On chyba jednak nie, chociaż nieraz dostrzegam w jego książce lekkie zacieranie granicy pomiędzy tym, co na pewno mu się podoba, a czego niewątpliwie nie znosi. Na szczęście można jednak się domyśleć, o co mu w polskiej prozie chodzi, co chciałby najczęściej widzieć: wyraźne ślady osoby, jak to powiedział w jednym z wywiadów. Czasami tropi je bardzo uporczywie, jak w *Mojrze* Christiana Skrzyposzka, ale nigdy nie daje się zwodzić pozornej śladowości, jak u Kornhausera. Drugim powodem, dla którego Jarzębski bierze się za omawianie jakiejś książki, jest jej powszechne niezrozumienie albo prześlepianie przez innych recenzentów istotnych dla niej treści, o czym również mówił w jednym z wywiadów. Przenikliwość jego spojrzenia oraz wspianała orientacja w różnorodnych kontekstach pozwalają mu na swobodne rozszyfrowanie intencji autorskich, ukrywanych przez tekst (patrz: np. *Przebieranka Panny Nikt*). A z drugiej strony przecież nie można cały czas traktować literatury jako systemu pułapek, na które ma się nabierać zdeorientowany czytelnik. Jarzębski unika i tego błędu, próbując ulokować poszczególne teksty w szerszym niż tradycja literacka kontekście. Udaje mu się to znakomicie, zwłaszcza kiedy rozważa sytuację najnowszej polskiej prozy. W rezultacie nazywa ją „pocieszającym paradoksem”, a więc zachowuje optymizm, wiedząc doskonale, że piszących przecież nigdy nie zabraknie, co najwyżej może zabraknąć kryteriów ich oceny, albo co gorsze – a czego nie życzy nikomu – czytelników. Sądzę, że jego „notatkom o prozie współczesnej” nigdy ich nie zabraknie.

Maria Cyranowicz

Jerzy Jarzębski, *Apetyt na Przemianę*, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1997.

NOTY

*

Piękne dźwięki. Nowa edycja nieśmiertelnych „Canzoniere” Petrarki – *Na cześć Madonny Laury żywej i Na cześć Madonny Laury umarłej*, wybór 102 z 317 sonetów we włosko-polskiej edycji, w przekładzie Jalu Kurka, jedno z arcydzieł literatury światowej, stanowiące jej podstawowy kanon. Czysta poezja, misterna mieszanina cisz i harmonicznych brzmień, sięgająca swoimi korzeniami grecko-rzymskiego antyku, odwołująca się do – od prapoczątków obecnych w literaturze – wielkich tematów, tonów i tonacji.

Kim jest Laura Petrarki? A kim jest Beatrycze Dantego? Kim są Abelard i Heloiza, Tristan i Izolda, Romeo i Julia? Czy są to tylko symbole poezji miłosnej? Ile jest w ich miłosnych historiach retoryki, a ile iskier? Czy wszystkie historie miłosne, które zdarzyły się po nich, nie są już tylko ich różnymi cieniami?

Czy w ogóle istniała piękna Laura Petrarki? Czy Laura Petrarki istniała tak, jak istniała piękna Beatrycze Dantego? „Jest tylko Beatrycze / I właśnie jej nie ma”. Jak bardzo różni się bohaterka sonetów od tamtej Laury „z krwi i kości”, którą Petrarka zobaczył po raz pierwszy w Wielki Piątek 1327 roku w awiniońskim kościele świętej Klary i zapłonął do niej wielką miłością? Kogo kochał Petrarka? Kogo uwielbiał, pożądał i pieścił w grach słownych, łącząc jej imię z wawrzynem poetyckim? (z łac. laurus – laur, wawrzyn). Czy była podmuchem wiatru, albo wcielonym pięknem? Była tym, w kogo i w co zaczarował ją mocą słów Petrarka i będzie, dopóki będą istniały słowa, literatura i miłosne zapaly.

Poezja Petrarki mocno osadzona jest w tradycji. Bez dialogów z tradycją nie ma nieśmiertelnych pieśni o miłości. W sonetach Petrarki dźwięczy poezja grecka (tu: Safona!) i rzymska, liryka prowansalska, a także tradycja chrześcijańska (tu: pisma Ojców Kościoła). Dialogi umarłych. Uduchowienie, ale i erotyka. Ten dziwny, mocny spłot tworzy petrarkizm, z którego będą czerpać najwybitniejsi poeci kolejnych wieków (w literaturze polskiej m.in. Kochanowski, Naborowski, Mickiewicz). A Francesco Petrarka pozostanie w pamięci pokoleń jako „śpiewak Laury”. Jak kończy swoje posłowie Andrzej Borowski: „W ciszy dźwięczy sonetto, w ciszy rozwijają się złote włosy Laury. Przemawia do nas prawda poezji, prawda o uczuciu, o namiętności, o miłości mocniejszej niż śmierć”.

K.M.

Francesco Petrarka, *Sonetty do Laury* przełożył Jalu Kurek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

*

John Donne to chyba najznakomitszy przedstawiciel angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia i – obok Szekspira i Miliona – jeden z największych poetów Anglii. Tak on jak i cała świetna siedemnastowieczna „szkoła metafizyczna” swój renesans i wpływ na literaturę XX wieku zawdzięcza T.S. Eliotowi; w polszczyźnie istnieje dzięki tłumaczeniom m.in. Stanisława Barańczaka, który we wstępie do „77 wierszy” Donne’a napisał: „Człowiek Donne’a – bo o kimś takim można mówić, podobnie jak

o «człowieku Szekspira» lub «człowieku Kafki» (a można by jeszcze dodać: «człowieka Becketta» — przyp. mój — K.M.) — odbija się jak w zwierciadle w tej poetyce kontrastów, antytez i paradoksów; i on sam jest sprzeczny wewnętrznie, zawieszony między naturą i Bogiem, targany przez przeciwstawne popędy duszy i ciała, niepewny własnego miejsca i własnego sposobu istnienia na ziemi. W tej niepewności odkrywamy — nie mniej paradoksalnie — źródło siły twórczej, która pozwala pocie zmarłemu trzy i pół wieku temu przemawiać głosem człowieka współczesnego, ko- goś z nas”.

Poezja Johna Donne’a to poezja wyobraźni i koncentracji, poezja rozumu i namiętności, poezja specyficznego, a właściwie specjalnego smaku i stylu. Jej cechą główną i charakterystyczną jest współlistnienie i przenikanie tematyki świeckiej i religijnej. Teologia i erotyka są w niej nie tyle poplątane, co przemieszane. Jego poezja, to jak napisał T.S. Eliot, „szczególna mieszanina namiętności i myśli, uczucia i rozumowania”. W wierszu pt. *Dzień dobry* Donne mówi: „Umiera tylko to, co źle zmieszane”, a w *V Sonecie świątyni*: „Jestem światem maleńkim, zlepionym misternie / Z materialnych żywiołów, z anielskiego ducha”. W świecie Donne’a Bóg może człowieka zniszczyć i Bóg może człowieka odrodzić. Jak napisał we wstępie Barańczak: „Między przeżyciem religijnym (w jego skrajnie mistycznej postaci) a przeżyciem erotycznym (w jego postaci skrajnie zmysłowej) nie ma, wbrew pozorom, sprzeczności: jest natomiast napięcie, jak pomiędzy przeciwnymi biegunami wyznaczającymi maksymalny zakres ludzkiego doświadczenia. Cechą, która od początku stanowiła o nowatorstwie Donne’a, jest właśnie ów maksymalizm, zagarniający najróżnorodniejsze doświadczenia, zderzający je ze sobą wzajem i przetapiający je w spoistą jednię”.

Kim był John Donne? Dziwna postać! Figlujący Jack i stary Doktor Donne to ta sama, jedna osoba. Na początku gorliwy katolik, potem wybitny anglikanin. Prawnik, marynarz oraz żołnierz, dworak, wielki adorator dam, poeta, sekretarz Lorda Strażnika Wielkiej Pieczęci, polityk, płomienny kochanek, mąż, ojciec 12. dzieci, więzień Tower, wreszcie — kapłan i nadworny kaznodzieja, dziekan Katedry świętego Pawła. Z pozoru to paradoksy rządzą jego biografią i poezją: każdą chwilą jego życia, każdą częścią jego poezji. Człowiek we wszechświecie, a więc człowiek wobec człowieka i człowieka wobec Boga. Abstrakcja i konkret. Chaos i harmonia. Życie i śmierć. Ciało i dusza. Poezja i miłość. Natura i Bóg. John Donne w swojej poezji rozświetla gęste mroki chwili.

K.M.

John Donne, 77 wierszy, „Biblioteczka poetów języka angielskiego pod redakcją Stanisława Barańczaka”, tom 16, przekład Stanisław Barańczak, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1998.

*

W 20. rocznicę pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II ukazał się pierwszy dwujęzyczny, polsko-angielski w przekładzie Jerzego Peterkiewicza wybór poezji Karola Wojtyły. Papież nie tylko, że od najwcześniejszych lat czytał wiersze i czyta je do tej pory (patrz: list Jana Pawła II do ks. Jana Twardowskiego w „Kwartalniku Artystycznym” 3/19/1998), ale był i nadal w jakimś stopniu jest poetą, miłośnikiem literatury i języka. W książce pt. „Dar i tajemnica” mówi, że studia na filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim wprowadziły go w misterium słowa, że słowo jest podstawowym wymiarem życia duchowego człowieka, jest ukierunkowaniem na niezgłębianą tajemnicę Boga samego: „Odkrywając słowo poprzez studia literackie czy

językowe, nie mogłem nie przybliżyć się do tajemnicy Słowa – tego Słowa, o którym mówimy codziennie w modlitwie „Anioł Pański”: „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas” (J 1,14)”. Poezja nie jest jakimś osobnym dodatkiem do osoby Karola Wojtyły, późniejszego papieża, ale jest integralną częścią jego osobowości, jego ekspresji artystycznej, filozoficznej i teologicznej. Przecież Karol Wojtyła najpierw był poetą, potem księdzem: wiersze pisał już w szkole średniej, a pierwsze utwory ogłosił drukiem w roku 1933. Pierwszy tomik pt. „Księga Słowiańska” (1939) zawiera siedemnaście sonetów, czyli bardzo trudne, wyrafinowane formy literackie. Krytyka podkreśla związki poezji Wojtyły z polską literaturą romantyczną: z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim i Norwidem, ale także z neoromantykami: Kasprowiczem i Wyspiańskim. Jan Błoński nazwał poezję Karola Wojtyły „poezją nawrócenia”; wyraziście obecny jest w niej wymiar sakralny i wymiar metafizyczny, stopnie prowadzące na drodze ku Bogu.

Karol Wojtyła został papieżem i stał się w ostatnim ćwierćwieczu mijającego wieku jednym z najczęściej czytanych, przełożonych na kilkadziesiąt języków poetą polskim. Niektóre z tych wierszy na pewno zostaną w historii literatury, w przeciwieństwie do wielu, wielu modnych i błyskotliwych pustych skorup wierszy, wielu tak zwanych „kultowych” poetów. Odwieczna prawda: sztuka bez wymiaru sakralnego i metafizycznego dziwnie szybko przestaje być atrakcyjna, latami marnieje i marnieje i w końcu znika i ginie. Nic o tym nie chcą wiedzieć sezonowi poeci. Karol Wojtyła nie jest wielkim poetą, ale jest poetą na stałe obecnym w poezji polskiej XX wieku. Dramaturgia Karola Wojtyły to jest inny rozdział.

Wiele pożytków dla współczesnego czytelnika wynika z obcowania z tą poezją. Miłość, wolność i piękno, a w późniejszym czasie: prawda, dobro i piękno to główne tematy tych wierszy. Warto je, razem z Karolem Wojtyłą, przemyśleć od początku.

K.M.

Karol Wojtyła, *Poezja / Poems*, przełożył Jerzy Peterkiewicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

*

Bolesław Taborski (ur. 1927) zadebiutował tomikami *Czasy mijania* (London 1957) i *Ziemia nocy* (Warszawa, PIW 1958). Wydał kilkanaście zbiorów poezji. Jest też autorem książek z dziedziny teatru oraz tłumaczem. Laureat nagród: Jurzykowskiego (1968), Kościelskich (1977), ITI – im. S.I. Witkiewicza (1988), ZAiKS-u (1990 i 1995).

Najnowszy tomik wierszy Taborskiego „Przetrwanie” składa się z trzech części. Pierwsza zawiera filozoficzne rozważania na temat egzystencji i współczesnego świata. Człowiek żyje w niewoli rzeczy, które sam stworzył, czyhają na niego nieszczęścia, boli samotność wobec majestatu śmierci, przemijania. Życie to „droga przez mękę nie przez raje” (wiersz *Droga*), droga ku unicestwieniu. Wobec braku wiary w sensie istnienia, poeta radzi „chwytaj to nic / garściami łap powietrze to wszystko co twoje”, „każdy haust życia jest boskim napojem” (wiersz *Haust*). Ostrzega przed krótkowzrocznością, chętnie wraca do mitów. Jest przeciwny nadmiernie rozwiniętej cywilizacji („do diabła z blichtrzem i pozorami / cywilizacji bez ładu i składu”).

W części drugiej odnajdujemy rozważania wnikające w różne dziedziny sztuki. Są ciekawe przemyślenia o teatrze Kantora, świetcie bohaterów sztuk Czechowa, o malarstwie młodo zmarłego romantyka Victora Emila Janusena („tak nam współczesny w swoim dziwnym smutku”), kompozytorach i ich dziełach (Schubert, Czajkowski, Solar), akcie tworzenia.

Część trzecia adresowana jest do polityków, odpowiedzialnych za losy kraju. Zdaniem autora, mają dług wobec walczących o wolność, lepszy świat. W wierszach zawarta jest ironia; znajdujemy gorzkie oceny ludzi małej wiary, karierowiczów.

Przetrawianie nastrojem i tonacją przypomina wiersze Kazimierza Przerwy-Tetmajera, w których oceniał koniec wieku XIX. Taborski również nigdzie nie widzi nadziei na odmianę świata nękanego brakiem wielkich idei, poczuciem zagubienia, wątplenia w systemy filozoficzne. Zaprezentowana poezja ma charakter konfesyjny i refleksyjny, cechuje ją medytacja nad istnieniem, pesymizm. Na podkreślenie zasługuje estetyzm i troska o czystość formy. Poeta wykorzystuje motyw drogi, wędrówki; kontynuuje klasyczne wzory wiersza.

E.P.

Bolesław Taborski, *Przetrawianie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1998.

*

Dla każdego coś milego, czyli obszerna autorska antologia poezji amerykańskiej w przekładzie i opracowaniu Stanisława Barańczaka: *Od Walta Whitmana do Boba Dylana. Antologia poezji amerykańskiej*. Ani tytuł, ani podtytuł tej książki nie odpowiada jej rzeczywistej zawartości: tytuł jest zbyt wąski, a podtytuł zbyt szeroki, jak stwierdza Barańczak we wstępie i wyjaśnia, dlaczego tak jest.

Książka ta zbudowana jest z dwóch części: część główną pt. „Od Whitmana” poprzedza część wstępna pt. „Do Whitmana”, w której zaprezentowanych jest dziesięć wierszy dziesięciu poetów, wśród których są m.in. Longfellow, Poe i Thoreau, obrazujących – według antologisty – to co najważniejszego działo się w poezji amerykańskiej od jej najwcześniejszych początków, do chwili pojawienia się Walta Whitmana, którego przelomowe *Żdźbła trawy* otwierają okres nowoczesny w poezji amerykańskiej, czyli okres jej świetności, znaczony wierszami takich poetów jak obecni w tej antologii: Dickinson, Frost, W.C. Williams, Pound, Jeffers, T.S. Eliot, E.E. Cummings, W.H. Auden, Lowell, Ginsberg, Merrill czy O’Hara. Kryteria takiego a nie innego doboru poetów wyjaśnia Barańczak we wstępie, który właściwie jest szkicem o poezji amerykańskiej i jej tle. Barańczak pisze o pełnym paradoksów etosie amerykańskiej kultury: z jednej strony kult wolności jednostki, a z drugiej strony zakazy i bariery – jednostka nie może przekroczyć bardzo przestrzeganych norm współżycia z innymi, a także surowych norm prawa, znajdując się w ten sposób jakby w zmyślnym potrzasku. Skrajność jest stopowana, bo przecież nie można istnieć w społeczeństwie poza jego biegunami („biegun «ja»” i „biegun «innych»”). To jest ciekawe i jak się okazuje bardzo twórcze napięcie.

Ta antologia znajdzie na pewno wielu czytelników. Czyta się ją ciekawie, jest jak kolorowy kalejdoskop, ale też wiele jest w niej głębi, jak na przykład *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota. W tej antologii – jak twierdzi tłumacz – nie ma wierszy słabych (tzn. źle przełożonych). Ewentualne zarzuty krytyków Barańczak paruje już we wstępie. Wypada tłumaczowi wierzyć na słowo i cieszyć się, że wiele dobrego jest w tej antologii.

K.M.

Stanisław Barańczak, *Od Whitmana do Boba Dylana. Antologia poezji amerykańskiej*, przełożył i opracował Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

*

Oto długo oczekiwany wybór esejów i głos Samuela Becketta pt. *Wierność przegranej* – tytuł tomu został zaczerpnięty z trzeciego dialogu z Georges'em Duthuit, z pamiętnego fragmentu kwestii autora *Końcówki*: „... być artystą znaczy przegrywać, i to przegrywać jak nikt inny, bo inni po prostu się na to nie wazą; że właśnie przegrana to jego świat, a wymykanie się jej to dezercja – sztuka i rzemiosło, dobre gospodarowanie, życie. Nie, nie pozwól mi się wypalić! Dobrze wiem, że pozostało nam teraz tylko – by nawet i tę potworność jakoś pozytywnie rozwiązać – że pozostało nam teraz tylko owo pogodzenie się, przyznanie; pozostało nam ową *w i e r n o ś ć p r z e g r a n e j* potraktować jako nowy powód, jako nowy element zależności, a owo niemożliwe a konieczne i podejmowane działanie uczynić działaniem na rzecz wyrażenia, choćby samego siebie, czyli swej niemożności a zarazem konieczności”.

Trzy główne teksty tego tomu: „Dante... Bruno. Vico.. Joyce”, „Proust” oraz „Trzy dialogi z Georges'em Duthuit”, są już dobrze znane polskiemu czytelnikowi z wcześniejszych publikacji w różnych czasopismach, także w „Kwartalniku Artystycznym”. Pozostałe trzy teksty, dopełniające zawartość tomu: „Świat i spodnie”, „Malarze Przeszkody” oraz „Henri Hayden – człowiek-malarz”, to wypowiedzi o malarstwie i estetyce, nie wnoszące wiele nowego. Najciekawsza jest krytyczna konfrontacja Samuela Becketta z dziełem Joyce'a i Prousta, chociaż w gruncie rzeczy jest to jego konfrontacja z samym sobą, ze swoim własnym dziełem. Jak twierdzi w „Posłowiu” tłumacz i znawca Becketta – Antoni Libera, wnioski i diagnozy, do których Beckett dochodzi, „bardziej odnoszą się do ideałów dzieła literackiego, jakie sam wyznawał (i jakie wcielił później w życie własną twórczością), niż do dzieła spełnionego przez Prousta” i dodajmy także – Joyce'a. I bardzo dobrze. Beckett jako krytyk literacki jawi się jako ktoś kostyczny i hermetyczny. Ale przecież to nie krytyka literacka była jego domeną, ale proza i dramat, w których wypowiedział się najpełniej i najżywiej. Artyście trudno jest mówić o teorii. Ale dobrze, jeśli mamy takie świadectwa, tym bardziej jeżeli są to świadectwa wielkich artystów, takich jak Samuel Beckett, który uważany jest za jednego z gigantów literatury XX wieku. Nie o Joyce'a, Prousta i tych malarzy chodzi w tej książce – oni mają swoje znakomite świadectwa – tu chodzi o samego Becketta: to jest zarys jego artystycznego credo na tle i przy pomocy tamtych wielkich poprzedników poczyniony. Punkt dojścia i punkt wyjścia.

K.M.

Samuel Beckett, *Wierność przegranej*, wybór i opracowanie oraz przekład (wraz z Marcinem Nowoszewskim) Antoni Libera, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1999.

*

Powieść *Fara na Pomorzu* Mariana Pankowskiego jest zapisem podróży sentymentalnej, jaką odbył Niemiec z Monachium (Hans) — historyk, pracownik naukowy, zajmujący się okresem drugiej wojny światowej, szczególnie zaś dziejami frontu wschodniego. W poszukiwaniu śladów swego ojca, żołnierza Wehrmachtu, przyjeżdża do małego miasteczka na Kaszubach. Zatrzymał się na plebanii starego proboszcza — świadka wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy to przez ziemie dawnych Prus przetaczały się zwaśnione armie. Szlak pochodów wojsk, bunkry dowództwa, cmentarze poległych żołnierzy, pomniki budzą zainteresowanie turystów — polskich

i niemieckich — miasteczko jest ważnym punktem historii. Kościół i oberża to dwa miejsca dokumentacji i powstawania legendy dla wydarzeń sprzed lat.

Podczas smakowitych śniadań, obiadów i kolacji Hans powoli nakłania proboszcza do wyjaśnienia tajemnicy starego bunkra, w którym ukrywało się kilku żołnierzy niemieckich. Jednym z nich był ojciec Hansa. Domyślamy się tego wcześniej. Autor wyjawia tajemnicę pod koniec książki, obudowując jej atmosferę niby mało ważnymi wydarzeniami codziennego życia, pulsowaniem, budzącej się do życia przyrody, szumem dookolnych jezior i rzeki. W tle są, urodzeni już na tych ziemiach, ludzie, młodzież (bunkier i jego otoczenie to miejsce intymnych schadzek), dzieci, ale także repatrianci ze Wschodu (nauczycielka), tubylcy, uczuciowo związani z tą ziemią (ciekawie zbudowana postać Gerty — gospodyni księdza).

Pankowski interesująco uchwycił współczesne tętno życia miasteczka, przez które przetoczyła się WIELKA HISTORIA, przybliżył sprawy związane z odległymi wydarzeniami, dozując „elementy tajemnicy”, dzięki czemu uwaga czytelnika nie słabnie. Nie bez znaczenia pozostaje fakt osadzenia akcji w czasie Wielkiego Tygodnia.

E.P.

Marian Pankowski, *Fara na Pomorzu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

*

Mielą młyny filologii. Po: *Wiadomościach i okolicach, Wiadomościach i okolicach II, Libelli. Galerii Lambert i Iwaniuku, ostatnim romantyku* — kolejny, piąty tom: *Archiwum Emigracji. Studia-Szkice-Dokumenty* pod redakcją Janusza Kryszaka i Mirosława A. Supruniuka wydany przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu; tom obszerny, starannie filologicznie opracowany i – co ważne – ciekawy w lekturze. Szczególną ciekawość budzą listy Andrzeja Bobkowskiego do redaktora londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego, podane do druku przez Krzysztofa Ćwiklińskiego wraz z appendixem: „Sprawa Bobkowskiego”, zawierającym komentarz i wymianę listów pomiędzy K.A. Jeleńskim a Grydzewskim, ukazujących, jak nie doszło do jeszcze jednej emigracyjnej burzy polemicznej. Podziw budzi rzadko dziś spotykana klasa respondentów. A ponadto otrzymujemy kolejny ważny przyczynek do biografii Miłosza. Mirosław A. Supruniuk prezentuje tekst odczytu Miłosza na mediolańskiej konferencji Kongresu Wolności Kultury w 1955 roku. Tekst pt. *Bieliński i jednoróżec* publikowany jest w oryginale po francusku oraz w polskim przekładzie, uzupełnionym i autoryzowanym. Ponadto: *Trzydzieści lat polskiej emigracji politycznej* – wypowiedź Józefa Łobodowskiego, rozmowa Aliny Grabowskiej z byłym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Zygmuntem Michałowskim, rozmowy ze Stanisławem Frenklem, wspomnienia — biografie — noty, recenzje i omówienia, przeglądy i bibliografie. Cenna seria, która stwarza pomosty pomiędzy dwiema stronami jednej całości.

K.M.

Archiwum Emigracji. Studia-Szkice-Dokumenty, Rok 1998, Zeszyt 1, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1998.

10. tom serii *Zabytki Polski północnej* poświęcony został franciszkańskiemu kościołowi Panny Marii w Toruniu. Ten monumentalny, pomnikowy kościół wznosi się w samym centrum Starego Miasta, dominując w północno-zachodnim narożniku rynku i stanowi jeden z głównych symboli i jedną z dominant świetnej panoramy grodu Kopernika. Książka Domasłowskiego i Jarzewicza przedstawia w ciekawy i frapujący sposób zarys dziejów i artystyczne walory tego wspaniałego zabytku porównywalnego z dwoma innymi słynnymi kościołami pod tym wezwaniem: w Krakowie i w Gdańsku. Ten kościół rozwijał się, a potem trwał razem z Toruniem.

Monumentalna, trójnawowa, asymetryczna hala z wydłużonym, zamkniętym prosto prezbiterium, 66-metrowa „święta droga”, której kulminacją jest świetlisty akcent wielkiego okna we wschodniej ścianie prezbiterium. Olbrzymia skala, redukcja detalu — architektura została sprowadzona do swoich podstawowych elementów (ściany, filary, przykrycie). Czytamy, obserwując fazy realizacji („rozwoju”) świątyni, która wzrastała i „gęstniała” tak jak miasto (na zasadzie *pars pro toto*). Jesteśmy w ascetycznym wnętrzu, w którym dominuje zwięzłość i trafność, tworzące tę niepowtarzalną atmosferę i nastrój, jakie mają średniowieczne świątynie. Książka jest bogato ilustrowana, ale oczywiście najlepiej wejść z nią do środka i widzieć bezpośrednio te wszystkie filary, przeszła, luki, różnego rodzaju sklepienia, wsporniki i żebra, blendy z maswerkami, ościeże i stropy i krenelaże, gurdy, zworniki i rozety, kariatydy, pilastry i konsole, maski, maszkarony, szyszki i rogi obfitości, archiwolty, empory, festyny, fryzy, glify i glorie, gmerki i gzymy, kapitele, nimby i pinakle, reliefy, putta i rauty, służki, tonda i woluty wysoko nad głową, albo nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. I wspaniały, późnobarokowy, monumentalny, wykonany z drewna złocisty ołtarz główny, na rzucie tworzącym literę M (Maria), z ogromną koroną i z aniołami i słowami Pozdrowienia Anielskiego, zwieńczony kulą z krzyżem, w który można wpatrywać się godzinami i odkrywać coraz to nowe rzeczy — w Toruniu właśnie ten ołtarz zrobił największe wrażenie na Czesławie Miłoszu, który gościł w mieście w 1995 roku.

Liczne, właściwie ciągle odnoszenia się i odwołania do Biblii. Rytm widzialne i duchowne. Ołtarze. Obrazy. Krucyfiks tęczyowy. Organy. Mauzolea, nagrobki, epitafia. Zrytmizowane ciągi. Ścisłe hierarchie miejsc w ramach jednego modusu stylowego i jednej wielkiej skali. Rytm podziałów pionowych, sekwencje akcentów wertykalnych, osłabienie akcentów horyzontalnych. Efekty światłocieniowe.

Ta książka, podobnie jak *Katedra gotycka* Otto von Simsona, czy *Symbolika świątyni chrześcijańskiej* Jeana Hani'ego, zachęca do podróży, do wyruszenia w drogę.

K.M.

Jerzy Domasłowski, Jarosław Jarzewicz, *Kościół Najświętszej Marii Panny w Toruniu*, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 1998.

Muttāvāli, co znaczy „sznur pereł”, to antologia fragmentów z pism starobuddyjskich, otwierających przed czytelnikiem świat metafizyki, teorii i praktyki buddyjskiej zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i wspólnotowym. Jest to egzotyczny dla nas Kanon, którego część pełni w buddyzmie Therawady rolę analogiczną do świętego Tomasza w chrześcijaństwie. Wybrane fragmenty tekstów przytaczane są najpierw w oryginale palijskim (w transkrypcji łacińskiej); potem następuje przekład i komentarz. Ogól-

ny, ramowy układ antologii określony jest przez trójcę Budda-Dharma-Sangha. Czyli Nauczyciel-Nauka-Wspólnota (mnisza). Jak twierdzi autor antologii Ireneusz Kania, antologii porównywalnej z *Muttāvālī* nie ma dotąd w światowym piśmiennictwie.

Drugi, właśnie wydany przez Oficynę Literacką, egzotyczny tom wart poznania, to *Upaniszady*, będące zwieńczeniem sakralnej literatury śrutī, „usłyszaney”, literatury mającej rangę objawienia. Jak pisze tłumaczka Maria Kudelska: „Całe późniejsze piśmiennictwo Indii składało się z komentarzy, które przyjmują nierzadko formę samodzielnych, bardzo rozbudowanych systemów filozoficznych czy religijnych. Jeśli współcześnie postrzegamy w myśli indyjskiej różnobarwność i różnorodność wątków, to należy pamiętać, że one wszystkie, w mniejszym czy większym stopniu, odwołują się do *Upaniszad*”. Wstęp tłumaczki wprowadza do trudnej lektury, choć i tak dla czytelników naszego kręgu kulturowego będzie to lektura „na powierzeni”. Sens jej jest taki, że rozszerza krąg naszego poznania i doświadczeń i otwiera na innych w pozytywnym, humanistycznym i ekumenicznym sensie. Bardzo to wszystko poetyckie i natchnione, bardzo hermetyczne i literackie. W każdym razie dobrze, że *Upaniszady* istnieją już także w polszczyźnie.

K.M.

Ireneusz Kania, *Muttāvālī. Księga wypisów starobuddyjskich*, Oficyna Literacka, Kraków 1999.
Upaniszady, Oficyna Literacka, Kraków 1999.

S P R O S T O W A N I E

W 3/19/1998 numerze „Kwartalnika Artystycznego” pojawiły się błędy i nieścisłości: w recenzji Katarzyny Klejnockiej pt. *Reszta tomu kontra „Dukla”*: jest „antropomorficzny”, a powinno być „antropozoficzny”; jest „grozą” zamiast „gnozą”; pierwsze zdanie ostatniego akapitu powinno brzmieć: „I cóż nam teraz mówią te wszystkie króciutkie opowiadania, jak bastiony okalające twierdzę «Dukli»?”. W recenzji Jarosława Klejnockiego pt. *Przewodnik i przechodzień* jest „kontrowersyjne zajęcia”, a powinno być „konwersatoryjne zajęcia”; jest „monobiograficzna książka”, a powinno być „monograficzna książka”; jest „normalnym lustrem”, a powinno być „moralnym lustrem”; jest „nie omieszkałam poczynić”, a powinno być „nie omieszkałam poczynić”; jest „widziałem”, a powinno być „widzę”; w spisie autorów numeru 2/6/1995 pominięto Ryszarda Czesztochowskiego; w numerze 4/20/1998 w nocie o książce Krzysztofa Nowickiego *Od rzeczy* jest: *Przed nocą*, a powinno: być *Przed mową*.

Autorów i Czytelników za błędy korekty – przepraszamy.

Redakcja

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

PRENUMERATA ROCZNA

krajowa:

25 zł (4 numery wraz z kosztami wysyłki);

zagraniczna:

30 \$ USA (4 numery wraz z kosztami wysyłki).

Cena numeru archiwalnego

(wraz z kosztami wysyłki):

4 zł (8 \$ USA)

Wpłaty prosimy kierować na KONTO:

Wojewódzki Ośrodek Kultury

PBKS II O/Bydgoszcz

11001034-902 779-2101-111-0

„Kwartalnik Artystyczny”

Nr indeksu 36294

ISSN 1232-2105

Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

© Copyright by „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY.

KUJAWY I POMORZE”, Bydgoszcz 1999

Druk: Color Print, tel.: 345-22-35

Skład: FUP, Bydgoszcz, tel. 341 18 79

Grzegorz Musiał
AL FINE



Michał Głowiński



**CZARNE
SEZONY**

Krzysztof
Myszkowski



FUNEBRE

Piotr
Matywiecki



**ZWYCZAJNA
SYMBOLICZNA
PRAWDZIWA**

Jarosław
Klejnocki



**W DRODZE
DO DELFT**

Mirosław
Dzień



CIERPLIWOŚĆ

